

Groza

Dean Koontz



calibre 0.9.27

DEAN KOONTZ

GROZA

Shattered

przełożył: Jan Kabat

Data wydania oryginalnego: 1973

Data wydania polskiego: 1994

Lee Wrightowi -

w podziękę za

mnóstwo dobroci,

radę i cierpliwość.

PONIEDZIAŁEK

Gdy oddalili się zaledwie o cztery przecznice od ich mieszkania w Filadelfii, a przed sobą mieli ponad trzy tysiące mil, dzielące ich od Courtney, która przebywała w San Francisco, Colin rozpoczął jedną ze swoich gier. Colin uwielbiał swoje gry, nie te, które wymagały planszy i pionków, ale te, które były rozgrywane w głowie - gry słów, gry pojęć, zawile fantazje. Był niezwykle gadatliwym, nad wiek rozwiniętym jedenastolatkiem, pełnym energii, której nie był w stanie spożytkować. Szczupły, w towarzystwie obcych nieśmiały, cierpiący na stosunkowo silny astygmatyzm obu oczu, który zmuszał go do ciągłego noszenia okularów o grubych szklach, nie był typem sportowca. Nie mógł wyżyć się w meczach futbolowych, ponieważ żaden z atletycznych rówieśników nie chciał grać z kimś, kto potyka się o własne stopy, traci piłkę i jest miażdżony w najbardziej nawet niegroźnym starciu. Poza tym, sport go nudził. Był inteligentnym dzieciakiem, który pochłania mnóstwo książek, a swoje gry uważa za coś ciekawszego od futbolu. Klęcząc na przednim siedzeniu dużego samochodu i spoglądając przez tylną szybę na dom, który opuszczał na zawsze, powiedział”

- Jedzie za nami, Alex.

- Teraz?

- Tak. Parkował w pewnej odległości, gdy chowaliśmy walizki do bagażnika.

Widziałem go. A teraz jedzie za nami.

Alex Doyle uśmiechnął się skręcając w Landsowne Avenue.

- Duża czarna limuzyna, co?

Colin pokręcił głową, a jego gęste, sięgające ramion włosy poruszyły się energicznie.

- Nie. To rodzaj furgonetki. Jak ciężarówka z zakrytą skrzynią.

Alex spojrział w lusterko.

- Nic nie widzę.

- Zgubiłeś go, gdy skręciłeś na rogu - powiedział Colin. Przycisnął brzuch do zagłówka i wychylił się za tylne siedzenie. - Jest! Widzisz go teraz?

Nowa furgonetka marki Chevrolet wyjechała zza rogu i skręciła w Landsowne Avenue. Był to jedyny poruszający się pojazd, jaki widzieli w ten majowy dzień, o 6.05 rano.

- Myślałem, że zawsze ma się do czynienia z czarną limuzyną - powiedział Alex. -

Bohaterowie na filmach zawsze są śledzeni przez kogoś, kto jedzie w czarnej limuzynie.

- Tak się dzieje tylko na filmach - powiedział Colin, wciąż obserwując furgonetkę, która trzymała się o jedną przecznicę w tyle. - W życiu nikt nie zachowuje się w tak oczywisty sposób.

Drzewa po prawej stronie rzucały długie, czarne cienie na połowę jezdni i tworzyły na przedniej szybie samochodu przyprawiające o zawrót głowy refleksy. Majowe słońce pojawiło się gdzieś na wschodzie, ale stało jeszcze zbyt nisko, by Alex mógł je dojrzeć.

Jednopiętrowe, drewniane domy kąpały się w jego czystym, wiosennym blasku, co sprawiało, że wyglądały jak nowe.

Ożywiony porannym powietrzem i widokiem zielonych pąków obsypujących drzewa, niemal tak podniecony czekającą ich podróżą jak Colin, Alex Doyle pomyślał, że nigdy nie był szczęśliwszy. Prowadził ciężki wóz bez trudu, ciesząc się jego cichą mocą, nad którą panował. Mieli spędzić w drodze długie godziny i przebyć wiele mil; lecz Colin, dzięki swojej wyobraźni, był lepszym towarzyszem podróży niż większość dorosłych.

- Wciąż jest z tyłu - powiedział chłopiec.

- Zastanawiam się, dlaczego za nami jedzie?

Colin wzruszył chudymi ramionami, ale nie odwrócił się.

- Może być mnóstwo powodów.

- Wymień choć jeden.

- Na przykład mógł usłyszeć, że jedziemy do Kalifornii. Wie, że mamy przy sobie kosztowności, rozumiesz? Rodzinne skarby i temu podobne rzeczy. Więc jedzie za nami, żeby nas zepchnąć do rowu na jakimś pustym odcinku drogi i obrabować, trzymając na muszce.

Alex roześmiał się.

- Rodzinne skarby? Masz tylko ubranie, które wzięłeś na drogę. Reszta została przewieziona ciężarówką tydzień temu, albo poleciała samolotem razem z twoją siostrą. I zapewniam cię, że nie mam przy sobie nic z tego, co byłoby cenniejsze od mojego zegarka.

Colin pozostał niewzruszony.

- Może to jeden z twoich wrogów. Ktoś, kto czuje do ciebie jakiś stary uraz. Chce cię dopaść, zanim wyjedziesz z miasta.

- Nie mam żadnych prawdziwych przyjaciół w Filadelfii - powiedział Alex. - Ale nie mam również żadnych prawdziwych wrogów. A jeśli chciał mi dołożyć, to dlaczego nie zrobił tego, gdy pakowałem walizki do bagażnika?

Po szybie samochodu przelatowały migoczące pasemka promieni słonecznych i cieni. Widoczna z przodu sygnalizacja zapłonęła zielonym światłem, co uwolniło Alexa od konieczności hamowania.

Po chwili Colin powiedział”

- Może to szpieg.

- Szpieg? - spytał Alex.

- Rosjanin, albo ktoś w tym rodzaju.

- Wydawało mi się, że jesteśmy obecnie w dobrych stosunkach z Rosjanami -

powiedział Alex, patrząc z uśmiechem na odbicie furgonetki w lusterku. - A nawet jeśli jest inaczej, to dlaczego jakiś szpieg miałby się interesować tobą lub mną?

- To proste - powiedział Colin. - Wziął nas za kogoś innego. Otrzymał zadanie śledzenia kogoś, kto mieszka niedaleko nas i pomylił się.

- Nie boję się żadnego szpiega, który jest aż tak nieudolny - powiedział Alex.

Wyciągnął rękę i manipulował przy przełącznikach klimatyzacji. Po chwili do dusznego wnętrza samochodu zaczął przenikać delikatny, chłodny wietrzyk.

- To nie musi być szpieg - powiedział Colin, którego uwagę wciąż przykuwała niepozorna, mała furgonetka. - To może być ktoś inny.

- Kto na przykład?

- Daj mi pomyśleć przez chwilę - powiedział chłopiec.

Podczas gdy Colin zastanawiał się, kim może być człowiek w furgonetce, Alex Doyle obserwował ulicę przed maską samochodu i myślał o San Francisco. W jego przypadku to pagórkowate miasto nie było jedynie punktem na mapie. Było dla niego synonimem przyszłości i symbolem wszystkiego, czego człowiek może w życiu pragnąć. Czekala tam nowa praca w prężnej agencji reklamowej, która doceniała młodych artystów i dbała o ich rozwój. Czekał tam dom w hiszpańskim stylu, mieszczący trzy sypialnie i stojący na obrzeżach parku Lincolna, skąd rozciągał się piękny widok na most Golden Gate i włochatą palmę rosnącą za oknem głównej sypialni. I oczywiście czekała tam Courtney. Gdyby jej nie było, praca i dom nie miałyby żadnego znaczenia. Spotkali się w Filadelfii, zakochali się w sobie i pobrali w ratuszu na Market Street, w obecności brata Courtney, Colina, jako honorowego drużby i stenotypistki z Departamentu Sprawiedliwości, która pełniła rolę dorosłego świadka. Potem Colin został wysłany na dwa tygodnie do ciotki Alexa, Pauline, która mieszkała w Bostonie, podczas gdy nowożeńcy polecili do San Francisco, by spędzić tam miesiąc miodowy, spotkać się z nowymi pracodawcami Alexa, z którymi wcześniej rozmawiał jedynie przez telefon, a także by znaleźć i kupić dom, w którym zaczęliby wspólne

życie. Ich przyszłość nabrała realnych kształtów bardziej w San Francisco niż w Filadelfii. San Francisco stało się przyszłością. A Courtney łączyła się z tym miastem nierozzerwalnie. Była, w pojęciu Doyle'a, tym samym co San Francisco, tak jak San Francisco było przyszłością. Była niezmienna i egzotyczna, zmysłowa, intelektualnie intrygująca, pełna ciepła, a jednak podniecająca - tak jak San Francisco. I teraz, gdy myślał o Courtney, przed jego oczyma ukazały się pagórkowate ulice i czysta, błękitna zatoka.

- Wciąż tam jest - powiedział Colin, wpatrując się przez wąską tylną szybę w furgonetkę.

- Przynajmniej nie próbował jeszcze zepchnąć nas do rowu - stwierdził Alex.

- Nie zrobi tego - powiedział Colin.

- Naprawdę?

- Będzie nas po prostu śledził. To przedstawiciel władzy.

- FBI, co?

- Tak myślę - oznajmił Colin zaciskając usta.

- Dlaczego miałyby się nami interesować?

- Prawdopodobnie pomylił nas z kimś innym - powiedział Colin. - Miał za zadanie śledzić jakichś ludzi - na przykład radykałów. Zobaczył nasze długie włosy i to go zmyliło. Sądzi, że to my jesteśmy radykałami.

- No cóż - powiedział Alex - nasi szpiegowie są równie nieudolni, jak rosyjscy, nie uważasz?

Uśmiech na twarzy Doyle'a wydawał się zbyt szeroki, przypominał mocno wygiętą linię, zakończoną przy każdym końcu dołkiem w policzkach. Uśmiechał się, ponieważ czuł się wspaniale i wiedział, że z uśmiechem jest mu do twarzy. W ciągu trzydziestu lat jego życia nikt mu ani razu nie powiedział, że jest przystojny. Pomimo tego, że był ćwierć krwi

Irlandczykiem, miał w sobie coś z Włocha o mocno zarysowanej szczęce i rzymskim nosie.

W trzy miesiące po ich pierwszym spotkaniu, gdy zaczęli ze sobą sypiać, Courtney powiedziała”

- Nie jesteś przystojnym mężczyzną, Doyle. Jesteś atrakcyjny, to pewne, ale nie przystojny. Gdy mówisz, że wyglądam zabójczo, to chcę ci się zrewanżować tym samym - ale nie mogę cię okłamywać. Lecz twój uśmiech... jest doskonały. Gdy się uśmiechasz, przypominasz nawet odrobinę Dustina Hoffmana.

Byli już ze sobą na tyle szczerzy, że Doyle nie poczuł się urażony tym, co powiedziała. W rzeczywistości był bardzo zadowolony z tego porównania.

- Dustina Hoffmana? Naprawdę tak uważasz?

Przypatrywała mu się przez chwilę, ujmując go za podbródek i obracając jego twarz w jedną lub drugą stronę, w słabym, pomarańczowym świetle nocnej lampki. - Gdy się uśmiechasz, wyglądasz dokładnie jak Dustin Hoffman - kiedy stara się wyglądać brzydko, mówiąc ściśle.

Gapił się na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Kiedy stara się wyglądać brzydko, na litość boską?

Skrzywiła się.

- Chodziło mi o to... że... no cóż, Hoffman tak naprawdę nie może wyglądać brzydko, nawet gdy się stara. Kiedy się uśmiechasz, wyglądasz jak Hoffman, ale nie jesteś taki przystojny...

Obserwował, jak próbuje wygrzebać się z kłopotliwej sytuacji, w którą sama się wpakowała, i zaczął się śmiać. Jego rozbawienie udzieliło się także Courtney. Po chwili chichotali jak idioci, ciesząc się do przesady z tego żartu i śmiejąc się, aż rozboleły ich brzuchy, by uspokoić się po chwili i kochać z paradoksalnie gwałtowną czułością. Od czasu

tej nocy Doyle pamiętał, by uśmiechać się jak najczęściej.

Po prawej stronie ulicy pojawił się znak informujący o wjeździe na autostradę Schuykill.

- Przestań zajmować się swoim człowiekiem z FBI - powiedział Alex. - Niech sobie nas śledzi. Zbliżamy się do autostrady, więc lepiej się odwróć i zapnij pas.

- Za minutę - powiedział Colin.

- Nie - powiedział Alex - zapnij pas na brzuchu, bo każę ci również zapiąć ten na ramieniu. - Colin nie znosił jazdy w obu pasach.

- Pół minuty - powiedział chłopiec, przyciskając się jeszcze mocniej do oparcia fotela, podczas gdy Alex wjeżdżał na podjazd prowadzący na autostradę.

- Colin...

Chłopiec odwrócił się i opadł na fotel.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy wjedzie za nami na autostradę. Wjechał.

- No pewnie, że wjechał - powiedział Alex. - Agentów FBI nie obowiązują granice miasta. Może jechać za nami wszędzie.

- Jak kraj długi i szeroki?

- Pewnie. Dlaczego nie?

Colin znów położył głowę na oparciu fotela i roześmiał się.

- Zabawne. Co by też zrobił, gdyby przejechał za nami przez cały kraj i w końcu zorientował się, że nie jesteśmy tymi, których miał śledzić?

Gdy wspięli się na szczyt podjazdu, Alex spojrzał w kierunku południowo-

wschodnim, na dwa puste pasma czarnej nawierzchni. Nacisnął pedał gazu i ruszył na zachód.

- Zapniesz wreszcie pas?

- Jasne - powiedział Colin, manipulując przy klamercie, umieszczonej na słupku obok

drzwi pasażera. - Zapomniałem. - Oczywiście nie było to prawdą.

Colin nigdy niczego nie zapominał. Po prostu nie lubił jeździć w pasach.

Odwracając na moment wzrok od pustej autostrady, która rozciągała się przed nimi, Alex zerknął w bok i zobaczył, że chłopiec mocuje się z dwiema połówkami pasa. Colin skrzywił się i przeklął całe to urządzenie, dając Doyle'owi do zrozumienia, co myśli o podróżowaniu w charakterze więźnia.

- Nie pozostaje ci nic innego, jak robić zadowoloną minę i zaakceptować swój los - powiedział Alex, który sam wyglądał na zadowolonego, gdy ponownie spojrzał na autostradę.

- Będziesz jechał w tym pasie, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie.

- Nie podoba - zapewnił go Colin.

Siedząc w prawidłowo zapiętym pasie, tak długo wyglądał zmarszczki na swojej koszulce z wizerunkiem King Konga, aż umiejscowił fotografię gigantycznej, wściekłej małpy na środku swej chudej klatki piersiowej. Odgarnął z czoła gęste włosy i poprawił grube szkła w drucianych oprawkach, które musiał stale przyciskać do swego okrągłego jak guzik nosa.

- Trzy tysiące sto mil - powiedział, patrząc jak szare pasmo drogi niknie pod kołami samochodu i zostaje gdzieś w tyle. Elektrycznie podnoszone siedzenie thunderbirda umożliwiała mu dobry widok. - Jak długo będziemy jechać?

- Nie będziemy robić długich postojów - powiedział Alex. - Powinniśmy dotrzeć do San Francisco w sobotę rano.

- Pięć dni - powiedział Colin. - Trochę więcej niż sześćset mil dziennie. - Wydawało się, że jest rozczarowany tempem jazdy.

- Gdybyś mógł zastąpić mnie przy kierownicy - powiedział Alex - jechalibyśmy prędzej. Ale nie chcę robić więcej niż sześćset mil dziennie, kiedy sam prowadzę.

- Więc dlaczego Courtney nie pojechała z nami? - spytał Colin.

- Urządza dom. Czekwała, aż przywiozą meble, a teraz zajmuje się zasłonami i dywanami - całym tym bałaganem.

- Kiedy leciałem do Bostonu, do ciotki Pauliny, podczas gdy wy spędzaliście miesiąc miodowy - czy wiedziałeś, że to była moja pierwsza podróż samolotem?

- Tak - powiedział Alex.

Colin mówił o tym przez całe dwa dni po powrocie z Bostonu.

- To mi się naprawdę podobało.

- Wiem.

Colin zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie sprzedaliśmy samochodu i nie poleciliśmy do Kalifornii razem z Courtney?

- Znasz odpowiedź - powiedział Alex. - Samochód ma tylko rok. Nowy wóz najbardziej traci na wartości właśnie w pierwszym roku. Jeśli chcesz wyjść na swoje przy sprzedaży, to musisz nim jeździć przez trzy albo cztery lata.

- Mogłeś sobie pozwolić na tę stratę - powiedział Colin, zaczynając wybijać palcami cichy, ale uparty rytm na swoich opiętych dzinsem kolanach. - Słyszałem jak rozmawiałeś z Courtney. Będiesz zarabiał w San Francisco fortunę.

Alex wyciągnął spoconą dłoń, by wysuszyć ją w cichym strumieniu powietrza płynącym z nawiewu w desce rozdzielczej.

- Trzydzieści pięć tysięcy dolarów rocznie to nie fortuna.

- Ja dostaję tylko trzy dolary kieszonkowego - powiedział chłopiec.

- To fakt - stwierdził Alex. - Ale mam nad tobą przewagę dziewiętnastu lat doświadczenia i nauki.

Opony szumiały przyjemnie.

Ogromna ciężarówka przemknęła po drugiej stronie drogi, zmierzając w kierunku miasta. Był to pierwszy pojazd, oprócz furgonetki, jaki ujrzeli tego ranka.

- Trzy tysiące sto mil - powiedział Colin. - To mniej więcej jedna ósma trasy dookoła świata.

Alex musiał pomyśleć przez chwilę.

- Słusznie.

- Gdybyśmy kontynuowali jazdę i nie zatrzymywali się w Kalifornii, potrzebowalibyśmy około czterdziestu dni, by okrążyć ziemię. - powiedział Colin, obejmując dłońmi wyimaginowany globus, w który wpatrywał się z uwagą.

Alex przypomniał sobie chwilę, gdy chłopiec po raz pierwszy poznał słowo „okrążyć” i zafascynował się jego brzmieniem oraz znaczeniem. Przez całe tygodnie nie chodził po pokoju czy domu - wszystko „okrążał”.

- Chyba potrzebowalibyśmy więcej niż czterdzieści dni - powiedział Alex. - Nie wiem ile czasu zabrałoby mi przejechanie Pacyfiku.

Colin pomyślał, że to niezły dowcip.

- Miałem na myśli to, że moglibyśmy tego dokonać, gdyby był most na oceanie.

Alex spojrzął na szybkościomierz i zobaczył, że jadą z umiarkowaną prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę, o dwadzieścia mniej, niż planował osiągnąć w pierwszym etapie jazdy. Colin był dobrym towarzyszem podróży. Nawet zbyt dobrym. Gdyby wciąż rozpraszał uwagę Alexa, potrzebowaliby miesiąca, by przejechać ten cholerny kraj.

- Czterdzieści dni - zastanawiał się Colin. - To połowa czasu, jakiego bohaterowie Juliusza Verne potrzebowali na okrążenie ziemi.

Alex wiedział, że Colin poszedł rok wcześniej do szkoły i że swoim czytaniem

wyprzedzał o parę lat innych uczniów, ale zakres wiedzy chłopaka wciąż go zaskakiwał.

- Czytałeś „W 80 dni dookoła świata”, co?

- Pewnie - powiedział Colin. - Dawno temu. - Wyciągnął dłonie w kierunku nawiewu i suszył je tak, jak to zaobserwował u Alexa.

Choć nie miało to wielkiego znaczenia, ten drobny gest zrobił na Doyle’u wrażenie.

On także był niegdyś chudym, nerwowym dzieciakiem, którego dłonie były zawsze wilgotne.

Był, podobnie jak Colin, nieśmiały w towarzystwie nieznajomych, nie osiągał dobrych wyników w sporcie i czuł się wśród rówieśników jak wyrzutek. W college’u zaczął z uporem trenować podnoszenie ciężarów, zdecydowany wyrosnąć na kolejnego Charlesa Atlasa □.

Zanim mięśnie jego klatki piersiowej zaczęły się odznaczać a bicepsy stwardniały, znudził się podnoszeniem ciężarów i skończył z tym. Mierząc pięć stóp i dziesięć cali i ważąc sto

sześćdziesiąt funtów, nie mógł się równać z Charlesem Atlassem. Ale był szczupły i

wytrzymały i nigdy już nie przypominał chudego dzieciaka. Wciąż jednak czuł się niepewnie

w towarzystwie nowo poznanych ludzi i często pociły mu się ze zdenerwowania ręce. W głębi duszy wciąż pamiętał, co znaczy wieczna nieśmiałość i brak pewności siebie. Obserwując, jak

Colin suszy swe szczupłe dłonie, Alex zrozumiał, dlaczego od razu polubił tego chłopca i

dlaczego, od dnia, w którym się poznali, osiemnaście miesięcy wcześniej, było im ze sobą dobrze. Dzieliło ich dziewiętnaście lat życia. Ale niewiele więcej.

- Wciąż tam jest? - spytał Colin, przerywając tok myśli Alexa.

- Kto?

- Ten facet w furgonetce.

Alex spojrział w lusterko.

- Jest. FBI nie ustępuje tak łatwo.

- Mogę spojrzeć?

- Nie odpinaj pasa.

- Zapowiada się koszmarna podróż - powiedział Colin posępnie.

- Owszem, jeśli nie zaakceptujesz pewnych zasad już na samym początku - zgodził się Alex.

□ Ch. Atlas - jeden z pierwszych amerykańskich kulturystów.

Ruch na drugim pasie autostrady nasilał się, gdy spieszący do pracy o tak wczesnej godzinie zaczęli już swój dzień i gdy od czasu do czasu przejeżdżała z hałasem jakaś ciężarówka, pokonująca ostatni etap długiej podróży. Ich samochód i furgonetka były jedynymi widocznymi pojazdami na zachodnim pasie drogi.

Słońce znajdowało się za thunderbirdem, dzięki czemu nie było dokuczliwe. Niebo, które widzieli przed sobą, skażone było tylko dwiema chmurami. Po obu stronach drogi ciągnęły się zielone wzgórza.

Gdy w Valley Forge wjechali na płatną drogę i skierowali się na zachód, w stronę Harrisburga, Colin spytał: - Co z naszym ogonem?

- Wciąż się za nami ciągnie. Jakiś nieszczęsny agent FBI na błędnym tropie.

- Pewnie straci pracę - powiedział Colin. - Zwolni się miejsce dla mnie.

- Chcesz być agentem FBI?

- Myślałem o tym - przyznał Colin.

Alex zjechał na lewy pas i wyprzedził samochód ciągnący przyczepę dla konia. Z tyłu wozu siedziały dwie dziewczynki w wieku Colina. Przycisnęły się do bocznej szyby i zamachały do chłopca, który zaczerwienił się i spoglądał uparcie przed siebie.

- Nie byłoby nudno w FBI - powiedział.

- Och, trudno powiedzieć. Wydaje się, że to dosyć nużące śledzić drania przez całe tygodnie, zanim zrobi coś niezwykłego.

- No cóż, nie może być to nudniejsze niż jazda w zapiętym pasie aż do Kalifornii.

Boże, pomyślał Alex, sam się o to prosiłem. Ponownie zjechał na prawy pas i ustawił dźwignię automatycznego gazu na prędkości siedemdziesięciu mil, by utrzymać przyzwoite tempo, nawet gdyby Colin zbyt odciągał jego uwagę.

- Kiedy ten facet z tyłu dopadnie nas na pustym odcinku drogi i zepchnie do rowu, będziesz mi dziękował, że kazałem ci zapiąć pas. To ci uratuje życie.

Colin odwrócił głowę i spojrzał na Alexa przez szkła okularów, które jeszcze bardziej powiększały jego duże oczy.

- Obawiam się, że nie masz zamiaru ustąpić!

- Nie mylisz się.

Colin westchnął.

- Jesteś właściwie moim ojcem, prawda?

- Jestem mężem twojej siostry. Ale... ponieważ twoja siostra... sprawuje nad tobą opiekę, to można przyjąć, że mam ojcowskie prawo ustanawiać zasady, które powinny cię w życiu obowiązywać.

Colin potrząsnął głową, odgarniając opadające na oczy długie włosy.

- Nie wiem. Może było lepiej, gdy byłem sierotą.

- Och, naprawdę tak myślisz? - spytał Doyle, pełen udawanego gniewu.

- Gdyby nie ty, nie poleciałbym do Bostonu - przyznał Colin. - Nie udałoby mi się również pojechać do Kalifornii. Ale... nie wiem.

- Jesteś niemożliwy - powiedział Doyle, mierzwiąc ręką włosy chłopca.

Wzdychając głośno, jak gdyby potrzebował cierpliwości Hioba, by wytrzymać z Doyle'em, chłopiec wygładził rozczochrane włosy grzebieniem, który nosił w kieszeni spodni. Schował go i poprawił koszulkę z wizerunkiem King Konga.

- Cóż, będę musiał o tym pomyśleć. Nie jestem jeszcze pewien.

Silnik pracował bezgłośnie. Opony prawie nie wydawały dźwięku, tocząc się po dobrze wygładzonej nawierzchni.

Minęło pięć nie zakłóconych niczym minut; czuli się w swojej obecności na tyle dobrze, by nie przejmować się milczeniem. Colin niepokoił się jednak i zaczął palcami wybijać na swych kościstych kolanach dziko skomplikowany rytm.

- Chcesz poszukać czegoś w radio? - spytał Alex.

- Będę musiał odpiąć pas.

- OK. Ale tylko na minutę albo dwie.

Chłopiec odczuł ulgę, gdy pas uwolnił go ze swego uścisku, zwijając się wężowym ruchem. Po chwili klęczał, odwrócony, na siedzeniu, patrząc przez tylną szybę.

- Wciąż za nami jedzie!

- Hej! - powiedział Alex. - Miałeś zająć się radiem.

Colin odwrócił się i usiadł.

- Pomyślałbyś, że przepuściłem okazję, gdybym nie spróbował. - Nie można było się oprzeć jego szerokiemu uśmiechowi.

- Znajdź w radio jakąś muzykę - powiedział Alex.

Colin manipulował przy odbiorniku AM-FM, aż wreszcie znalazł stację nadającą rock and rolla. Nastawił głośność, po czym, wciąż klęcząc, gwałtownie odwrócił się i spojrzał przez tylną szybę.

- Siedzi nam na ogonie - powiedział. Po chwili opadł na fotel i chwycił pas.

- Niezły z ciebie rozrabiaka, co? - spytał Alex.

- Mną się nie martw - powiedział chłopiec. - Powinniśmy się martwić tym facetem, który jedzie za nami.

O 8.15 zatrzymali się przy restauracji Howarda Johnsa przed Harrisburgiem. Gdy Alex wjeżdżał na parking przed budynkiem o pomarańczowym dachu, Colin szukał furgonetki.

- Jest. Tak jak się spodziewałem.

Alex spojrział przez boczną szybę i zobaczył, jak furgonetka mija restaurację i kieruje się ku stacji benzynowej po drugiej stronie.

Na bocznej ścianie białej furgonetki jaskrawe niebiesko-zielone litery tworzyły napis
BAGAŻÓWKA - PRZEWÓZ MEBLI - ZRÓB TO SAM!

Po chwili samochód zniknął.

- Chodźmy - powiedział Alex. - Czas na śniadanie.

- Owszem - odparł Colin - Zastanawiam się, czy będzie na tyle bezczelny, by wejść za nami do środka?

- Przyjechał tu, żeby zatankować. Zanim wyjdziemy z restauracji, będzie już na trasie, pięćdziesiąt mil stąd.

Gdy prawie godzinę później znów znaleźli się przed budynkiem, wszystkie stanowiska na parkingu były zajęte. Nowy cadillac, dwa pozbawione wieku volkswageny, błyszczący czerwienią triumph, pognieciony i zabłocony stary buick, ich własny, czarny thunderbird i tuzin innych samochodów stało przodem do krawężnika, niczym zwierzęta różnych gatunków korzystające z tego samego żłobu. Nigdzie nie było widać furgonetki.

- Pewnie zatelefonował do swych przełożonych, gdy jedliśmy i dowiedział się, że jest na niewłaściwym tropie - powiedział Alex.

Colin zmarszczył brwi. Wepchnął ręce w kieszenie dżinsów i powiódł wzrokiem po rzędzie samochodów, jak gdyby sądził, że naprawdę kryje się wśród nich sprytnie zamaskowany chevrolet. W przeciwnym razie musiałby wymyślić zupełnie nową grę.

W przekonaniu Doyle'a zniknięcie furgonetki było szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Wydawało się mało prawdopodobne, by nawet Colin mógł wymyślić dwie gry, usprawiedliwiające odpinanie pasa co kwadrans.

Szli powoli do samochodu, Doyle rozkoszując się rześkim, porannym powietrzem, Colin wpatrując się zmrużonymi oczami w parking i mając nadzieję, że dostrzeże gdzieś furgonetkę.

Gdy byli przy samochodzie, chłopiec powiedział”

- Założę się, że zaparkował po drugiej stronie restauracji. - Zanim Doyle zdążył go powstrzymać, Colin wskoczył z powrotem na chodnik i pobiegł za róg budynku, głośno tupiąc tenisówkami o beton.

Alex wsiadł do samochodu, uruchomił go i zwiększył nawiew, by usunąć stęchłe powietrze, które zebrało się w wozie podczas ich nieobecności.

Zanim zdążył zapiąć pas, Colin był z powrotem. Chłopiec otworzył drzwi po stronie pasażera i wgramolił się do środka. Był przygnębiony.

- Tam też go nie ma. - Zamknął i zablokował drzwi, po czym opadł na siedzenie i skrzyżował na piersiach chude ramiona.

- Pas. - Alex wrzucił bieg i wyjechał tyłem z parkingu.

Mrucząc pod nosem, Colin zapiął pas.

Przejechali szosę w kierunku stacji benzynowej i zatrzymali się przy dystrybutorach, by napełnić bak.

Człowiek, który wyszedł pospiesznie z budynku stacji, żeby ich obsłużyć, był po czterdziestce i przypominał muskularnego farmera o czerwonej twarzy i spracowanych dłoniach. Żuł tytoń, co było niezbyt częstym widokiem w Filadelfii czy San Francisco, i wyglądał pogodnie. - Pomóc w czymś, chłopaki?

- Proszę nalać zwykłej - powiedział Alex, podając przez okno kartę kredytową. -

Wejdzie prawdopodobnie pół baku.

- Robi się. - Na kieszeni jego koszuli wyszyto cztery litery - CHET.

Chet pochylił się i jego wzrok powędrował obok Alexa, tam, gdzie siedział chłopiec.

- Jak się masz, szefie?

Colin spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Ś-ś-świetnie - wyjąkał.

Chet odsłonił w uśmiechu rząd poczerniałych zębów.

- Miło słyszeć. - Następnie podszedł do tylnej części samochodu, żeby wlać benzynę.

- Dlaczego nazwał mnie szefem? - spytał Colin. Przewyciężył już swoje niedowierzanie, ale był teraz zakłopotany.

- Może myślał, że jesteś Indianinem - powiedział Alex.

- Pewnie.

- Albo że dowodzisz oddziałem strażaków.

Colin wcisnął się w fotel i obrzucił Alexa kwaśnym spojrzeniem.

- Powinienem być polecieć z Courtney. Nie będę w stanie znieść twoich kiepskich dowcipów przez pięć dni.

Alex roześmiał się.

- Jesteś niemożliwy. - Wiedział, że percepcja i słownictwo Colina wyprzedzają jego wiek i już dawno przyzwyczał się do zdumiewającego nieraz sarkazmu chłopca oraz jego umiejętności stosowania różnych zwrotów. Ale w tych przemądrzałych ripostach było coś wymuszonego. Colin za wszelką cenę starał się być dorosły. Zmagał się z dzieciństwem, próbując zachowywać się mężnie i wejść w wiek młodzieńczy, a później dorosłość, samą siłą swej woli. Takie zachowanie nie było obce Doyle'owi, ponieważ w wieku Colina był taki

sam.

Chet wrócił i podał Doyle'owi na plastikowej podstawce kartę kredytową oraz rachunek. Gdy Alex wziął pióro i podpisał się, benzyniarz znów wpatrzył się w Colina.

- Daleko jedziesz, szefie?

Colin był tak samo roztrzęsiony jak przedtem.

- Do Kalifornii - powiedział, wlepiając wzrok w swoje kolana.

- Patrzcie - powiedział Chet - Coś takiego! To już drugi klient w ciągu godziny, który jedzie do Kalifornii. Zawsze pytam ludzi, dokąd jadą. To tak jakbym im pomagał, rozumiecie? Godzinę temu ten facet, a teraz wy. Wszyscy jadą do Kalifornii, tylko nie ja - westchnął.

Alex zwrócił mu podstawkę i wetknął swoją kartę do portfela. Rzucił okiem na Colina i zauważył, że chłopiec z namysłem czyści jeden paznokieć drugim, by skupić na czymś wzrok na wypadek, gdyby Chet podjął swój monolog.

- Proszę - Chet wręczył Alexowi kwit. - Jedziecie na wybrzeże? - Przesunął prymkę tytoniu z lewej strony ust do prawej.

- Zgadza się.

- Bracia? - spytał Chet.

- Proszę?

- Jesteście braćmi?

- Och, nie - powiedział Alex. Wiedział, że nie ma czasu ani powodu, by wyjaśnić, jaki łączy ich związek. - To mój syn.

- Syn? - Wydawało się, że Chet nie dosłyszał.

- Tak. - Nie był co prawda ojcem Colina, ale mógłby nim być, jeśli chodzi o wiek.

Chet spojrzał na zmierzwione włosy Doyle'a, które opadały na kołnierz. Popatrzył

krytycznie na jego wzorzystą koszulę z dużymi drewnianymi guzikami. Alex był niemal gotów podziękować temu człowiekowi za przypuszczenie, że jest zbyt młody, by mieć syna w wieku Colina - gdy nagle zdał sobie sprawę, że nastrój benzyniarza uległ zmianie.

Temu człowiekowi nie chodziło o to, że Doyle jest zbyt młody, by być ojcem jedenastolatka, ale że ojciec powinien dawać lepszy przykład. Doyle miał prawo wyglądać i ubierać się dziwnie, gdyby był bratem Colina, ale jeśli był jego ojcem, to zachowywał się niewłaściwie - przynajmniej w rozumieniu Cheta.

- Myślałem, że ma pan jakieś dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat - powiedział, przesuwając językiem tytoń.

- Trzydzieści - odparł Alex, zastanawiając się, dlaczego w ogóle udziela odpowiedzi.

Benzyniarz spojrział na zgrabny, czarny wóz. W jego wzroku pojawiła się ledwie widoczna twardość. Sądził oczywiście, że o ile nie było niczego złego w tym, że Doyle prowadzi samochód, który mógł należeć do jego ojca, o tyle sprawa wyglądała inaczej, jeśli to Doyle był jego właścicielem. Jeśli człowiek, który wyglądał tak, jak Doyle, mógł mieć wspaniały wóz i pozwolić sobie na jazdę do Kalifornii, podczas gdy o połowę starszy człowiek pracy nie mógł - to nie było sprawiedliwości na świecie.

- No cóż - powiedział Alex. - Miłego dnia.

Chet cofnął się na wysepkę z dystrybutorami, nie życząc im szczęśliwej podróży.

Patrzył niezadowolony na samochód. Gdy szyba podjechała do góry jednym, płynnym ruchem, zmarszczył się jeszcze bardziej, a linie na jego czerwonym czole zbiegły się jak wałki falistej blachy.

- Jaki miły człowiek. - Alex wrzucił bieg i wyjechał ze stacji.

Gdy znów znaleźli się na trasie, zmierzając na zachód, Colin niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak śmieszy? - spytał Alex.

Był wewnętrznie roztrzęsiony. Jego złość była nieproporcjonalna do tego, co tamten człowiek uczynił. W rzeczywistości nie zrobił niczego, z wyjątkiem okazania milczącego uprzedzenia.

- Gdy powiedział, że wyglądasz na dwadzieścia jeden lat, myślałem, że chce cię nazwać szefem, tak jak mnie. - powiedział Colin. - To byłoby niezłe.

- Jasne! Boki zrywać.

Colin wzruszył ramionami.

- Sądziłeś, że to zabawne, kiedy mnie nazwał szefem.

Gdy jego złość i strach zaczęły ustępować, Doyle zdał sobie sprawę, że jego własna reakcja na nie wypowiedzianą niechęć benzyniarza była jedynie łagodniejszą odmianą przesadnej reakcji Colina na przyjacielską gadaninę tamtego człowieka. Czy Colin, pod przykrywką szczerego, przyjacielskiego zachowania Cheta dojrzał ukrytą wrogość? Czy też ujawnił swą wrodzoną nieśmiałość? Nie miało to żadnego znaczenia. Bez względu na to, jak było, pozostawało faktem, że obydwu potraktowano niesprawiedliwie.

- Przepraszam, Colin. Nigdy nie powinienem był pozwolić na ten ton wyższości, z jakim przemawiał do ciebie.

- Traktował mnie, jakbym był dzieckiem.

- To pułapka w jaką wpadają dorośli - powiedział Alex. - Ale to nie jest w porządku.

Przyjmiesz moje przeprosiny?

Colin był nadzwyczaj poważny, siedział sztywny i wyprostowany, ponieważ po raz pierwszy dorosły prosił go o wybaczenie.

- Przyjmuję - odrzekł z powagą. Po chwili na jego łobuzerskiej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Ale wciąż żałuję, że i ciebie nie nazwał szefem, tak jak mnie.

Grube sosny i wiązy o czarnych pniach tłoczyły się teraz po obu stronach drogi, kołysząc się nieznacznie na wiosennym wietrze.

Autostrada wznosiła się na przestrzeni prawie mili. Za szczytem owego wzniesienia nie opadła ponownie, lecz ciągnęła się przez równą płaszczyznę terenu ku kolejnemu wzniesieniu. Las majaczył w oddali, wysokie sosny stojące na warcie w dumnym szeregu, rozłożyste wiązy, niczym generałowie dokonujący przeglądu wojsk.

W połowie płaskiego odcinka, po prawej stronie, znajdował się przydrożny parking. Spod drzew wycięto niskie zarośla. Pod rzadko rosnącymi sosnami ustawiono kilka drewnianych stołów - przytwierdzonych do betonowych słupków w celu zapobieżenia kradzieży - oraz kilka koszy na śmieci. Był też znak informujący o toalecie publicznej. O tak wczesnej godzinie przy stołach nie było żywej duszy. Jednakże, na zachodnim krańcu tego miniaturowego parku, tuż przy wyjeździe, gotowa do jazdy, stała furgonetka.

BAGAŻÓWKA - PRZEWÓZ MEBLI - ZRÓB TO SAM!

Był to bez wątpienia ten sam wóz.

- Znowu on! - powiedział Colin, przyciskając nos do szyby, gdy przemknęli obok furgonetki z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę. - To naprawdę on!

Doyle spojrział w lusterko i zobaczył, że furgonetka wjeżdża na główną drogę.

Przyspieszyła gwałtownie. Po trzech czy czterech minutach zbliżyła się na odległość jednej czwartej mili, podążając za nimi tak, jak poprzednio.

Doyle wiedział, że był to jedynie zbieg okoliczności. W grze Colina nie było realności. Była w takim samym stopniu fantazją, jak wszystkie gry, które Alex rozgrywał z chłopcem w przeszłości. Nikt na całym świecie nie żywił do niego urazy. Nikt na całym świecie nie miał powodu ścigać ich w złych zamiarach. Zbieg okoliczności...

A jednak Alex czuł na swych plecach chłód, jak skorupę wyimaginowanego lodu.

George Leland prowadził wynajętą, liczącą dwadzieścia stóp długości furgonetkę jak gdyby pchał przed sobą wózek spacerowy, nie trzęsąc nawet meblami i sprzętem domowym, który wypełniał przestrzeń bagażową za przednim siedzeniem. Krajobraz znikał w tyle, droga ginęła pod kołami, a Leland sprawował nad wszystkim kontrolę.

Wyrastał w pobliżu ciężarówek oraz innych dużych maszyn, i miał talent, który pozwalał mu wykorzystywać ich możliwości do maksimum. Mieszkając na farmie obok Lancaster, umiał prowadzić ciężarówkę do zwózki siana zanim skończył trzynaście lat, przemierzając ojcowskie pole i zbierając siano ze stogów. Zanim skończył szkołę średnią, obsługiwał kosiarkę, snopowiązałkę, pług mechaniczny oraz inny ciężki sprzęt zapewniający ciągłość rolniczego cyklu, począwszy od siewu, poprzez żniwa, aż do kolejnego siewu. Gdy wyjechał do college'u, zarabiał na chesne prowadząc wóz dostawczy, podobny do tego, którym przemierzał Pensylwanię. Później, gdy był już dorosły, prowadził potężną ciężarówkę należącą do przedsiębiorstwa paliwowego, i w ciągu dwu lat pracy nie zdarzyło się, by zarysował swój wóz czy jakikolwiek mijany pojazd. Po dwóch latach zaoferowano mu dalszą pracę w tym przedsiębiorstwie, ale oczywiście odmówił. Rok później, gdy zrobił drugi stopień specjalizacji w budownictwie i dostał prawdziwą pracę, często wskakiwał na jedną z tych gigantycznych koparek i uruchamiał ją - nie dlatego, że martwił się o jakość wykonanej pracy, ale dlatego, że lubił obsługiwać sprzęt i mieć świadomość, że wciąż ma pewną rękę. A teraz, przez cały poniedziałkowy poranek i popołudnie, podążał wynajętą furgonetką na zachód. Cały czas trzymał się za czarnym thunderbirdem w tej samej odległości. Gdy tamten wóz zwalniał, on zwalniał również. Gdy przyspieszał, Leland szybko nadrabiał dzielący ich dystans. Przez większość drogi, jednakże, thunderbird utrzymywał stałą prędkość siedemdziesięciu mil na godzinę. Leland wiedział, że najbardziej luksusowy model

t-birda jest wyposażony w dźwignię ustawienia szybkości, umieszczoną na kierownicy, która ułatwia jazdę na długich dystansach. Doyle prawdopodobnie korzystał z tego urządzenia. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Godzina za godziną, bez wysiłku, z dużą wprawą, George Leland podążał za samochodem o automatycznie kontrolowanej szybkości, jak gdyby sam był maszyną.

Leland był dużym mężczyzną, miał sześć stóp trzy cale wzrostu i ważył ponad dwieście funtów. Kiedyś ważył o dwadzieścia funtów więcej, lecz ostatnimi czasy cierpiał na spadek wagi, ponieważ zapominał jadać regularnie. Jego szerokie ramiona były przygarbione bardziej niż niegdyś, a wąska talia jeszcze węższa. Miał kwadratową twarz, okoloną jasnymi, niemal białymi włosami. Oczy były niebieskie, a cera bez skazy, z wyjątkiem pasma piegów na nosie. Na szyi widać było tylko mięśnie, chrząstki i nabrzmięte żyły. Gdy ujmował kierownicę swymi ogromnymi dłońmi i gdy napinał bicepsy nieświadomioną mocą swego chwytu, wyglądał nieporuszenie, jak gdyby był przyspawany do swego pojazdu.

Nie włączył radia.

Nie spojrzał na krajobraz.

Nie palił, nie żuł gumy, nie mówił do siebie.

Mila za milą, jego uwaga skupiała się na drodze, na samochodzie, który widział przed sobą i na maszynie, której szum, otaczający go ze wszystkich stron, sprawiał przyjemność. W ciągu pierwszych godzin podróży ani razu nie pomyślał o mężczyźnie i chłopcu w thunderbirdzie jak o konkretnych ludziach. Jego rozbiegane myśli, jeśli nie dotyczyły prowadzenia samochodu, były mgliste i niesprecyzowane. Czuł przede wszystkim ogromną, hipnotyczną nienawiść, która nie skupiała się na określonym celu. Celem tym w jakiś sposób stałby się wreszcie samochód, który jechał przed nim. Wiedział o tym. Ale w tej chwili podążał za nim jak automat.

Za Harrisburgiem thunderbird skierował się autostradą na zachód, zjechał na trasę międzystanową siedemdziesiąt i przeciął najbardziej na północ wysunięty skrawek Zachodniej Wirginii. Za Wheeling, już w granicach Ohio, kierowca samochodu zasygnalizował zamiar skrętu w stronę centrum usługowego, pełnego stacji benzynowych, moteli i restauracji.

W chwili, gdy Leland ujrzał kierunkowskaz, nacisnął hamulec i trzymał się za Doyle'em w odległości mili. Gdy skręcał do centrum w minutę po thunderbirdzie, nigdzie nie widział tego dużego, czarnego wozu. Zjeżdżając z podjazdu, zawahał się tylko chwilę, a następnie skręcił na zachód, w stronę największego skupiska budynków. Jechał powoli, wypatrując samochodu. Znalazł go przed prostokątną aluminiową restauracją, przypominającą wagon kolejowy starego typu. T-bird chłodził się w cieniu ogromnego znaku z napisem: PIERWSZORZĘDNE JEDZENIE U HARRY'EGO.

Leland jechał tak długo, aż dotarł do Breena, ostatniej restauracji w płataninie skrzyżowania, pełnej chromu, plastiku, neonów i imitacji kamienia. Zaparkował chevroleta po drugiej stronie niedużego budynku, tak aby nikt, przebywający u Harry'ego, pięćset jardów dalej, nie mógł go dojrzeć. Wysiadł, zamknął furgonetkę i poszedł na lunch.

Knajpa Breena wyglądała, przynajmniej na zewnątrz, jak restauracja, w której zatrzymali się Doyle i chłopiec. Miała osiemdziesiąt stóp długości i kształt aluminiowej tuby, zaprojektowanej tak, by przypominała wagon kolejowy, z długim rzędem wąskich okienek wzdłuż trzech boków i z przybudówką, pełniącą rolę wejścia, którą dostawiano do samej restauracji dopiero po jakimś czasie.

Wewnątrz, przy ścianie, obok okien, umieszczono rząd popękanych plastikowych boksów. W każdym z nich znajdowała się porysowana popielniczka, cylindryczny, szklany

dozownik z cukrem, szklana solniczka i pieprzniczka, stalowy pojemnik z serwetkami i włącznik szafy grającej, która stała obok toalety we wschodnim końcu restauracji. Szerokie przejście oddzielało boksy od kontuaru, który biegł przez całą długość pomieszczenia. Po wejściu do środka Leland skierował się w prawo. Przeszedł do pomieszczenia i usiadł w miejscu, w którym kontuar zakręcał, skąd mógł od czasu do czasu spoglądać ponad boksami w okno i patrzeć na thunderbirda, zaparkowanego przy restauracji Harry'ego. Ponieważ była to ostatnia restauracja w tym rejonie, a pora lunchu mijała przed 14.30, pomieszczenie było niemal wyludnione. W boksie przy wejściu siedziała para w średnim wieku i w kamiennym milczeniu spożywała pracowicie kanapki z rostbefem. Za nimi, twarzą do Lelanda, siedział pomocnik szeryfa z policji stanowej Ohio. Zajmował się swoim cheeseburgerem i frytkami. W boksie znajdującym się w drugim końcu restauracji rozczochrana kelnerka z farbowanymi włosami paliła papierosa i gapiała się na żółte płytki sufitu.

W pomieszczeniu była jeszcze tylko kelnerka stojąca za kontuarem, która podeszła do Lelanda. Mogła mieć dziewiętnaście lat i była różną, ładną blondynką o oczach tak niebieskich jak oczy Lelanda. Jej strój służbowy pochodził ze sklepu z przecenionym towarem, ale dziewczyna nadała mu indywidualny rys. Spódnice skrócono o osiem cali nad zgrabnymi kolanami. Na jednej kieszeni wyhaftowano skaczącą wiewiórkę, na drugiej królika. Białe guziki zastąpiono czerwonymi. Na jej lewej piersi widniał wyhaftowany ptak, a na prawej, zabawnymi literami, wyszyto jej imię: Janet. A pod spodem wesołe powitanie: Jak się masz! Miała słodki uśmiech, wdzięczny zwyczaj przekrzywania głowy, urok myszki Miki - i najwyraźniej stanowiła łatwy kąsek.

- Chce pan rzucić okiem na menu? - spytała. Jej głos był jednocześnie gardłowy i dziecinny.

- Kawę i cheeseburgera - powiedział Leland.

- Frytki także? Są gotowe.

- No dobrze, niech będą. - powiedział. Zapisała wszystko, po czym mrugnęła do niego.

- Za chwilę wracam.

Patrzył jak idzie wzdłuż kontuaru. Miała zgrabny chód. Obcisła spódniczka przylegała do wyraźnie zarysowanych pośladków jej okrągłej pupy. Nagle okazało się, choć taka przemiana była niemożliwa, że dziewczyna jest naga. Widział jak jej ubranie znika w jednej chwili. Patrzył na jej długie nogi, rozciętą okrągłość, doskonałą linię jej smukłych pleców... Skierował pełen winy wzrok na kontuar, czując twardnienie w lędźwiach, a potem nagłe zmieszanie i dezorientację. W tym momencie nie potrafił nawet powiedzieć, gdzie się znajduje. Janet wróciła z kawą i postawiła ją przed nim.

- Śmietankę?

- Tak, proszę.

Sięgnęła pod kontuar i wyciągnęła wysoki na dwa cale kartonowy pojemnik w kształcie butelki. Rozłożyła sztucze, przyjrzała się krytycznie swojej pracy i uznała, że wszystko jest w porządku. Ale nie zostawiła go sam na sam z kawą, tylko oparła łokcie o kontuar, podparła brodę dłońmi i posłała mu szelmowski uśmiech.

- Dokąd się pan przeprowadza?

Leland zmarszczył brwi.

- Skąd pani wie, że się przeprowadzam?

- Widziałam jak zajeżdża pan na parking. Tą bagażówką. Chce pan zamieszkać gdzieś w okolicy?

- Nie - powiedział, nalewając śmietankę do kawy. - Jadę do Kalifornii.

- O, rany! - powiedziała. - Wspaniale! Palmy, słońce, surfing...

- Tak - powiedział, pragnąc, by odeszła.

- Chciałabym nauczyć się surfingu - powiedziała. - Lubię morze. Każdego lata jadę na dwa tygodnie do Atlantic City, wyleguję się na plaży i opalam na brąz. Mam ładną opaleniznę. Noszę bardzo skąpe bikini, dzięki czemu opalam się na całym ciele. - Roześmiała się z fałszywą skromnością. - No... prawie na całym. Aż tak skąpych bikini nie aprobują w Atlantic City.

Leland popatrzył na nią znad brzegu swojej filiżanki.

- Burger i frytki! - krzyknął kucharz przez okienko służbowe, łączące restaurację z kuchnią.

- Dla pana - powiedziała cicho. Odeszła, wzięła jedzenie i postawiła przed nim. - Coś jeszcze?

- Nie - powiedział.

Znów oparła się o kontuar i mówiła, podczas gdy on jadł. Za wszelką cenę chciała uchodzić za naiwną. Chichotała, często mrugała i oblewała się rumieńcem. Doszedł do wniosku, że jest o pięć lat starsza, niż początkowo sądził.

- Mogę prosić o jeszcze jedną kawę? - spytał w końcu, by pozbyć się jej na kilka chwil.

- Jasne - powiedziała, biorąc pustą filiżankę i podchodząc do wysokiego, chromowanego ekspresu.

Obserwując Janet, Leland poczuł dziwną wibrację - i znów ujrzał ją bez ubrania, tak jak poprzednio. Nie wyobrażał sobie jej nagości. Naprawdę widział ją tak wyraźnie jak inne szczegóły wnętrza, które otaczały kelnerkę. Jej długie nogi i okrągłe pośladki naprężyły się, gdy wspięła się na palce, by sprawdzić filtr na ogromnym dzbanku. Gdy odwróciła się, piersi dziewczyny zakołysały się, a sutki nabrzmiały pod jego wzrokiem.

Przymykając powieki, Leland rozpaczliwie próbował wymazać sprzed oczu tę wizję.

Otworzył je i stwierdził, że wciąż trwa. Z każdą upływającą sekundą czuł się coraz dziwniej.

Zacisnął dłoń na nożu, który mu dała kelnerka. Uniósł go i trzymał blisko twarzy,

patrząc na jasne, ząbkowane ostrze. Po chwili ostrze zmiękło, rozmazało się, gdy jego wzrok

powędrował dalej, ku nagiej dziewczynie, która zdawała się zmierzać ku niemu przez gęstą

mgłę, kołysząc piersiami przy każdym kroku... myślał o tym, by wepchnąć nóż między jej

zębra, głęboko, a później obracać nim tam i z powrotem, aż przestałaby krzyczeć i rozwarłaby

się zachęcająco...

W tym momencie, gdy niemal była przy nim, niosąc uważnie w swych smukłych

dłoniach przepelnioną filiżankę z kawą, Leland zorientował się, że ktoś go obserwuje. Obrócił

się nieznacznie na swoim stołku i spojrzał na parę w średnim wieku, siedzącą przy drzwiach.

Mężczyzna miał usta pełne jedzenia, ale nie poruszał szczękami. Z wypchanymi policzkami,

obserwował Lelanda i jego napiętą twarz, a także nóż tkwiący niczym pochodnia w prawej

dłoni inżyniera. Siedzący w drugim boksie policjant także przestał jeść, żeby popatrzeć na

Lelanda. Zmarszczył brwi, jak gdyby nie był pewien, co Leland zamierza zrobić z nożem.

Leland odłożył go i ześliznął się ze swego stołka w chwili, gdy kelnerka zjawiła się z

kawą. Pogrzebał w portfelu i rzucił na kontuar dwa dolary.

- Już pan wychodzi? - spytała. Jej głos dochodził z oddali i był tak lodowaty, że

Leland poczuł dreszcz.

Nie odpowiedział. Szybko podszedł do drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Dzień wydawał się okrutnie jasny, gdy zmierzał pospiesznie w stronę swego

samochołu.

Siedząc już za kierownicą chevroleta słyszał, jak serce wali mu dziko w ścianę klatki

piersiowej. Oddychał z bolesnym wysiłkiem i drżał jak zmarznięty, przemoczony pies.

Chociaż kelnerki nie było w pobliżu i choć miał zaciśnięte powieki, wciąż ją widział: jej giętkie ciało, długie obnażone nogi, szeroko rozstawione piersi... widział samego siebie, wpychającego w nią ostrze, podczas gdy jej jasna skóra rozstępuje się, widział siebie samego, przeskakującego kontuar i biorącego ją siłą na podłozie. Nikt by go nie powstrzymał, ponieważ to on trzymałby nóż. Wszyscy baliby się. Nawet policjant. On, Leland, mógłby wgniatać dziewczynę w brudne płytki podłogowe za kontuarem i rozdzierać ją ile razy by tylko zechciał...

Pomyślał o nożu i tryskającej krwi, o piersiach dziewczyny, o dotyku jej ciała wijącego się pod nim, i ujrzał przerażone spojrzenia obecnych w restauracji, spojrzenia jakimi by go obdarzyli, gdyby naprawdę to zrobił. Stan, w jakim się znajdował, zaczął stopniowo przemijać. Serce uspokoiło się. Jego oddech stał się bardziej regularny.

Uniósł głowę i niespodziewanie uchwycił swoje odbicie w szerokim lusterku bocznym, znajdującym się przy szybie. Spojrzał we własne oczy i przez chwilę zdawał sobie sprawę, gdzie się znajduje i co robi. W nagłym przebłysku świadomości przypomniał sobie, dlaczego ściga thunderbirda i co chce zrobić ludziom, którzy w nim podróżują.

I wiedział, że to wszystko jest złe. Czuł mdłości, zmieszanie, zagubienie.

Odwracając wzrok od odbicia własnych oczu, czując obrzydzenie do tego, co w nich ujrzał, stwierdził, że policjant wyszedł z restauracji i zbliża się do furgonetki. W jakiś irracjonalny sposób był przekonany, że funkcjonariusz wie o wszystkim. Że jakimś cudem wie o tym, co Leland chciałby zrobić z dziewczyną i o tym, co chciałby zrobić z ludźmi w thunderbirdzie.

Leland uruchomił furgonetkę.

Funkcjonariusz krzyknął coś do niego.

Nie mogąc usłyszeć słów policjanta, pewien, że nie chce ich usłyszeć, Leland wrzucił

bieg i wcisnął pedał gazu.

Policjant znów krzyknął.

Furgonetka drgnęła i zatrzęsła się, a spod jej kół wytrysnął żwir.

Leland zwolnił gaz i wyrównał obroty. Wyjechał z parkingu i zaczął przyspieszać jadąc przez gąszcz moteli i stacji benzynowych.

Jego oddech znów stał się ciężki. Z gardła dobywało się łkanie.

Gdy dotarł do wschodniego krańca kompleksu usługowego, skręcił w podjazd prowadzący do trasy numer siedemdziesiąt znacznie szybciej niż powinien.

Nie zainteresował się natężeniem ruchu, tylko obojętnie wjechał na drogę. Na szczęście oba zachodnie pasma były wolne.

Choć Leland pamiętał mgliście, że policja często patroluje trasę i ustawia radary, pozwolił, by wskazówka szybkościomierza pięła się w górę. Gdy zbliżyła się do setki, furgonetka zatrzęsła się lekko i osiągnęła swą maksymalną prędkość, jak koń czystej krwi, który przechodzi w kłus.

Meble w części bagażowej trzęsły się i obijały o burty samochodu. Podręczna lampka przewróciła się z trzaskiem pękającego szkła.

Leland spojrzął w lusterko. Policjant albo nie wyruszył za nim w ogóle albo nie wyruszył dostatecznie szybko. Droga za furgonetką była pusta.

Mimo wszystko Leland utrzymywał prędkość stu mil na godzinę. Jezdnia huczała pod kołami. Płaski teren przepływał za szybami samochodu, jak szybko zmieniająca się dekoracja teatralna. Panika, która go ogarnęła, zamierała po trochu. Słabło stopniowo uczucie, że wszyscy go obserwują, że wszyscy są przeciwko niemu, że jest przezroczystry, że jest nieustępliwie ścigany przez siły, mające w jakimś sensie związek z tym funkcjonariuszem stanowym. Podążając na zachód, szybko stał się częścią swego pojazdu. Prowadził go

bezpiecznie i uważnie. Po przejechaniu siedmiu czy ośmiu mil zwolnił do dozwolonej prędkości; choć od chwili w której opuścił restaurację, minęły zaledwie minuty, nie mógł sobie przypomnieć, co było głównym powodem jego paniki...

Lecz nagle przypomniał sobie Doyle'a i Colina. Thunderbird znajdował się gdzieś z tyłu, na wschodzie. Może wciąż parkował w cieniu tego ogromnego znaku na restauracji Harry'ego. Nawet gdyby znów był w drodze, Doyle i dzieciak i tak znajdowałiby się o całe mile z tyłu, poza zasięgiem wzroku. Lelandowi to się w ogóle nie podobało.

Pozwolił, by furgonetka zwolniła jeszcze bardziej. W miarę jak zaczął uświadamiać sobie, że to oni podążają za nim, jego wszechobecny strach zaczął przybierać znajomą formę. Szara droga wyglądała teraz jak tunel, który był pułapką bez wyjścia.

W chwilę później ujrzał majaczący po prawej stronie parking przydrożny, oddzielony od autostrady podwójnym rzędem sosen.

Leland nacisnął na hamulec i wjechał tam, wspinając się na niewielkie wzniesienie.

Zaparkował na kwadratowym, żwirowatym terenie, który wychodził na autostradę, dzięki czemu mógł obserwować przejeżdżające samochody, kierując wzrok między grube, brązowe pnie drzew.

Wszystko, co miał teraz do roboty, to czekać i patrzeć na drogę. Gdyby thunderbird przejeżdżał, Leland mógłby podążyć za nim, dogonić go w ciągu dwóch czy trzech minut.

Czuł ogromną ulgę.

Policjant zdążył wysiąść z samochodu, zanim George Leland w ogóle się zorientował, że nie jest już sam. Przez całe pięć minut obserwował drogę widniejącą między sosnami, i musiał być nieco zahipnotyzowany jasnym blaskiem słońca i strugą samochodów, zmierzających na zachód. Jeszcze przed chwilą sądził, że jest sam - by nagle uświadomić sobie obecność wozu patrolowego policji stanowej Ohio, który podjechał do furgonetki.

Częściowo zanurzony w cieniu sosen a częściowo w promieniach słońca, wyglądał nierealnie.

Światło alarmowe na dachu obracało się, choć syrena nie była włączona. Policjant, który wysiadł z wozu, był trzydziestoletnim, poważnym człowiekiem o mocno zarysowanej szczęce. Był to ten sam mężczyzna, który jadł lunch u Breena i który wołał do Lelanda po wyjściu z restauracji.

Leland przypomniał sobie mgliście, dlaczego odczuwał panikę. Świat ponownie zdawał się kurczyć wokół niego. W kącikach oczu pojawiła się ciemność, jak rozlewające się plamy atramentu. Czuł się uwięziony i bezbronny, i miał wrażenie, że stanowi łatwy cel dla tych, którzy chcieli go skrzywdzić. Ostatnimi czasy wszyscy zdawali się go ścigać. Był wiecznym uciekinierem.

Opuścił szybę, gdy policjant zbliżał się do niego.

- Jest pan sam? - spytał pomocnik szeryfa, zatrzymując się dostatecznie daleko od furgonetki, by Leland nie mógł uderzyć go drzwiami, gdyby nagle je otworzył. Trzymał dłoń na kolbie rewolweru, tkwiącego w kaburze.

- Sam? - powtórzył Leland. - Tak, proszę pana.

- Dlaczego się pan nie zatrzymał, kiedy wołałem?

- Wołał pan?

- W restauracji - powiedział policjant, a jego głos wydawał się pewniejszy i dojrzały niż jego gładka twarz.

Leland wyglądał na zakłopotanego.

- Nie zauważyłem pana. Wołał mnie pan?

- Dwa razy.

- Przykro mi - powiedział Leland. - Nie słyszałem. - Zmarszczył brwi. - Czy złamałem przepisy? Zazwyczaj jeżdżę ostrożnie.

Policjant przypatrywał mu się uważnie przez chwilę, badał jego niebieskie oczy, przyglądał się ogorzalej twarzy Lelanda i równo przyciętym włosom, po czym odprężył się.

Zdjął dłoń z kolby rewolweru. Postąpił kilka kroków dzielących go od furgonetki.

- Nie chodzi o przepisy - powiedział. - Mimo wszystko, chciałbym rzucić okiem na pańskie prawo jazdy i papiery wozu.

- Oczywiście - powiedział Leland. - Zawsze do usług.

Udając, że sięga po portfel, wyjął z pudełka leżącego na siedzeniu obok pistolet kalibru 0.32. Uniósł go jednym, płynnym ruchem na wysokość okna, skierował lufę ku twarzy policjanta i pociągnął za spust. Pojedynczy strzał odbił się echem w zagajniku sosnowym i zagrział przeraźliwie gdzieś nad autostradą.

Leland siedział i obserwował ruch na trasie przez kilkanaście minut, zanim dotarło do niego, że powinien ukryć ciało. W każdej chwili na parkingu mógł ktoś się zjawić, zobaczyć zwłoki policjanta rozciągnięte między radiowozem a furgonetką i wezwać pomoc.

Ostatnio wszyscy go ścigali. Zdołał utrzymać się przy życiu tylko dzięki temu, że zawsze wyprzedzał swych prześladowców o jeden krok. Nie mógł pozwolić sobie na to, by stracić zdolność jasnego myślenia.

Pchnął drzwi furgonetki i wysiadł.

Policjant leżał twarzą do ziemi, a wokół jego głowy zebrała się kałuża ciemnej krwi.

Wyglądał teraz na znacznie mniejszego, niemal na dziecko.

W ciągu ostatniego roku, wyczuwając już spisek zacieśniający się wokół niego,

Leland nieraz zastanawiał się, czy potrafiłby zabić w obronie własnej. Wiedział, że do tego dojdzie. Zabić albo być zabitym. Aż do tej chwili nie był pewien, o którą z tych możliwości chodzi. Teraz nie potrafił zrozumieć, jak mógł w ogóle odczuwać jakiegokolwiek wątpliwości.

Gdy chodziło o to, czy zabić samemu, czy też być zabitym, nawet człowiek nastawiony

pokoju było w stanie się bronić.

Nie odczuwając jakichkolwiek emocji, Leland schylił się, chwycił trupa za kostki u nóg i pociągnął w stronę otwartych drzwi wozu patrolowego. Znajdujące się w środku krótkofalowe radio trzeszczało hałaśliwie. Leland wepchnął ciało do samochodu i pozwolił, by opadło na kierownicę. Ale nie był to dobry pomysł. Nawet z daleka policjant wyglądał na martwego. Zdając sobie sprawę, że będzie musiał dokładniej ukryć ciało, Leland wepchnął je głębiej i sam wgramolił się do samochodu.

Dotknął kierownicy, nieświadomy tego, że pozostawia odciski palców.

Dotknął oparcia winylowego fotela.

Zapominając o krzepnącej krwi, przycisnął zmasakrowaną twarz martwego mężczyzny do jego kolan, po czym zepchnął zgięty korpus na podłogę przy siedzeniu pasażera.

Dotknął bezmyślnie okna po tej stronie samochodu, mocno przyciskając całą dłoń do szyby.

Musiał wepchnąć ciało do wnęki pod tablicą rozdzielczą, ale gdy skończył, był pewien, że nikt nie znajdzie zwłok, chyba że otworzy drzwi samochodu.

Wygrzebując się z wozu, dotknął siedzenia winylowego fotela.

Znów dotknął kierownicy.

Zamknął drzwi, zaciskając palce na klamce.

Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, by wziąć szmatkę i wytrzeć wszystko, czego dotknął. Zdążył już niemal zapomnieć o martwym człowieku wepchniętym w kąt służbowego wozu.

Wrócił do furgonetki, wsiadł do środka i zamknął drzwi. Po autostradzie przemykały samochody, odbijając złoty blask późnego, popołudniowego światła. Leland obserwował

drogę przez ponad dziesięć minut, czekając aż ujrzy thunderbirda.

Gdy wpatrywał się w ten mały obszar, jego myśli wędrowały, by wreszcie zatrzymać się na młodej kelnerce, która obsługiwała go w restauracji, na dziewczynie z królikami i wiewiórkami wyhaftowanymi na stroju służbowym. Teraz wiedział, dlaczego wprawiała go w zakłopotanie i denerwowała. Z tymi długimi, platynowymi włosami i delikatnymi rysami przypominała odrobinę Courtney. Nie bardzo, ale trochę. Dlatego tak go oczarowała. Teraz już wiedział, że nie chciał wepchnąć w nią noża, że nigdy tego nie chciał. Nie pragnął się z nią również kochać. Prawdę powiedziawszy, nie interesował się tą dziewczyną w ogóle. Był człowiekiem, dla którego istniała tylko jedna kobieta. Zależało mu jedynie na jego ukochanej Courtney.

Tak jak jego myśli powędrowały od kelnerki do Courtney, tak też powędrowały od Courtney do Doyle'a i chłopca. Leland był zszokowany, gdy nagle przyszło mu do głowy, że thunderbird przejechał, gdy on przenosił martwego policjanta do radiowozu. Być może minęli go ze dwadzieścia minut wcześniej. Być może wyprzedzają go teraz o całe mile...

A jeśli Doyle zmienił zaplanowaną trasę? Jeśli podążał drogą, która nie była zaznaczona na jego mapie?

Leland czuł jak serce podchodzi mu ze strachu do gardła.

Gdyby stracił Doyle'a i dzieciaka, to czyż nie straciłby również Courtney? Gdyby stracił Courtney, gdyby stracił drogę do niej, czyż nie straciłby wszystkiego?

Z czołem zroszonym grubymi kroplami potu pomimo klimatyzacji, wrzucił bieg i wycofał się. Przednie koła odcisnęły łuk w zakrwawionym żwirze. Skierował się w stronę podjazdu prowadzącego ku autostradzie i wyprowadził chevroleta z przydrożnego parkingu. Światło alarmowe na dachu radiowozu wciąż się obracało, ale Leland nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie istniała dla niego inna rzeczywistość niż droga przed jego oczyma i thunderbird,

który właśnie przed nim umykał.

Gdy byli w drodze już od piętnastu minut, a chevrolet nie pokazał się w lusterku, Doyle przestał go wypatrywać. Był zaniepokojony, gdy po przerwie na śniadanie furgonetka znów zaczęła za nimi podążać, ale był to naturalnie zbieg okoliczności. Jechała za nimi przez całą Pensylwanię, przecięła skrawek Zachodniej Wirginii i przekroczyła granicę Ohio - ale działało się tak dlatego, że przypadkowo zmierzała na zachód tą samą trasą, którą i oni wybrali. Kierowca furgonetki, kimkolwiek był, znalazł tę drogę na mapie, tak jak Doyle; w głowie tego człowieka nie lęgåo się nic złego, gdy planował swą podróż.

Alex zbyt późno doszedł do wniosku, że mógł w każdej chwili uwolnić się od niepokojących myśli, zjeżdżając po prostu na pobocze i przepuszczając furgonetkę. Mógł odczekać piętnaście minut, by wyprzedziła ich na dobre i z miejsca pozbyć się szalonego przypuszczenia, że są ścigani. W każdym razie nie miało to już żadnego znaczenia.

Furgonetka jechała gdzieś daleko z przodu.

- Jest za nami? - spytał Colin.

- Nie.

- A niech to diabli.

- A niech to diabli?

- Naprawdę chciałbym wiedzieć, co on kombinował - powiedział Colin. - Teraz już chyba nigdy się nie dowiemy.

Alex uśmiechnął się.

- Chyba nie.

W porównaniu z Pensylwanią, Ohio było stanem niemal nizinnym. Połacie zielonych obszarów ciągnęły się po obu stronach autostrady, zakłócone z rzadka widokiem obskurnego miasteczka, dobrze utrzymanej farmy czy dziwnie osamotnionej i zwyczajowo brudnej

fabryki. Niezmiennność krajobrazu ginącego gdzieś w oddali pod kopułą jednakowo błękitnego nieba była nudna i przygnębiająca. Samochód zdawał się pełznąć, osiągając zaledwie jedną czwartą swej faktycznej prędkości.

Po zaledwie dwudziestu minutach jazdy Colin zaczął się wiercić.

- Ten pas został niewłaściwie wykonany - powiedział.

- Ach tak?

- Wydaje mi się, że jest za ciasny.

- Nie może być za ciasny. Jest bezwładnościowy.

- Nie wiem... - Colin wypróbował go obiema dłońmi.

- Nie uda ci się pozbyć pasów przy pomocy tak idiotycznych argumentów.

Colin spojrział na odkryte pola, potem na stado tłustych krów, pasących się na wzgórku nad białą-czerwoną stodołą.

- Nie wiedziałem, że na świecie jest tyle krów. Od chwili, gdy wyjechaliśmy z domu, wszędzie widzę krowy. Jeśli zobaczę jeszcze jedną, to się porzygam.

- Nie porzygasz - powiedział Alex. - Kazałbym ci posprzątać.

- Czy reszta Ameryki też tak wygląda? - spytał Colin, wskazując chudą dłonią na niezmienny krajobraz.

- Wiesz, że nie - powiedział Doyle cierpliwie. - Zobaczysz rzekę Missisipi, pustynie, Góry Skaliste... Odbyłeś w wyobraźni dostatecznie wiele wędrówek dookoła świata, żeby wiedzieć to lepiej ode mnie.

Colin przestał szarpać swój pas, gdy zorientował się, że w ten sposób niedaleko zajędzie z Doyle'em.

- Zanim znajdziemy te interesujące miejsca, mój umysł zgnije od środka. Jeśli napatrzę się na tę nicość, to zmienię się w zombie. Wiesz jak wygląda zombie? - Zrobił

odpowiednią minę specjalnie dla Doyle'a: rozdzielone usta, sflaczała skóra, szeroko otwarte oczy bez cienia myśli.

Z jednej strony Alex lubił Colina i jego żarty, ale z drugiej był zirytowany. Wiedział, że upór chłopca, jeśli chodzi o uwolnienie się z pasów, był w takim samym stopniu sprawdzianem jego, Doyle'a, umiejętności utrzymania dyscypliny, jak i wyrazem prawdziwego niezadowolenia. Zanim Alex poślubił Courtney, chłopiec słuchał jej kandydata na męża jak własnego ojca. Nawet gdy nowożeńcy po spędzeniu miodowego miesiąca powrócili do domu, żeby pozatwierać sprawy w Filadelfii, Colin zachowywał się bez zarzutu. Ale teraz, gdy był tylko z Doyle'em, z dala od siostry, zaczął poddawać próbie ich wzajemny stosunek. Jeśli mógł postawić na swoim, robił to. Pod tym względem nie różnił się niczym od innych chłopców w jego wieku.

- Słuchaj - powiedział Alex - kiedy będziesz rozmawiał dziś wieczorem z Courtney, nie chcę, żebyś narzekał na pasy i krajobraz. Ja i Courtney sądziliśmy, że ta podróż dobrze ci zrobi. Sądziliśmy również, że pozwoli mi i tobie poznać się lepiej i przyzwycząić się do siebie, a także zlikwidować wszelkie ewentualne tarcia. Więc nie chcę słyszeć jak narzekasz i jęczysz, kiedy zadzwonimy do niej z Indianapolis. Pojechała do San Francisco, żeby pilnować rozkładania dywanów, wieszania zasłon, przywozu mebli... ma już dostatecznie dużo na głowie, żeby jeszcze martwić się tobą.

Colin myślał o tym, gdy zmierzali szybko na zachód, w kierunku Columbus.

- OK - powiedział w końcu. - Poddaję się. Masz nade mną przewagę dziewiętnastu lat.

Alex zerknął na chłopca, który posłał mu pokorne spojrzenie spode łba, i roześmiał się.

- Dojdziemy do porozumienia. Zawsze tak sądziłem.

- Powiedz mi jedną rzecz - odezwał się chłopiec.

- O co chodzi?

- Jesteś starszy ode mnie o dziewiętnaście lat i o sześć od Courtney.

- Zgadza się.

- Czy dla niej też ustalasz zasady i przepisy?

- Nikt nie ustala zasad i przepisów dla Courtney - powiedział Doyle.

Colin skrzyżował swe chude ramiona na piersi i przytaknął z zadowoleniem.

- Święta prawda. Cieszę się, że rozumiesz moją siostrę. Nie wróżyłbym waszemu małżeństwu nawet sześciu miesięcy, gdybyś sądził, że możesz kazać Courtney zapiąć jej własny pas.

Płaskie pola po obu stronach drogi ciągnęły się bez końca. Krowy skubały trawę. Po niebie płynęły leniwie rzadkie obłoki.

Po chwili Colin odezwał się”

- Założę się o pół dolara, że będę w stanie odgadnąć, ile minie nas samochodów jadących z przeciwka - z dokładnością do dziesięciu.

- Pół dolara? - spytał Alex. - Przyjmuję.

Zegar na tablicy rozdzielczej odmierzał pięć minut, podczas gdy obydwaj liczyli głośno samochody zmierzające na wschód. Colin pomylił się tylko o trzy.

- Jeszcze raz? - spytał chłopiec.

- Co mam do stracenia? - spytał Alex, uśmiechając się szeroko i czując, że znów jest pewny siebie, chłopca i sensu tej podróży.

Znów zegrali. Colin pomylił się tylko o cztery samochody i wygrał następne pięćdziesiąt centów.

- Jeszcze raz? - spytał ponownie, zacierając dłonie o długich palcach.

- Raczej nie - powiedział Alex podejrzliwie. - Jak ci się to udało?

- To proste. Liczyłem po cichu samochody przez pół godziny, aż ustaliłem średnią przypadającą na pięć minut. Potem spytałem cię, czy chcesz się założyć.

- Może powinniśmy zboczyć z trasy i pojechać do Las Vegas - powiedział Alex. -
Będę chodził z tobą po kasynach i obstawiał według twoich wskazówek.

Colin był tak uradowany tym komplementem, że nie wiedział, co powiedzieć. Objął się ramionami i pochylił głowę, po czym spojrział przez boczną szybę i uśmiechnął się szeroko do swego słabego odbicia w oknie.

Chociaż chłopak nie zdawał sobie z tego sprawy, Doyle dostrzegł to odbicie, gdy zerknął na niego, by poznać przyczynę jego nagłego milczenia. Uśmiechnął się również i rozsiadł się wygodnie, czując, że napięcie opuszcza go całkowicie. Pojął, że zakochał się nie w jednej osobie, ale w dwóch. Kochał tego chudego, bardzo inteligentnego chłopca niemal tak bardzo jak Courtney. Był to jeden z tych faktów, których świadomość pozwalała zapomnieć o niepewności i dręczącej obawie, które przynosił każdy poranek.

Doyle dwukrotnie poinformował LAZY TIME MOTEL, pierwszy raz, gdy wyznaczył trasę i dzwonił z Filadelfii w sprawie rezerwacji, i ponownie, gdy wysyłał pocztą zaliczkę za pokój, że on i Colin przybędą w poniedziałek wieczorem, między 19.00 a 20.00. Zajechali pod motel, leżący na wschód od Indianapolis i zaparkowali przed recepcją o 19.30, dokładnie między godzinami, które podał.

Rezerwacja obejmowała cały czas podróży. Doyle nie chciał przejechać sześciuset mil tylko po to, by spędzić pół nocy na szukaniu miejsca do spania.

Zgasił światła, później silnik. Wokół panowała niepokojąca cisza. Stopniowo dotarły do niego odgłosy ruchu panującego na trasie, jak smutne krzyki rozbrzmiewające w nocnym powietrzu.

- Co mamy w planie? - zwrócił się do Colina. - Gorący prysznic i dobrą kolację.

Potem dzwoniemy do Courtney - i tniemy komara przez osiem godzin.

- Pewnie - powiedział Colin. - A czy nie moglibyśmy najpierw zjeść?

Podobna prośba była u Colina czymś niezwykłym. Był takim samym niejadkiem jak

Doyle w jego wieku. Gdy tego samego dnia zatrzymali się na lunch, Colin poskubał kawałek kurczaka, zjadł trochę sałatki z kapusty, napił się coli - i stwierdził, że jest „napchany”.

- Cóż - powiedział Doyle - nie jesteśmy aż tak brudni, żeby nie wpuszczono nas do restauracji. Ale najpierw załatwię nam pokoje. - Otworzył drzwi i pozwolił, by do środka przeniknęło chłodne lecz parne, nocne powietrze. - Poczekaj tu na mnie.

- W porządku - powiedział Colin. - Jeśli mogę już odpiąć pas.

Alex uśmiechnął się i odpiął swój.

- Dałem ci szkołę, co?

Colin skrzywił się.

- Jeśli patrzysz na to w ten sposób.

- Dobra, dobra - powiedział Doyle. - Odepnij pas, chłopcze. Kiedy wysiadł z samochodu i wyprostował nogi, zobaczył, że Lazy Time Motel wygląda tak, jak opisywał to przewodnik: czysto, przyjemnie, ale niedrogo. Został zbudowany na planie wielkiego L, gdzie recepcja, obramowana neonem, umieszczona była na złączeniu obydwu skrzydeł. W ścianie z czerwonej cegły znajdowało się czterdzieścioro czy pięćdziesięścioro drzwi, wszystkie jednakowe i rozmieszczone w równych odstępach, niczym sztachety w ogrodzeniu. Obydwa skrzydła okalał betonowy chodnik pod daszkiem z falistego aluminium, wspieranym przez wykute z żelaza słupki, ustawione co dziesięć stóp. Przy drzwiach prowadzących do recepcji, szumiąc i brzęcząc, stał automat z napojami. Recepcja był nieduża, ale miała jasnożółte ściany i czystą, wypolerowaną podłogę wyłożoną płytkami. Doyle podszedł do kontuaru i uderzył w dzwonek.

- Jedną minutkę! - zawołała jakaś kobieta zza framugi, w której wisiała bambusowa zasłona. Po drugiej stronie kontuaru, za zasłoną, znajdowało się zaplecze.

Obok kontuaru ustawiono stojak z magazynami i książkami w miękkich okładkach.

Umieszczony wyżej napis głosił: ZAŚNIJ DZIŚ WIECZÓR Z KSIĄŻKĄ W RĘKU.

Czekając na recepcjonistkę, Doyle przeglądał książki, chociaż nie potrzebował żadnego bodźca, by poczuć zmęczenie po całym dniu spędzonym w podróży.

- Przykro mi, że musiał pan czekać - powiedziała, przeciskając się bokiem przez zasłonę. - Byłam... - gdy znajdowała się w połowie drogi między drzwiami a kontuarem, spojrzała na Doyle'a i urwała. Gapiła się na niego tak samo jak Chet na stacji benzynowej. - Tak? - jej głos był zdecydowanie chłodny.

- Mam rezerwację na nazwisko Doyle - powiedział Alex.

Teraz był podwójnie zadowolony, że dokonał rezerwacji. Był niemal pewien, że odesłałaby go z kwitkiem, nawet gdyby na własne oczy widział, że przed motelem nie stoi ani jeden samochód i nawet gdyby palił się neon informujący o wolnych pokojach.

- Doyle? - spytała.

- Doyle.

Pokonała resztę drogi, dzielącą ją od kontuaru i rozchmurzona sięgnęła po karty z rezerwacją leżące przy książce meldunkowej.

- Ach, ojciec i syn z Filadelfii.

- Zgadza, się - powiedział Doyle, siląc się na uśmiech.

Miała ponad pięćdziesiąt lat i była atrakcyjną kobietą, pomimo dwudziestu funtów nadwagi. Czesła się w stylu lat pięćdziesiątych. Jej szerokie czoło było odsłonięte, a przy uszach wity się wąskie loki. Dzianinowa sukienka przylegała ściśle do jej pełnego, nieco tłustego brzucha. Przy biodrach i w talii widać było zarysy pasa.

- Chodziło o jeden z pokoi za siedemnaście dolarów - powiedziała.

- Tak.

Wyjęła z zielonego, metalowego pudełka kartę, spojrzała na nią z bliska, a następnie otworzyła książkę meldunkową. Starannie wypełniła jedną trzecią strony, po czym odwróciła książkę i podała mu pióro.

- Gdyby zechciał pan podpisać... zaraz - powiedziała, gdy wyciągał rękę po pióro - może lepiej, żeby podpisał pański ojciec. Pokój zarezerwowano na jego nazwisko.

Doyle patrzył na nią, nie rozumiejąc o co chodzi, aż zdał sobie sprawę, że ta kobieta ma więcej wspólnego z Chetem, niż początkowo przypuszczał.

- Ja jestem ojcem. To ja jestem Alex Doyle.

Zmarszczyła brwi. Gdy przekrzywiła głowę, jej włosy zdawały się rozsypywać, zakrywając twarz.

- Ale tu jest napisane...

- Mój chłopak ma jedenaście lat. - Wziął pióro i nabazgrał w książce swój podpis.

Spojrzała na świeży atrament, jak gdyby była to brzydka plama na jej nowym obiciu meblowym. Zdawało się, że za moment pobiegnie po rozpuszczalnik i usunie tę paskudną rzecz.

- Który mamy pokój? - spytał Alex, poganiając kobietę wbrew jej woli.

Ponownie ogarnęła spojrzeniem jego włosy i ubranie. Nie był przyzwyczajony do tak jawnej niechęci w miastach typu Filadelfii czy San Francisco, i czuł się dotknięty jej zachowaniem.

- No cóż - powiedziała - musi pan być świadomy, że płaci pan...

- Z góry - dokończył za nią. - Tak, to głupio z mojej strony, że nie pomyślałem o tym od razu. Odliczył dwanaście dolarów i położył na książce meldunkowej. - Wysłałem

pięciodolarową zaliczkę, jak sobie pani przypomina.

- Ale trzeba doliczyć podatek - powiedziała.

- Ile?

Gdy mu podała sumę, zapłacił drobnymi, które miał w kieszeni zmiętych, ciemnoszarych dzinsów. Wrzucała pieniądze do szuflady kasowej przeliczając, choć minutę wcześniej widziała, jak sam to robił.

Zdjęła z niechęcią klucz z tablicy i podała mu.

- Pokój numer trzydzieści siedem - patrzyła na klucz jak na diamentowy klejnot, który powierzała jego opiece. - To na końcu długiego skrzydła.

- Dziękuję - odparł, mając nadzieję, że powstrzyma się od zrobienia jej awantury.

Ruszył przez czyste, dobrze oświetlone pomieszczenie w kierunku drzwi.

- Pokoje w naszym hotelu są bardzo przyjemne - powiedziała, gdy dotarł do wyjścia.

Odwrócił głowę.

- Jestem tego pewien.

- Lubimy utrzymywać porządek - dodała.

Skinął ponuro głową i wyniósł się stamtąd czym prędzej.

Pomimo to, że stracił thunderbirda z oczu, George Leland zaczął się uspokajać. Przez piętnaście minut prowadził furgonetkę z maksymalną prędkością, wypatrując rozpaczliwie choćby śladu dużego samochodu. Ale jego wrodzona skłonność do utożsamiania się z maszynami działała jak środek uspokajający. Strach go opuścił. Pozwolił, by furgonetka zwolniła. Przekonany coraz głębiej, że zdoła dogonić thunderbirda, przekraczał dozwoloną prędkość jedynie o kilka mil. Niczym człowiek w transie, widział tylko drogę i słyszał silnik chevroleta, pracujący na właściwych obrotach, i wszystko to działało kojąco.

Po raz pierwszy w tym dniu Leland uśmiechnął się.

I żałował, po raz pierwszy od dłuższego czasu, że nie ma przy nim kogoś, z kim mógłby porozmawiać...

- Wyglądasz na szczęśliwego, George - powiedziała, a jej głos wystraszył go.

Oderwał wzrok od drogi.

Siedziała obok, tylko kilka stóp od niego. Ale jak to było możliwe?

- Courtney - jego głos przypominał suchy szept - ja...

- Miło cię widzieć w tak dobrym nastroju - powiedziała. - Zwykle jesteś taki poważny.

Zmieszany, ponownie spojrzał na drogę.

Lecz w chwilę później wzrok Lelanda, niczym przyciągany magnesem, powędrował w jej stronę. Słoneczne światło przebijało szybę i przenikało dziewczynę, jakby była duchem.

Dotykało jej złotych włosów i skóry, po czym biegło dalej. Widział tapicerkę drzwi po jej stronie. Mógł przeniknąć wzrokiem jej uroczą twarz i zobaczyć okno za głową dziewczyny oraz krajobraz za szybą - jak gdyby była przezroczysta. Nie rozumiał tego. Jakim cudem znalazła się tutaj? Jakim cudem wiedziała, że jedzie za Doyle'em i chłopcem?

Tuż obok rozdarł się klakson.

Leland spojrzał na drogę i stwierdził ze zdumieniem, że zjechał z prawego pasa i omal nie zderzył się z pontakiem, który próbował go wyprzedzić. Skręcił energicznie w prawo i wrócił na właściwe miejsce.

- Jak ci leci, George? - spytała.

Spojrzał na nią, po czym szybko przeniósł wzrok na autostradę. Dziewczyna była ubrana tak samo jak wtedy, gdy widział ją po raz ostatni: zgrabne buty, biała krótka spódniczka, wzorzysta czerwona bluzka z wysokim kołnierzem. Gdy tydzień wcześniej podążył za nią aż na lotnisko i patrzył jak wsiada do Boeinga 707, był tak podniecony tym zgrabnym strojem, że pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek kobiety. Niemal podbiegł do niej -

ale uświadomił sobie, że uznałaby to za dziwne z jego strony.

- Jak ci leci, George? - spytała ponownie.

Martwiła się jego problemami, zanim sam je sobie uświadomił, nawet zanim dostrzegł, że wszystko zmierza w niewłaściwym kierunku. Po zerwaniu ich dwuletniej znajomości, gdy była gotowa rozmawiać z nim jedynie przez telefon, dzwoniła do Lelanda dwa razy w tygodniu, by dowiedzieć się, jak mu się powodzi. Oczywiście, w końcu przestała telefonować. Zapomniała o nim całkowicie.

- Och - powiedział, nie odrywając oczu od drogi. - Świetnie.

- Ale nie wyglądasz świetnie - jej głos dobiegał z oddali, był głuchy i tylko nieznacznie przypominał głos Courtney. A jednak była tuż obok, towarzysząc mu na jawie.

- Powodzi mi się bardzo dobrze - zapewnił ją.

- Straciłeś na wadze.

- To było konieczne.

- Nie aż tak bardzo, George.

- To mi nie zaszkodzi.

- I masz worki po oczami.

Zdjął jedną rękę z kierownicy i dotknął bladej, napuchniętej skóry.

- Nie dosypiałeś ostatnio? - spytała.

Nie odpowiedział. Nie podobała mu się ta rozmowa. Nie znosił, gdy zadręczała go pytaniami o zdrowie i mówiła, że jego problemy emocjonalne mają swe podłoże w schorzeniu fizycznym. Zgoda, problemy pojawiły się nagle. Ale to nie była jego wina. Winę ponosili inni. Ostatnio wszyscy uwzięli się na niego.

- George, czy ludzie zaczęli traktować cię lepiej od czasu naszej ostatniej rozmowy?

Podziwiał jej długie nogi. Nie były już przezroczyste. Ciało było złote, mocne, piękne.

- Nie, Courtney. Znow straciłem pracę.

Gdy przestała dopytywać się o jego zdrowie, poczuł się lepiej. Chciał opowiedzieć jej wszystko, nawet rzeczy najbardziej krępujące. Zrozumiałaby. Położyłby głowę na jej kolanach i płakał, aż zabrakłoby u łez. Wtedy poczułby się lepiej... Płakałby, podczas gdy ona głaskałaby jego włosy i gdy wyprostowałby się, to miałby tak niewiele problemów jak ponad dwa lata wcześniej, zanim pojawiły się kłopoty i zanim wszyscy zaczęli darzyć go niechęcią.

- Znow straciłeś pracę? - spytała. - Ile razy ją zmieniałeś w ciągu ostatnich dwóch lat?

- Sześć - powiedział.

- Za co cię wyrzucili tym razem?

- Nie wiem - powiedział Leland głosem pełnym najczystszej cierpienia. -

Stawialiśmy biurowiec - roboty było na dwa lata. Żyłem z wszystkimi bardzo dobrze. Wtedy mój szef, główny inżynier, wziął się na mnie.

- Uwziął się na ciebie? - spytała. Jej głos był matowy i odległy, ledwie słyszalny na tle szumu szerokich opon. - W jaki sposób?

- Wiesz jak to wyglądało, Courtney. Tak jak zawsze. Obgadywał mnie za plecami, nastawiał innych ludzi przeciwko mnie. Odwoływał moje polecenie i zachęcał Prestona, brygadzystę, żeby...

- Robił to wszystko za twoimi plecami? - spytała.

- Tak. On...

- Jeśli mówił to wszystko za twoimi plecami, to skąd wiesz, że w ogóle coś mówił?

Nie mógł znieść tego współczucia w jej głosie, ponieważ za bardzo przypominało litość.

- Słyszałeś, co mówił? Nie słyszałeś, prawda, George?

- Nie rozmawiaj ze mną w ten sposób. Nie wmawiaj mi, że to sobie wymyśliłem.

Zamilkła, tak jak jej kazał.

Spojrzał w stronę dziewczyny, żeby sprawdzić, czy jeszcze tam jest. Uśmiechnęła się do niego, znacznie bardziej cielesna niż parę minut wcześniej.

Patrzył na zachodzące słońce, ale nie dostrzegał go. Tylko w małym stopniu uświadamiał sobie, że ciągnie się przed nim droga. Poruszony magiczną obecnością Courtney nie prowadził już chevroleta z tak wielką wprawą. Samochód dryfował po prawym pasie, zjeżdżając chwilami na żwirowate pobocze.

Po chwili powiedział”

- Czy wiedziałaś, że po tym jak zadzwoniłem do ciebie tamtego dnia z prośbą o spotkanie, po tym jak się dowiedziałem, że byłaś od trzech tygodni zamężna - że prawie oszalałem? Chodziłem za tobą przez tydzień, każdego dnia, po prostu obserwując cię. Wiedziałaś o tym? Powiedziałaś, że lecisz do San Francisco, że ten facet, Doyle, i twój brat pojedą tam za tydzień, i powiedziałaś, że nie wydaje ci się, byś kiedykolwiek miała wrócić do Filadelfii. To mnie prawie zabiło, Courtney. Nic nie szło po mojej myśli. Przypomniałem sobie jak było nam kiedyś dobrze... więc zadzwoniłem, żeby się przekonać, czy nie moglibyśmy znów być razem. Chciałem poprosić o spotkanie. Wiedziałaś o tym? Mogę się założyć, że nie wiedziałaś. Byłem absolutnie gotów poprosić o spotkanie... i wtedy dowiaduję się, że wyszłaś za mąż i wyruszyłaś w podróż na drugi koniec Stanów. - Jego głos stał się twardy, zimny, niemal złośliwy. Przerwał, żeby zebrać myśli. - Przynosiłaś mi szczęście - dwa, trzy, cztery lata temu. Kiedy byliśmy razem, wszystko szło dobrze. A teraz będziesz nieosiągalna, niewidoczna... Wiedziałem, że muszę być blisko ciebie, Courtney. Kiedy pojechałem za tobą na lotnisko i zobaczyłem, że lecisz tym 707, wiedziałem, że będę musiał śledzić Doyle'a i Colina i dowiedzieć się, gdzie mieszkasz.

Nie odezwała się.

Jechał i mówił, mając nadzieję wywołać w niej jakąś pozytywną reakcję, teraz, gdy nie był już sparalizowany jej nagłym pojawieniem się.

- Znow straciłem pracę. Nic mnie nie trzymało w Filadelfii. Nie miałem oczywiście pieniędzy, żeby zapłacić za przeprowadzkę, tak jak ten Doyle. Musiałem sam spakować i przewieźć swoje rzeczy. Więc jadę tą niezgrabną furgonetką z kiepską klimatyzacją zamiast prowadzić luksusowego thunderbirda. Nie mam takiego szczęścia jak ten twój Doyle. Ludzie nie traktują mnie tak dobrze jak jego. Ale wiedziałem, że i tak muszę wyjechać do Kalifornii, żeby być blisko ciebie. Być blisko ciebie, Courtney...

Siedziała obok, ładna, milcząca, nieruchoma, z dłońmi na kolanach, z aureolą wokół głowy, namalowaną przez światło gasnącego dnia.

- Nie było łatwo podążać ich śladem - powiedział. - Musiałem być sprytny. Kiedy jedli śniadanie, uświadomiłem sobie, że muszą mieć w samochodzie mapę z zaznaczoną trasą, coś, co pozwoli mi sprawdzić, którędy będą jechać. Sprawdziłem. - Zerknął na nią z uśmiechem, po czym znow spojrzął na drogę. - Wsunąłem druciany wieszak pod gumową uszczelkę między szybami i otworzyłem drzwi. Mapy leżały na siedzeniu. I notatnik. Ten twój Doyle jest niezwykle zapobiegliwy. Zapisał nazwy i adresy moteli, w których miał rezerwację. Przepisałem je. I przestudiowałem mapy. Znam każdą drogę, którą będą jechać i każde miejsce, w którym będą nocować, stąd do San Francisco. Teraz już nie mogę ich zgubić. Będę deptał im po piętach. Straciłem ich na chwilę z oczu, ale później ich dogonię. - Mówił bardzo szybko, słowa płynęły nieprzerwanym potokiem. Pragnął, by zrozumiała, ile sobie zadał trudu, by móc przebywać blisko niej.

Zaskoczyła go pytaniem”

- George, czy byłeś u lekarza z tymi twoimi bólami głowy i innymi dolegliwościami?

- Nie jestem chory, do cholery! - krzyknął. - Mam zdrowy umysł, zdrowy mózg i

zdrowe ciało. Jestem w doskonałej formie. Nie chcę o tym więcej słyszeć. Zapomnij o tym.

- Dlaczego za nimi jedziesz? - spytała, zmieniając temat, zgodnie z jego poleceniem.

Pot spływał mu z czoła kilkoma nieprzerwanymi strumieniami, grube, przezroczyste krople kapały na policzki i szyję.

- Przecież ci mówiłem. Chcę się dowiedzieć, gdzie będziesz mieszkała. Chcę być blisko ciebie.

- Ale jeśli przepisałeś adresy z notatnika Alexa, to masz także adres naszego nowego domu w San Francisco. Nie musisz za nimi jechać, żeby mnie znaleźć. Wiesz, gdzie jestem, George.

- No...

- George, dlaczego jedziesz za Alexem i Colinem?

- Mówiłem ci.

- Nie mówiłeś.

- Zamknij się! - powiedział. - Nie podoba mi się to, co sugerujesz. Nie mam ochoty dłużej tego słuchać. Jestem zdrowy. Nie jestem chory. Ze mną jest wszystko w porządku. Więc odejdz. Zostaw mnie w spokoju. Nie chcę więcej na ciebie patrzeć.

Gdy ponownie spojrzął w jej stronę, dziewczyny już nie było. Zniknęła.

O ile niespodziewane i niewytłumaczalne pojawienie się Courtney wprawiło go w osłupienie, o tyle nie był w ogóle zaskoczony jej zniknięciem. Przecież powiedział jej, by zniknęła. Dwa lata temu, pod koniec ich związku, na krótko przed zerwaniem, Courtney wyznała, że się go boi, że niepokoją ją te jego napady przygnębienia. Teraz też się go bała. Kiedy powiedział jej „idź”, odeszła. Wolała nie kłócić się z nim. Ta bezmyślna suka zdradziła go wychodząc za tego Doyle'a i teraz zrobi wszystko by nie wypaść z jego łask.

Uśmiechnął się do ciemniejącej drogi.

Gdy blask dnia zamierał, a ziemia tonęła w niemal nierzeczywistej, pomarańczowej poświacie, funkcjonariusz policji stanowej Ohio, Eric James Coffey, zjechał z trasy międzystanowej siedemdziesiąt na przydrożny parking po prawej stronie drogi. Gdy wspiał się na niewielkie wzniesienie i dotarł do osłoniętej przez sosny polanki, od razu dostrzegł pusty radiowóz. Światło alarmowe na dachu wciąż się obracało, rzucając czerwony blask na pobliskie drzewa.

Gdy zegar wybił czwartą, a funkcjonariusz Richard Pulham spóźniał się o godzinę ze zwrotem radiowozu do garażu komendy pod koniec swej zmiany, ponad dwudziestu policjantów już przemierzało trasę i boczne drogi. A teraz Coffey znalazł ten samochód - rozpoznał go po numerach znajdujących się na przednich drzwiach - w najbardziej na zachód wysuniętym krańcu rewiru Pulhama.

Coffey miał nadzieję, że to nie on znajdzie radiowóz, ponieważ domyślał się, co może odkryć w jego wnętrzu. Martwego policjanta. Jak na razie, Coffey nie widział innej możliwości.

Wziął do ręki mikrofon radiostacji i wcisnął kciukiem włącznik.

- Tu sto sześćdziesiąt sześć, mówi Coffey. Znalazłem nasz radiowóz. - Powtórzył wiadomość i podał dyspozytorowi swoją pozycję. Jego głos był gruby i drżący.

Z niechęcią wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Wieczorne powietrze było chłodne. Od północnego wschodu nadciągał wiatr.

- Pulham! Rich Pulham! - krzyknął.

Imię powróciło do niego cichą imitacją jego głosu. Innej odpowiedzi nie otrzymał.

Podszedł z rezygnacją do radiowozu Pulhama, nachylił się i zajrzał przez szybę po stronie pasażera. O tej porze dnia wnętrze samochodu było pełne cieni.

Otworzył drzwi. Zapaliła się wewnętrzna lampka, słaba i przyćmiona, ponieważ

światło alarmowe na dachu prawie wyczerpało akumulator. Jej blask wydobył jednak z mroku ciemniejszą krew i ciało wepchnięte brutalnie między przednie siedzenie a deskę rozdzielczą.

- Dranie - wyszeptał Coffey. - Dranie, dranie, dranie. - Jego głos nabierał mocy z każdym słowem. - Zabójcy policjantów - powiedział w stronę napływającej ciemności. - Dopadniemy tych sukinsynów.

Pokój w Lazy Time Motel był duży i wygodny. Ściany miały szary odcień, a sufit znajdował się o parę stóp wyżej niż w motelach, które zaczęto budować pod koniec lat pięćdziesiątych. Meble były ciężkie i praktyczne, choć w żadnym wypadku spartańskie. Obydwa fotele były miękkie i obite ładną materią, a biurko, choć miało plastikowy blat, oferowało mnóstwo miejsca na nogi i dużo przestrzeni do pracy. Dwa podwójne łóżka były solidne, a pościel pachniała świeżością, mydłem i środkiem zmiękczającym. Na porysowanym, mahoniowym nocnym stoliku, między łózkami, stał telefon i leżała Biblia, rozprawiana przez jedno z towarzystw chrześcijańskich.

Doyle i Colin usiedli na łózkach, twarzami do siebie, oddzieleni jedynie wąskim przejściem. Ustalili wspólnie, że Colin będzie rozmawiał z Courtney jako pierwszy. Trzymał słuchawkę w obu dłoniach. Grube okulary zsunęły mu się z nosa i trzymały się niepewnie na jego końcu, choć chłopak zdawał się tego nie dostrzegać.

- Byliśmy śledzeni przez całą drogę z Filadelfii! - powiedział Courtney, jak tylko posłyszał jej głos po drugiej stronie.

Alex skrzywił się.

- Człowiek w chevrolecie - powiedział Colin. - Nie. Nie widzieliśmy go. Był na to za sprytny. - Opowiedział jej wszystko o tym wymyślonym agencie FBI. Gdy zmęczył się tą historią, powiedział siostrze, jak wygrał od Doyle'a dolara. Słuchał jej przez chwilę i roześmiał się. - Próbowałem, ale nie chciał już się zakładać.

Słuchając opowieści chłopca, Doyle był przez chwilę zazdrosny o ten pełen ciepła, intymny związek między Courtney i Colinem. Byli ze sobą całkowicie swobodni i żadne z nich nie musiało udawać - czy skrywać - swej miłości. Zazdrość zniknęła, gdy Doyle uświadomił sobie, że jego związek z Courtney był bardzo podobny i że wkrótce on i chłopiec będą tak blisko siebie jak obaj byli blisko tej kobiety.

- Mówi, że kosztuję cię zbyt dużo - powiedział Colin, podając słuchawkę Doyle'owi.

Alex wziął ją do ręki.

- Courtney?

- Jak się masz, kochanie. - Jej głos był czysty i dźwięczny. Mogłaby równie dobrze siedzieć obok niego, zamiast być po drugiej stronie przewodu liczącego dwa i pół tysiąca mil.

- Jak się czujesz?

- Samotna.

- Już niedługo. Co z meblami?

- Dywany leżą już na podłogach.

- Żadnych kłopotów?

- Pojawią się, gdy przyjdą rachunki.

- Malarze?

- Byli i poszli.

- Więc martwisz się już tylko o meble? - spytał.

- Nie mogę się doczekać, kiedy dostarczą naszą sypialnię.

- Największa troska każdej panny młodej.

- Nie to miałam na myśli, ty maniak seksualny. Chodzi o to, że śpiwór przyprawia mnie o ból pleców.

Roześmiał się.

- Poza tym - powiedziała - czy kiedykolwiek próbowałeś rozbijać obozowisko na środku pustej, przykrytej dywanem sypialni, o rozmiarach dwadzieścia stóp na dwadzieścia?

To niesamowite.

- Może powinniśmy byli polecieć razem - powiedział Alex. - Może łatwiej zносиłabyś to nieumeblowane mieszkanie, gdybyś nie była sama.

- Nie - zaprzeczyła. - Czuję się dobrze. Po prostu lubię sobie ponarzekać. Jak układają się twoje stosunki z Colinem?

- Znakomicie - powiedział, patrząc jak chłopiec poprawia sobie okulary na zadartym nosie.

- Co z tym facetem, który jechał za wami furgonetką? - spytała.

- Nie przejmuj się tym.

- Jedna z gier Colina?

- Tylko i wyłącznie - zapewnił ją.

- Słuchaj, czy naprawdę ograł cię na dolara?

- Naprawdę. To sprytny chłopak. Macie wiele wspólnych cech.

Colin roześmiał się.

- Jak się jedzie? - spytała Courtney. - Czy sześćset mil dziennie to nie za dużo jak na ciebie jednego?

- Absolutnie - powiedział. - Plecy bolą mnie chyba mniej niż ciebie. Uda nam się dojechać na miejsce zgodnie z planem.

- Miło to słyszeć. Sama jestem maniakiem seksualnym - i nie mogę się doczekać, kiedy będę miała cię w tym nowym łóżku.

- Ja też - odrzekł z uśmiechem.

- Już od kilku nocy mogę podziwiać widok z tego cholernego okna sypialni -

powiedziała. - Dziś wieczór jest jeszcze bardziej niesamowity niż wczoraj. Widać światła nad zatoką, wszystkie są otoczone aureolą i migoczą.

- Tęsknię za tym domem, w którym jeszcze nie spałem - powiedział Doyle.

Tęsknił też za jej ciałem, a brzmienie głosu Courtney rozpalało go jeszcze bardziej.

- Kocham cię - wyznała.

- Ja też.

- Powiedz to.

- Mam tu publiczność - odparł Doyle, patrząc na Colina.

Chłopiec słuchał, skupiony, jak gdyby docierały do niego wypowiedzi obu uczestników tej konwersacji.

- Colin nie będzie zakłopotany - powiedziała. - Miłość w ogóle nie wprawia go w zakłopotanie.

- OK - powiedział. - Kocham cię.

Colin wyszczerzył zęby w uśmiechu i objął się ramionami.

- Zadzwoń jutro wieczorem.

- Według rozkładu - przyrzekł.

- Pożegnaj ode mnie Colina.

- Pożegnam.

- Dobranoc, kochanie.

- Dobranoc, Courtney.

Tęsknił za nią tak bardzo, że przerwanie połączenia odczuł jak pociągnięcie nożem po skórze.

Gdy George Leland wprowadził wynajętą furgonetkę chevroleta na wyasfaltowany

parking przed Lazy Time Motel, ujrzał napis WSZYSTKIE POKOJE ZAJĘTE utworzony z

zielonych, neonowych liter. Nie przejmował się tym, ponieważ nigdy nie zamierzał zatrzymać się tutaj. Nie był tak bogaty jak Doyle, nie miał tyle szczęścia; nie stać go było nawet na wynajęcie pokoju w tym motelu. Jechał po prostu wzdłuż krótkiego skrzydła, a następnie wzdłuż długiego, aż dostrzegł thunderbirda.

Uśmiechnął się, zadowolony z siebie.

- Zgodnie z notatnikiem - powiedział. - Jesteś bardzo dokładny, Doyle.

Po chwili oddalił się od Lazy Time Motel, zanim ktoś zdołałby go zauważyć. Jechał dalej, mijając ze dwa tuziny moteli, niektóre typu Lazy Time, inne bardziej luksusowe. W końcu dotarł do obskurnego, drewnianego budynku ze znakiem informującym o wolnych pokojach i skromnym, surowym neonem przy wejściu: KRAINA MARZEŃ. Miejsce to wyglądało jak tani zajazd, gdzie spędza się noc za osiem dolarów. Podjechał pod motel i zaparkował obok recepcji.

Opuścił szybę i ustawił boczne lusterko tak, by móc spojrzeć za siebie. Gdy wyciągał z kieszeni grzebień, zauważył kilka ciemnych smug na twarzy. Potarł brud, powąchał rękę, potem dotknął językiem. Krew. Zdumiony, otworzył drzwi i przyjrzał się swojemu ubraniu.

W świetle wewnętrznej lampki dostrzegł, że spodnie i koszula z krótkimi rękawami poplamione są krwią. Miękkie, białe włosy na lewym ręku były teraz sztywne i czerwone.

Skąd się wzięła?

I kiedy się pobrudził?

Wiedział, że nie skaleczył się, nie mógł jednak pojąć, do kogo należała ta krew, jeśli nie do niego. Gdy się nad tym wszystkim zastanawiał, poczuł, że zbliża się jeden z tych ostrych napadów migreny. I wtedy, gdzieś w głębi jego umysłu, coś obrzydliwego zadrżało i przewróciło się z hukiem; i choć wciąż nie mógł sobie przypomnieć, czyja to krew wylała się na niego, wiedział, że nie odważy się wynająć pokoju na najbliższą noc, mając na sobie

poplamione ubranie.

Modląc się, by ból głowy ustąpił choć na chwilę, poprawił lusterko, zamknął drzwi, uruchomił silnik i oddalił się od motelu. Przejechał pół mili i zaparkował przed opuszczonej stacją benzynową. Otworzył walizkę i wyjął czyste, świeże ubranie. Rozebrał się, wytarł twarz i ręce chusteczkami papierowymi i własną śliną, a następnie włożył czyste ubranie.

Wciąż czuł zmęczenie po podróży i ból głowy, ale wyglądał na tyle dobrze, że mógł pokazać się recepcjoniście w motelu.

Kwadrans później był w swoim pokoju w Krainie Marzeń. Trudno było to nazwać pokojem. Dziesięć stóp na dziesięć plus maleńka, osobna łazienka. Bardziej przypominał miejsce, do którego człowiek jest wpychany siłą, niż takie, do którego wchodzi z własnej woli. Ściany były brudnożółte, porysowane, poplamione odciskami palców, nawet upstrzone pajęczynami w rogach pod sufitem. Fotel był wygodny, choć wiekowy. Biurko opierało się na zielonych stalowych nogach, a na jego blacie widniały ślady po niedopałkach, przypominające robaki. Łóżko było wąskie, miękkie, a kołdra połatana.

George Leland w gruncie rzeczy nie zdawał sobie sprawy ze stanu, w jakim znajdował się pokój. Było to dla niego tylko miejsce, jak każde inne.

W tej chwili był głównie zajęty zwalczaniem bólu głowy, który narastał za prawym okiem. Postawił walizkę u stóp zapadającego się łóżka i zdjął ubranie. Zamknął się w kabinie z prysznicem i spłukał z siebie zmęczenie strumieniem ciepłej wody. Stał przez długie minuty, pozwalając, by woda rozpryskiwała się na potylicy i karku, ponieważ odkrył kiedyś, że ta metoda czasem łagodzi, a nawet skutecznie zapobiega zbliżającej się migrenie. Tym razem jednak woda nie przyniosła ulgi. Gdy się wytarł, czuł wszystkie oznaki nadchodzącej migreny: zawrót głowy, wirowanie świetlistego punkciku, który rósł na siatkówce prawego oka, niezdarność, słabe, ale uporczywe mdłości...

Przypomniał sobie, że nie jadł śniadania i kolacji, a jedynie pół lunchu w połowie dnia. Być może ból głowy został wywołany brakiem posiłku. Nie był głodny - w każdym razie nie cierpiał z powodu podświadomego ćwiczenia woli. Ubrał się jednak, wyszedł z pokoju i kupił jedzenie w automatach ustawionych obok telefonu w skąpo oświetlonym pasażu motelowym. Pożywił się zawartością dwu puszek coli, paczką krakersów z masłem orzechowym i batonem Herseya z migdałami.

Jednak ból głowy nie ustępował. Pulsował gdzieś w samym środku jego wnętrza, napływał rytmicznymi falami, zmuszając go do absolutnego bezruchu, który pozwalał znieść tę agonię. Nawet gdy podnosił dłoń do czoła, natychmiastowe uderzenie bólu doprowadzało go do granic delirium. Wyciągnął się na łóżku, płasko na plecach, ściskając szarą pościel w obu potężnych dłoniach, i po chwili nie zbliżał się już nawet do granic delirium, ale zapadł w jego głębinach. Przez ponad dwie godziny leżał sztywno jak kłoc, podczas gdy pot spływał po jego ciele niczym wilgoć po szklance z lodowato zimną wodą. Wyczerpany, wyżęty jak ścierka, cicho pojękując, przeszedł wreszcie z tego na wpół świadomego transu w niespokojny, ale względnie bezbolesny sen.

Jak zwykle dręczyły go koszmary. W jego chorym umyśle pojawiały się i znikwały groteskowe obrazy, jak wizje zrodzone na samym dnie diabelskiego kalejdoskopu, nie związane ze sobą, każdy stanowiący odrębną całość, każdy będący przerażającym akordem, który jeszcze powróci: długie, wąskie noże, z których kapała krew do miseczki utworzonej z kobiecej dłoni, robaki pełzające po zwłokach, ogromne piersi obejmujące go i przykrywające w ciepłej, wilgotnej pieszczocie, mnóstwo rozbiegających się karaluchów, stada czujnych szczurów o czerwonych oczach, czekających na dogodny moment, by skoczyć na niego, skrwawieni kochankowie wijący się w ekstazie na marmurowej podłodze. Courtney, naga i także wijąca się na zakrwawionej posadzce, rewolwer wystrzelający pociski prosto w smukły,

kobięcy brzuch...

Koszmary przeminęły. W chwilę później minął też sen. Leland zajęczał i usiadł na łóżku, ściskając dłońmi głowę. Ból zniknął, ale jego wspomnienie stanowiło jeszcze jedną mękę. Po tych atakach zawsze czuł się straszliwie bezradny, bezbronny. I samotny. Bardziej samotny, niż może znieść to człowiek.

- Nie czuj się samotny - powiedziała Courtney. - Jestem przy tobie.

Leland podniósł wzrok i ujrzał ją, siedzącą u stóp łóżka. Tym razem jej magiczna materializacja nie zaskoczyła go nawet w najmniejszym stopniu.

- To było takie straszne, Courtney - powiedział.

- Ból głowy?

- I koszmary.

- Czy poszedłeś ponownie do doktora Penebakera? - spytała.

- Nie.

Jej delikatny głos dobiegł do niego jakby z drugiego końca tunelu. Głuchy, odległy ton dziwnie harmonizował z obskurnym pokojem.

- Powinieneś pozwolić doktorowi Penebakerowi...

- Nie chcę słyszeć o doktorze Penebakerze!

Nie odezwała się.

Kilka minut później powiedział”

- Byłem przy tobie, gdy twoi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Dlaczego nie byłeś przy mnie, gdy po raz pierwszy pojawiły się kłopoty?

- Nie pamiętasz, co ci wtedy mówiłam, George? Byłabym przy tobie, gdybyś pozwolił sobie pomóc. Ale nigdy nie chciałeś przyjąć do wiadomości faktu, że twoje bóle głowy i problemy emocjonalne mogą być spowodowane przez jakieś...

- Och, zamknij się na litość boską! Zamknij się! Jesteś parszywą, dokuczliwą, zarożumiałą dziwką, a ja nie mam ochoty cię słuchać.

Nie zniknęła, ale też nie odezwała się więcej.

Jakiś czas później powiedział”

- Wszystko znów mogłoby być tak jak dawniej, Courtney. Nie sądzisz? - Chciał, by się zgodziła, chciał tego bardziej niż czegokolwiek innego w świecie.

- Zgadzam się, George - odparła.

Uśmiechnął się.

- Wszystko mogłoby być tak jak dawniej. Jedyńm, co nas naprawdę rozdziela, jest ten Doyle. I Colin także. Zawsze byłaś bardziej związana z Colinem niż ze mną. Gdyby Doyle i Colin byli martwi, miałabyś tylko mnie. Musiałabyś wrócić do mnie, nieprawdaż?

- Tak - powiedziała, zgodnie z jego życzeniem.

- Znów bylibyśmy szczęśliwi, nieprawdaż?

- Tak.

- Znów mógłbym cię dotykać?

- Tak, George.

- I spać z tobą.

- Tak.

- Żyłabyś ze mną?

- Tak.

- I ludzie nie byliby dla mnie niemili?

- Nie.

- Jesteś moim maleńkim szczęściem, zawsze nim byłaś. Gdybyś znów żyła ze mną, te dwa ostatnie lata nie miałyby żadnego znaczenia.

- Tak - powiedziała.

Ale nie czuł zadowolenia. Nie była tak zgodna, ciepła i otwarta, jak sobie tego życzył.

Tak naprawdę ta rozmowa przypominała mówienie do samego siebie, dziwacznie masturbacyjne doświadczenie.

Rozgniewany, odwrócił się i zamilkł. Kilka minut później, gdy spojrzał na nią, by sprawdzić czy zdradza jakiegokolwiek oznaki skruchy, stwierdził, że zniknęła. Znow go zostawiła. Zawsze go zostawiała. Zawsze odchodziła do Doyle'a albo Colina albo kogoś innego i zostawiała go samego. Nie sądził, by mógł dłużej tolerować takie traktowanie swojej osoby.

Radiowóz policyjny z zapalonym światłem alarmowym na dachu i włączonymi kierunkowskazami blokował wjazd na parking przydrożny przy trasie międzystanowej siedemdziesiąt. Dalej, na polanie schowanej wśród sosen, parkowało sześć innych wozów policyjnych, z włączonymi światłami i silnikami, tworząc półkole. Kilka przenośnych lamp łukowych, podłączonych do zapasowych akumulatorów, tworzyło drugie półkole na południowym krańcu polany. Noc, przynajmniej w tym kręgu, nie istniała.

Centrum tego wszystkiego stanowił, naturalnie, radiowóz Pulhama. Zderzaki i chromowane listwy połyskiwały zimnym, białym światłem. Przednia szyba zmieniała się w blasku lamp w lustro.

Detektyw Ernie Hoval, który prowadził śledztwo w sprawie śmierci Pulhama, patrzył jak technik fotografuje pięć krwawych odcisków palców, które zostały wyraźnie odbite na wewnętrznej stronie bocznej szyby, pozostawiając setki wyraźnych, czerwonych linii papilarnych.

- To odciski Pulhama? - spytał technika, gdy ten skończył fotografować.

- Sprawdzę za chwilę. - Technik był chudym, żółtawym, łysiejącym człowiekiem o

dłoniach tak delikatnych i miękkich jak u kobiety. Pomimo to nie był onieśmielony obecnością Hovala. Wszyscy inni byli. Hoval korzystał ze swej rangi, jak i swych dwustu czterdziestu funtów wagi, by dominować nad każdym człowiekiem, który mu podlegał, więc był zły na technika, gdy ten nie okazał respektu. Miękkie, białe dłonie chowały aparat fotograficzny z rozmyślnie irytującą ostrożnością. Dopiero wtedy, gdy został właściwie zabezpieczony, dłonie przetrząsnęły zawartość skórzanej torby stojącej obok radiowozu i wydobyły kartę z odciskami palców Pulhama. Technik podniósł żółtą kartkę i przysunął do krwawych odcisków na szybie.

- No? - spytał Hoval.

Technik potrzebował całej minuty, by porównać odciski palców.

- Nie należą do Pulhama - powiedział w końcu.

- Sukinsyn - stwierdził Hoval, uderzając mięsistą pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki. -

Będzie łatwiej niż przypuszczałem.

- Niekoniecznie.

Hoval spojrzał z góry na bladego, chudego człowieka.

- Czyżby?

Technik podniósł się z ziemi i otrzepał ręce. Zauważył, że w krzyżowym świetle reflektorów ani on, ani Hoval, ani żaden inny funkcjonariusz nie rzucał cienia.

- W kartotekach nie ma odcisków palców wszystkich obywateli Stanów

Zjednoczonych - powiedział technik. - Nie ma nawet połowy.

Hoval zrobił niecierpliwy gest swoją silną ręką.

- Niech pan mi wierzy, ktokolwiek to zrobił, jest w kartotece. Był aresztowany z tuzin

razy przy okazji różnych marszów protestacyjnych - może nawet w związku z jakimś

oskarżeniem o napaść w przeszłości. FBI ma prawdopodobnie całą teczkę na jego temat.

Technik przesunął ręką po twarzy, jak gdyby chciał zetrzeć z niej wieczny wyraz żalości.

- Sądzi pan, że zrobił to jakiś radykał, lewicowiec, czy ktoś w tym rodzaju?

- A któż by inny? - spytał Hoval.

- Może po prostu wariat.

Hoval pokręcił kwadratową głową o długiej szczęce.

- Nie. Przestał pan czytać gazety? W dzisiejszych czasach policjanci giną w całym kraju.

- Taki jest charakter ich pracy - powiedział technik. - Policjanci zawsze giną w czasie pełnienia służby. Statystyka się nie zmienia.

Hoval był niewzruszony, patrząc jak inni technicy i mundurowi funkcjonariusze przeczesują miejsce zbrodni.

- Mamy obecnie do czynienia ze zorganizowanym działaniem, mającym na celu zabijanie policjantów. Spisek w skali kraju. Nas też to w końcu dotknęło. Zobacz pan. Odciski palców tego dupka są w kartotece. I okaże się, że to sukinsyn z rodzaju tych, o których panu mówiłem. Będziemy go mieli w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Pewnie - powiedział technik. - Nie byłoby źle.

WTOREK

Gdy rozpoczął się drugi dzień maja, wstali wcześnie, zjedli lekkie śniadanie, wymeldowali się z motelu i krótko po ósmej znów byli na trasie.

Dzień był tak jasny i pogodny jak poprzedni. Niebo było czyste i bezchmurne. Słońce, znów za ich plecami, zdawało się pchać ich w stronę wybrzeża.

- Czy dzisiaj sceneria będzie ciekawsza? - spytał Colin.

- Trochę - powiedział Alex. - Przede wszystkim zobaczysz słynny Łuk w St. Louis.

- Ile jest mil do St. Louis?

- Och... może dwieście pięćdziesiąt.

- I cały ten Łuk to jest w ogóle pierwsza ciekawsza rzecz, jaką zobaczymy?

- No...

- Chryste - powiedział chłopiec, potrząsając ze smutkiem głową. - Zapowiada się długi, długi ranek.

Trasa międzystanowa siedemdziesiąt, prosta, wielopasmowa droga, wycięta z nizinnych połaci Ameryki, wiodła ich w stronę granic stanu Illinois. Była to wygodna, stosunkowo bezpieczna trasa przeznaczona dla szybkiego ruchu i stworzona dla narodu, który zawsze się spieszy. Choć Doyle też się spieszył, chcąc znowu być z Courtney, podzielał w pewnym stopniu rozczarowanie Colina związane z ich trasą. Była prosta i szybka, ale jednocześnie pozbawiona charakteru.

Pola wiosennej pszenicy, niskiej, delikatnej i zielonej, zaczęły wypełniać otwartą przestrzeń po obu stronach autostrady. Początkowo te tchnące świeżością zielone obszary wraz z systemem przewodów irygacyjnych, z których tryskała woda, wydawały się czymś względnie interesującym. Jednak po niedługim czasie widok pól stał się monotony.

Colin był wyjątkowo rozmowny, pomimo zadeklarowanego pesymizmu, z jakim

odnosił się do perspektywy długiego poranka, i sprawił, że dwie pierwsze godziny podróży upłynęły im przyjemnie i szybko. Rozmawiali o tym, jak będzie wyglądało ich życie w Kalifornii, o lotach kosmicznych, astronautach, science fiction, rock and rollu, piratach, żaglowcach i Księżu Draculi - o tym ostatnim głównie dlatego, że Colin miał na sobie zielono-czarną koszulkę z wizerunkiem szczerzącego kły i ciskającego przerażające spojrzenie Christophera Lee, makabrycznie zdobiącego chudą pierś chłopca.

Wreszcie, po przejechaniu granicy między Indianą a Illinois, w rozmowie nastąpiła przerwa. Colin, korzystając z pozwolenia Doyle'a, odpiął swój pas, wychylił się do przodu i poszukał w radio nowej stacji.

By upewnić się, że nic nie najedzie na nich od tyłu, gdy chłopiec jest w tak niebezpiecznej pozycji, na samym brzegu siedzenia, Alex spojrzął w lusterko, by rzucić okiem na nieliczne samochody, jadące za nimi po szerokiej trasie.

W tym momencie dostrzegł furgonetkę chevroleta.

Szybko odwrócił wzrok i spojrzął na drogę.

Z początku nie chciał uwierzyć w to, co zobaczył, był pewien, że wszystko jest owocem jego wyobraźni. Potem zaczął przekonywać samego siebie, że skoro po drogach Ameryki poruszają się tysiące bagażówek, to akurat ta jest najprawdopodobniej jedną z nich, a nie tym pojazdem, który włókł się za nimi w pierwszym etapie ich podróży.

Colin usadowił się z powrotem na swym fotelu i bez dyskusji zapiął pas. Wygladzając starannie koszulkę, spytał

- Może być?

- Co?

Colin przekrzywił głowę i spojrzął ze zdumieniem na Doyle'a.

- Stacja, oczywiście. Cóż by innego?

- Jasne. Jest świetna.

Lecz Alex był tak rozkojarzony, że właściwie nie zdawał sobie sprawy, jaki rodzaj muzyki chłopiec wybrał. Zerknął z niechęcią w lustro po raz drugi.

Bagażówka wciąż podążała ich tropem i nie była jedynie wytworem jego przemęczonej wyobraźni, który można łatwo zlekceważyć, trzymała się z tyłu w odległości mniejszej niż ćwierć mili, dobrze widoczna w porannym słońcu, choć ponuro złowieszczą. Doyle pomyślał, bez żadnego związku, o człowieku ze stacji benzynowej, którego napotkali w pobliżu Harrisburga, i o grubym wcieleniu konserwatyzmu za kontuarem Lazy Time Motel. Ten znajomy i niekontrolowany dreszcz, zmora jego dzieciństwa, z którego nigdy całkiem nie wyrósł, pojawił się w jego żołądku oraz jelitach i zdawał się wywoływać cichy i irracjonalny strach. Gdzieś w głębi duszy Doyle przyznawał się przed samym sobą do tego, co musiał przyjąć po raz pierwszy do wiadomości przed dwudziestu laty: że jest mianowicie niepoprawnym tchórzem. Jego pacyfizm nie opierał się na rzeczywistych, moralnych nakazach, ale na ciągłym strachu przed przemocą. Jakie właściwie niebezpieczeństwo stanowiła furgonetka, jeśli głębiej się nad tym zastanowić? Jaką uczyniła szkodę albo jaką groźbę stanowiła?

Jeśli wydawała się złowroga, to była taka tylko w jego przekonaniu. Jego strach był nie tylko irracjonalny, ale również przedwczesny i prymitywny. Nie miał powodów obawiać się furgonetki bardziej niż Cheta czy kobiety w motelu.

- Znów za nami jedzie, co? - stwierdził Colin.

- Kto?

- Nie udawaj Greka - powiedział chłopiec.

- No dobra, jest za nami jakaś bagażówka.

- W takim razie to on.

- To może być ktoś inny.

- To zbyt przypadkowe - rzekł Colin, pewny swego.

Doyle milczał przez dłuższą chwilę. Potem powiedział”

- Obawiam się, że masz rację. To zbyt przypadkowe. Znow jest za nami, zgoda.

- Zjadę z trasy i zatrzymam się na poboczu - powiedział Alex, lekko naciskając hamulec.

- Po co?

- Żeby zobaczyć, co robi.

- Myślisz, że też się zatrzyma? - spytał Colin.

- Może. - Doyle miał szczerą nadzieję, że tak się nie stanie.

- Nie zrobi tego. Jeśli to naprawdę agent FBI, to jest za sprytny, żeby dać się na to złapać. Przemknie obok nas, jak gdyby nas nie zauważył, a potem poszuka nas na trasie.

Alex był zbyt napięty, żeby uczestniczyć w tej chłopięcej grze. Zacisnął usta, które tworzyły wąską, groźną linię, i zwolnił jeszcze bardziej, po czym spojrzął za siebie i zobaczył, że furgonetka też zwalnia. Czując przyspieszone bicie serca zjechał na pobocze, gdzie żwir chrzęścił pod szerokimi oponami, i zatrzymał się na dobre.

- No? - spytał Colin, podniecony takim obrotem sprawy.

Alex ustawił lusterko wsteczne i patrzył jak furgonetka zjeżdża z trasy i zatrzymuje się jakieś ćwierć mili za nimi.

- Cóż, okazuje się, że to nie jest człowiek z FBI.

- Hej, to wspaniale! - wykrzyknął chłopiec, najwyraźniej uradowany niespodziewaną zmianą sytuacji. - Kto to może być?

- Nie mam ochoty o tym myśleć - powiedział Doyle.

- A ja mam.

- No to pomyśl po cichu.

Zdjął nogę z hamulca i wjechał z powrotem na trasę, gładko osiągając odpowiednią prędkość. Między nimi a furgonetką pojawiły się dwa samochody, stwarzając złudne poczucie

izolacji i bezpieczeństwa. Jednak w ciągu paru minut chevrolet wyprzedził inne wozy i znów usadowił się za thunderbirdem.

Czego on chce, zastanawiał się Doyle.

Wyglądało niemal tak, jak gdyby nieznajomy za kierownicą chevroleta jakimś cudem wiedział o skrywanym tchórzostwie Doyle'a i bawił się nim.

Okolica była jeszcze bardziej płaska niż przedtem, jak gigantyczna plansza do gry, a droga prostsza i bardziej otępiająca.

Minęli wjazd na trasę do Effingham; teraz wszystkie znaki informowały ze znacznym wyprzedzeniem o drodze dojazdowej do Decatur i o odległości dzielącej od St. Louis, podawanej w dziesiątkach mil.

Alex przekraczał o pięć mil dozwoloną prędkość, wyprzedzając wolniejsze samochody, ale trzymał się przeważnie prawego pasa ruchu. Nie zdołał zgubić chevroleta.

Po przejechaniu dziesięciu mil zwolnił i znów zjechał na pobocze, patrząc jak furgonetka robi to samo.

- Czego on do cholery chce? - spytał Doyle.

- Zastanawiam się nad tym - odparł Colin, marszcząc brwi. - Ale nie mogę go rozgryźć.

Doyle ponownie wjechał na trasę i powiedział

- Możemy osiągnąć znacznie większą prędkość niż taka furgonetka. Znacznie większą.

Zostawimy go w tyle.

- Jak na filmach - odrzekł Colin, klaszcząc w dłonie. - Gaz do dechy!

Choć Doyle w przeciwieństwie do Colina nie był zachwycony perspektywą szaleńczej ucieczki i pogoni, zaczął stopniowo wciskać pedał gazu w podłogę. Czuł jak duży samochód trzęsie się, kołysze, po czym znów odzyskuje równowagę, zbliżając się błyskawicznie do

szczytu swych możliwości, które próbowano z niego wydusić. Pomimo niemal doskonałego wyciszenia, docierały do nich odgłosy drogi: stłumiony, ale narastający grzmot, towarzyszący rytmicznej pracy silnika i przeraźliwy, pełen protestu płacz porywistego wiatru, przeciskającego się między listwami osłony na chłodnicę.

Gdy szybkościomierz wskazywał sto mil na godzinę, Alex znów spojrzał w lusterko.

Niewiarygodne, ale chevrolet dotrzymywał im kroku. Był to jedyny widoczny pojazd, korzystający z lewego pasa ruchu.

Thunderbird rozpędzał się coraz bardziej: sto pięć mil (hałas na zewnątrz przypominał odgłos wodospadu uderzającego ze wszystkich stron), sto piętnaście mil (tańczący tył wozu, westchnienia i jęki karoserii), wreszcie szczyt szybkościomierza, i dalej, poza ostatnie białe cyfry, coraz szybciej...

Słupki balustrady oddzielającej obydwie jezdnie przelatywały w pędzie, zlewając się w jedną niezmaconą niczym plamę, w ścianę szarej stali. Za tą ścianą, na wschodnim paśmie ruchu, samochody i ciężarówki gnały w przeciwnym kierunku, niczym wystrzelone z armaty.

Furgonetka zostawała w tyle.

- Ale grzejemy! - krzyczał Colin, a w jego głosie pobrzmiwała mieszanina radości i niekłamanego przerażenia.

- Nie daje rady! - powiedział Alex.

Furgonetka malała, ginęła gdzieś w tyle.

Przed nim ciągnęła się pusta autostrada. Doyle nie zdjął nogi z pedału gazu.

Strasząc kierowców innych samochodów, które wyprzedzali, wywołując całą symfonię wściekłych klaksonów, pędzili przez Illinois z maksymalną prędkością przez kolejne pięć minut, oddalając się coraz bardziej od nieznanego w furgonetce. Byli rozbawieni i jednocześnie przerażeni, czując nieodparty urok tej szaleńczej jazdy. Jednakże

gdy chevrolet zniknął z pola widzenia, a uczucie euforii osłabło, Doyle uświadomił sobie ryzyko, jakie podjął, jadąc z taką prędkością nawet przy niewielkim ruchu. Gdyby pękła opona...

Przekrzykując zawodzący wiatr i wariacką muzykę jezdni ginącej pod kołami Colin spytał”

- A jeśli trafimy na radar?

Gdyby zostali zatrzymani za przekroczenie prędkości, to czy jakkolwiek policjant drogowki, będący przy zdrowych zmysłach, uwierzyłby, że uciekali przed tajemniczym mężczyzną w wynajętej bagażówce? Że uciekali przed człowiekiem, który nigdy ich nie skrzywdził, ani też nie groził, że ich skrzywdzi? Że uciekali przed absolutnie nieznanym człowiekiem, którego Alex obawiał się, ponieważ - no cóż, ponieważ zawsze bał się tego, czego nie mógł w pełni pojąć? Nie, taka historia wyglądałaby jak kłamstwo, jak kiepska wymówka. Była fantastyczna i, jednocześnie, w znacznym stopniu niezadowalająca. Tylko by rozzłościła policjanta.

Doyle z niechęcią zwolnił. Strzałka szybkościomierza opadła gwałtownie do setki, zadrgała jak pełen wahania palec, po czym opadła jeszcze bardziej.

Doyle spojrział w lusterko.

Furgonetki nie było nigdzie widać. Przynajmniej przez parę minut kierowca chevroleta nie będzie ich śledził.

- Prawdopodobnie szybko się zbliża - powiedział Colin.

- Ni mniej, ni więcej.

- Co robimy?

Tuż przed nimi znajdował się wjazd na trasę pięćdziesiąt jeden i drogowskazy informujące o odległości do Decatur.

- Będziemy jechać przez resztę dnia bocznymi drogami - powiedział Alex. - Niech sobie nas tropi na trasie numer siedemdziesiąt, jeśli chce.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu użył hamulców i wjechał w płaską krainę, ciągnącą się po obu stronach drogi.

W Decatur skręcili w boczną drogę trzydzieści sześć biegnącą na zachód, ku krańcom stanu, i dalej, do Missouri. Teren spłaszczył się jeszcze bardziej, osławione prerie stanowiły dosyć monotony widok. Krótco przed dwunastą zjedli szybki lunch w zgrabnej kafejce o drewnianych, białych ścianach, po czym ruszyli dalej.

Niedaleko za Jacksonville Colin zapytał”

- A więc co sądzisz?

- O czym?

- O człowieku w chevrolecie.

Wędrujące ku zachodowi słońce płonęło na przedniej szybie.

- To znaczy?

- Kto to mógł być?

- A nie był z FBI?

- To była tylko gra.

Po raz pierwszy Alex zdał sobie sprawę, jak bardzo ta historia z wszędobylską furgonetką poruszyła chłopca, jak bardzo go zaniepokoiła. Jeśli Colin stracił zainteresowanie dla swoich gier, to znaczyło, że musiał być naprawdę zdenerwowany, i że zasługuje na szczerą odpowiedź.

- Kimkolwiek by był - powiedział Doyle, przesuwając obolałe pośladki na winylowym siedzeniu - jest niebezpieczny.

- Czy to ktoś znajomy?

- Nie. Sądzę, że to ktoś absolutnie nieznany.

- Więc dlaczego za nami jedzie?

- Ponieważ musi za kimś jechać.

- To nie jest odpowiedź.

Doyle miał na myśli ten specjalny rodzaj szaleńców, który wywodził się z poprzedniej dekady, z tych lat tłumionego ciśnienia, gdy sama struktura społeczeństwa została rozpalona do punktu wrzenia i bardzo szybko roztopiła się. Miał na myśli Charlesa Mansona, Richarda Specka, Charlesa Whitmana, Arthura Bremerę... co prawda Charles Whitman, snajper z wieży w Teksasie, który zastrzelił ponad tuzin niewinnych ludzi, mógł mieć nierozpoznany guz mózgu, ale u pozostałych nie było mowy o fizycznych schorzeniach czy też jakichkolwiek racjonalnych przesłankach, które tłumaczyłyby ich krwawe czyny. Masakra w Teksasie - która została pośrednio usprawiedliwiona przez władze rozwodzące się ze złośliwą satysfakcją nad „liczbą ofiar” w Wietnamie - była sama w sobie powodem i wyjaśnieniem tego wydarzenia. Był przynajmniej z tuzin innych nazwisk, których Doyle nie był w stanie sobie przypomnieć, nazwisk ludzi, którzy mordowali bez powodu, ale nie na tyle skutecznie, by zapewnić sobie nieśmiertelność. Od 1963 roku każdy szaleniec musiał albo działać inteligentnie i starannie dobierać ofiary, albo postępować dostatecznie brutalnie i zarżynać mnóstwo ludzi, by zyskać rozgłos. Wielokrotnie odtwarzana scena zabójstwa prezydenta Kennedy’ego i nocne sprawozdania z krwawej wojny stępiły wrażliwość Amerykanów. Pojedynczy, zbrodniczy akt stał się zbyt pospolity, by poświęcić mu jakąkolwiek uwagę... Doyle próbował przekazać te myśli Colinowi, używając drastycznych zwrotów tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

- Więc uważasz, że to szaleniec? - spytał chłopiec, gdy Doyle skończył.

- Może. Prawdę powiedziawszy, jak dotychczas, niczego szczególnego nie zrobił. Ale gdybyśmy pozostali na autostradzie i pozwolili mu jechać za nami, dali mu czas i mnóstwo okazji... kto wie, co w końcu mógłby uczynić.

- To wszystko wygląda para...

- Paranoidalnie?

- Właśnie - powiedział Colin, przytakując energicznie. - To wygląda paranoiadnie.

- W dzisiejszych czasach trzeba być trochę paranoiadnym - powiedział Doyle. - To prawie niezbędny warunek przeżycia.

- Myślisz, że znów nas znajdzie?

- Nie. - Doyle zmrużył oczy, gdy słońce odbiło się w szybie szczególnie mocno. -

Pozostanie na autostradzie, próbując za wszelką cenę nas dogonić.

- Zorientuje się prędzej czy później, że zjechaliśmy z trasy.

- Ale nie wie gdzie i kiedy - powiedział Doyle. - I nie wie dokąd dokładnie jedziemy.

- A jeśli znajdzie sobie kogoś innego? - spytał Colin. - Jeśli zaczął nas śledzić, ponieważ przypadkowo jechaliśmy na zachód tą samą trasą, co on - czy nie wybierze sobie jakiejś innej ofiary, gdy zorientuje się, że oddaliliśmy się od niego?

- A jeśli tak, to co?

- Czy nie powinniśmy powiadomić policji? - spytał chłopiec.

- Musisz mieć dowody, zanim kogokolwiek oskarżysz - powiedział Doyle.

- Nawet gdybyśmy mieli dowody, niepodważalne dowody, że człowiek w chevroletcie miał wobec nas złe zamiary, na niewiele by nam się to zdało. Nie wiemy kogo oskarżyć, nie znamy jego nazwiska. Nie wiemy dokąd zmierza, oprócz tego, że kieruje się na zachód. Nie mamy numeru rejestracyjnego furgonetki, niczego, co pozwoliłoby policji wytropić go. - Spojrzał na Colina, a potem znów na czarną nawierzchnię drogi. - Wszystko, co możemy zrobić, to dziękować Bogu, że się go pozbyliśmy.

- Tak mi się wydaje.

- Lepiej, żebyś był o tym przekonany.

Znacznie później Colin spytał”

- Kiedy podążał za nami, a potem zjechał na pobocze, tak jak my, i znów przyspieszył, żeby nas dogonić - czy bałeś się?

Doyle zawahał się tylko sekundę, zastanawiając się, czy powinien przyznawać się do niezbyt męskiej reakcji: niepokoju, niepewności, paniki, lęku. Ale wiedział, że w przypadku Colina szczerść była zawsze najlepsza.

- Oczywiście, że się bałem. Tylko troszkę, ale jednak. Były powody.

- Ja też się bałem - przyznał chłopiec otwarcie. - Ale zawsze sądziłem, że kiedy się jest dorosłym, nie trzeba się już niczego bać.

- Na pewno wyrośniesz z pewnych lęków - powiedział Doyle. - Na przykład... czy w ogóle boisz się ciemności?

- Trochę.

- No widzisz, wyrośniesz z tego. Ale nie wyrośniesz z wszystkiego. I pojawią się nowe rzeczy, których będziesz się bał.

Przekroczyli Missisipi w Hannibal zamiast w St. Louis, tracąc tym samym okazję zobaczenia Łuku. Krótco przed skrzyżowaniem na Hiawathę, w stanie Kansas, zjechali z trasy trzydzieści sześć i korzystając z kilku autostrad, które prowadziły na południe, dotarli z powrotem na trasę siedemdziesiąt i o 8.15 zajechali przed Plains Motel, niedaleko miejscowości Lawrence, gdzie mieli rezerwację na najbliższą noc.

Plains Motel przypominał Lazy Time, z tą różnicą, że miał tylko jedno skrzydło i był zbudowany z szarego kamienia i drewna, a nie z cegieł. Napisy tworzyły identyczne pomarańczowe i zielone neony. Automat do coli stojący przy wejściu do recepcji mógł być równie dobrze przeniesiony w ciągu dnia z Lazy Time obok Indianapolis; wokół maszyny panował chłód i rozbrzmiewał mechaniczny hałas.

Alex zastanawiał się, czy recepcjonistka będzie kobietą z szopą włosów na głowie.

Recepcję obsługiwał jednak mężczyzna w wieku Doyle'a. Był gładko ogolony i starannie ostrzyżony. Miał kwadratową, szczerą, typowo amerykańską twarz, pasującą do plakatów zachwalających korzyści płynące ze wstąpienia do armii. Mógłby zbić fortunę grając w reklamówkach Pepsi, Gillette, Schicka, a także pozując do całostronicowych reklam Cameli we wszystkich możliwych magazynach.

- Zauważyłem na zewnątrz napis „brak miejsc” - powiedział Doyle. - Zastanawiałem się, czy jeszcze trzyma pan dla nas pokój. Termin rezerwacji upłynął godzinę temu, ale...

- Pan Doyle, tak? - spytał mężczyzna, odsłaniając nieskazitelnie białe zęby.

- Tak.

- Oczywiście, trzymam pański pokój. - Wydobył spod kontuaru cienki formularz.

- Miło słyszeć! Musiał się pan martwić zablokowaniem wolnego pokoju.

- Wcale się nie martwiłem, panie Doyle. Gdyby go pan nie zarezerwował, musiałbym go wynająć asfaltom.

Doyle był zmęczony po całym dniu jazdy i nie mógł się zorientować, o co recepcjoniście chodzi.

- Asfaltom?

- Czarnuchom - wyjaśnił mężczyzna. - Trzy razy tu przychodzili. Gdyby nie pańska rezerwacja, to musiałbym dać któremuś z nich pańską dwudziestkędwójkę. Nie znoszę tego.

Wolę raczej, żeby pokój stał pusty całą noc, niż wynająć go jednemu z nich.

Podpisując formularz meldunkowy, Doyle czuł się tak, jak gdyby wyrażał swą aprobatę dla rasizmu tego człowieka. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego on, ze swoim ubraniem i wyglądem, robił lepsze wrażenie niż czarni, którzy zawitali do motelu przed nim.

Młody, przystojny mężczyzna, wręczając Doyle'owi klucz, spytał

- Ile pali ten t-bird?

Alex zdążył spotkać w swym życiu wielu bigotów, więc spodziewał się, że ten, tak jak inni, będzie kontynuował tę swoją inwektywę pod adresem czarnych. Dlatego był zdziwiony nagłą zmianą tematu.

- Ile pali? Nie wiem. Nigdy nie sprawdzałem.

- Oszczędzam na taki samochód. Te wozy palą jak smoki, ale takie właśnie kocham.

Auto tego typu świadczy o swoim właścicielu. Widzisz człowieka w t-birdzie i od razu wiesz, że mu się powodzi.

Alex spojrzął na klucz w swym ręku.

- Dwadzieścia dwa? Gdzie to jest?

- Po prawej stronie na samym końcu korytarza. Ładny pokój, panie Doyle.

Alex wrócił do samochodu. Wiedział już, dlaczego recepcjonista go akceptował.

Thunderbird był dla tego człowieka symbolem, który przyćmiewa rzeczywistość. Posiadanie tak wspaniałego samochodu przekształcało aspołecznego buntownika w niemalże ekscentryka. Taki punkt widzenia przygnębił Alexa. Nie spodziewał się, że tu, w samym sercu prerii, człowieka ocenia się po tym, co posiada.

George Leland spędził wtorkową noc w mniej luksusowym miejscu, trzy mile na zachód od Plains Motel. Choć przebywał w małym jednoosobowym pokoju, nie zawsze był sam. Często towarzyszyła mu Courtney. Chwilami stała w kącie, plecami do ściany. Innym razem siedziała w nogach łóżka albo na skąpo wyściełanym, drewnianym krześle przy drzwiach do łazienki. Rozzłościła go parę razy, więc kazał jej odejść. Znikała równie cicho, jak pojawiała się. Ale wówczas tęsknił za nią i pragnął jej powrotu - i wracała, sprawiając, że to tanie miejsce wydawało się bardziej luksusowe i wspaniałe niż Plains Motel.

Zapadł w niespokojny sen.

Dwie godziny przed świtem, nie mogąc już dłużej spać, wstał, wziął prysznic i ubrał

się. Usiadł na łóżku, pochylił się nad kilkoma rozłożonymi na pościeli mapami i studiował trasę, którą zamierzał podążać w środę. Wodził po niej tam i z powrotem swoimi topornymi palcami.

Leland wiedział, że gdzieś na tej trasie liczącej sześćset mil będzie musiał zająć się Doyle'em i chłopcem. Nie musiał już dłużej ukrywać tej prawdy przed samym sobą. Courtney pomogła mu uświadomić ją sobie. Musi ich zabić, tak jak zabił tego policjanta z drogówki, który próbował stanąć między nim a Courtney. Odkładanie tej rzeczy na później było zbyt niebezpieczne. Jutro wieczorem będą mieli za sobą dobrze ponad połowę drogi do San Francisco. Gdyby Doyle zdecydował się zmienić trasę w ostatnim etapie podróży, to Leland mógłby zgubić ich na dobre.

A zatem jutro. Gdzieś między Lawrence, Kansas i Denver. Wreszcie Leland im odplaci, każdemu, kto go upokorzył i działał przeciwko niemu przez te ostatnie dwa lata. To będzie początek. Od tej chwili nie pozwoli sobą pomiatać. Każdego nauczy szacunku.

Szczęście znów się do niego uśmiechnie. Gdy Doyle i chłopiec nie będą stać na jego drodze, on i Courtney zaczną wspaniałe życie. Leland stanie się dla niej wszystkim, i dlatego będzie musiała z nim pozostać.

We wtorek wieczorem, kilka minut po 18.00, zadzwonił telefon z policyjnego laboratorium. Detektyw Ernie Hoval odebrał go w swym skromnie urządzonej gabinecie na drugim piętrze komendy policji.

- W sprawie Pulhama? - spytał, zanim człowiek po drugiej stronie zdążył cokolwiek powiedzieć. - Jeśli nie, przekaz to komu innemu. Zajmuję się tylko Pulhamem, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana, niczym więcej.

- Mam coś, co pana zainteresuje - powiedział technik. Był to głos łysego, żółtawego, niepozornego człowieczka, który poprzedniego wieczoru nie wykazał respektu przed

detektywem Hovalem. - Mam raport z Waszyngtonu na temat odcisków palców. Właśnie nadszedł dalekopisem.

- No i?

- Nie ma ich w kartotece.

Hoval przygarbił się nad dużym biurkiem, prawie je zasłaniając, jedną dłonią trzymając mocno słuchawkę, drugą zaciskając w pięść, która spoczywała na książce raportów. Jego kłykcie były białe i sterczące.

- Nie ma w kartotece?

- Mówiłem panu, że tak będzie - odparł technik, który sprawiał wrażenie niemal zadowolonego z powodu rozczarowania policjanta. - Z każdą upływającą minutą wygląda to coraz bardziej na działanie szaleńca.

- To sprawa polityczna - upierał się Hoval, raz po raz otwierając i zaciskając pięść. - Zaplanowane zabójstwo policjanta.

- Nie zgadzam się.

- A ma pan jakieś dowody? - spytał Hoval ze złością.

- Nie - przyznał technik. - Wciąż badamy samochód, ale wygląda to beznadziejnie.

Pobraliśmy próbki lakieru z każdego zadrapania i wgniecenia, ale skąd wiadomo, że któreś z tych uszkodzeń zostało spowodowane przez samochód zabójcy? A jeśli nawet - to przez jaki samochód?

- Sprawdziliście wewnątrz radiowozu?

- Oczywiście - powiedział technik. - Znaleźliśmy kilka włosów, łonowych i innych.

Obcięte paznokcie. Różnego rodzaju błoto. Żdźbła trawy. Kawałki jedzenia. Większość nie ma związku z zabójcą. A nawet jeśli ma - włos, parę wydartych nitok, które znaleźliśmy przy zamku drzwi - to niewiele nam daje, dopóki nie mamy podejrzanego, z którym można by to

wszystko powiązać.

- Tej sprawy na pewno nie rozwiąże się w laboratorium - zgodził się Hoval.

- Ma pan jakiś inny trop?

- Rekonstruujemy przebieg zmiany Pulhama - powiedział Hoval. - Zaczynając od chwili, w której wziął z garażu radiowóz.

- Macie coś?

- Mnóstwo minut, których przebieg trzeba wyjaśnić, wielu ludzi z którymi trzeba porozmawiać - powiedział Hoval. - Ale coś znajdziemy.

- Wariata.

- Kompletnie się pan myli - Hoval odłożył słuchawkę.

Dwadzieścia lat wcześniej Ernie Hoval został policjantem, ponieważ była to profesja, a nie po prostu posada; było to zajęcie, które zapewniało człowiekowi poczucie honoru i szacunek innych.

Praca była ciężka, godziny służby długie, płaca ledwie zadowalająca, ale miało się okazję zrobienia czegoś dla swej społeczności. Pośrednie korzyści płynące z pracy policjanta - wdzięczność sąsiadów i szacunek okazywany przez własne dzieci - były ważniejsze niż pensja. Tak to w każdym razie wyglądało w przeszłości...

W dzisiejszych czasach, myślał sobie Hoval, policjant nie jest niczym innym jak tylko celem. Wszyscy są przeciwko policji. Czarni, liberałowie, Latynosi, pacyfiści, członkowie ruchu wyzwolenia kobiet - cały ten pomyłony margines społeczeństwa znajduje przyjemność w ośmieszaniu policji. W dzisiejszych czasach policjanta traktuje się, w najlepszym razie, jak pajaca. W najgorszym nazywa się go faszystą, i przeznaczają do odstrzału, dokonanego przez te wszystkie rewolucyjne grupy, którymi nikt się nie przejmuje, z wyjątkiem innych gliniarzy...

Wszystko to zaczęło się w 1963, od Kennedy'ego i Dallas. A pogorszyło się, i to

bardzo, w czasie wojny. Hoval wiedział o tym, choć nie mógł pojąć, dlaczego zabójstwo prezydenta i wojna zmieniły tak wielu ludzi tak bardzo. W historii Ameryki miały miejsce polityczne zabójstwa, ale żadne nie wpłynęło na naród aż tak bardzo. I były inne wojny, które tylko wzmocniły jego kręgosłup moralny. Ale ta wojna wywarła odwrotny skutek. Nie potrafił powiedzieć dlaczego - z wyjątkiem tego, że komuniści i inne rewolucyjne siły wreszcie znalazły długo poszukiwany pretekst do działania - ale wiedział, że tak właśnie jest. Myślał o Pulhamie, ostatniej ofierze tych zmian, i zaciskał swe potężne pięści. Mord miał podłoże polityczne. Prędzej czy później znajdą tych drani.

ŚRODA, 7.00 - CZWARTEK, 7.00

Przez cały ranek zanosiło się na deszcz. Łagodnie pofałdowane pola delikatnych młodych kłosów pszenicy stykały się z odległym horyzontem jak zielony dywan pod niskim, szarym pułapem szybko płynących chmur. Gdzieś tam, z tej obłąkańczo płaskiej ziemi, wyrastały potężne betonowe elewatory zbożowe, jak gigantyczne piorunochrony, sprawdzające nieustępliwość nadciągającej burzy.

Colinowi spodobała się ta sceneria. Cały czas pokazywał elewatory i nieliczne szkielety szybów wiertniczych, które trwały w oddali jak strażnice.

- Wspaniałe, co?

- Ta ziemia jest w każdym calu tak płaska jak w Indianie i Missouri - powiedział Doyle.

- Ale jest w niej historia. - Chłopiec miał dziś na sobie czerwono-czarną koszulkę z wizerunkiem Frankensteina, która wysunęła się z jego sztruksowych spodni, ale nie zwracał na to uwagi.

- Historia? - spytał Alex.

- Nigdy nie słyszałeś o szlaku starego Chisholma □? Albo o szlaku Santa Fe? Są tu wszystkie sławne miasta Dzikiego Zachodu - powiedział chłopak podniecony. - Jest Abilane, □ □

i Ford Riley, Fort Scott, Pawnee Rock, Wichita, Dodge City i stary cmentarz Boot Hill .

- Nie wiedziałem, że jesteś wielbicielem westernów - powiedział Doyle.

- Nie bardzo. Ale Dzikie Zachód wciąż jest fascynujący.

Alex spojrział na wielkie równiny i próbował odmalować je sobie tak, jak niegdyś wyglądały: ruchome piaski, kurz, kaktusy, surowy i złowieszczy krajobraz, zaledwie tknięty ludzką stopą. Tak, to musiało być dawniej romantyczne miejsce.

- Toczyły się tu indiańskie wojny - powiedział Colin. - I John Brown wywołał w

Kansas małą wojnę domową w 1865, kiedy ze swoimi chłopcami zabił pięciu właścicieli niewolników w Pottawatomie Creek.

- Założę się, że nie potrafisz szybko wypowiedzieć tej nazwy pięć razy z rzędu.

- O dolara?

- Stoi.

- Pottawatomie, Pottawatomie, Pottawatomie, Pottawatomie, Pottawatomie! -

□ Szlak Chisholma - szlak, którym pędzono bydło z Teksasu do Kansas.

□ □ Boot Hill - nazwa pochodzi od kowboja, którego pochowano w butach.

Powiedział, tracąc oddech przy ostatnim wyrazie. - Jesteś mi winien dolca.

- Dopisz do mojego rachunku - odparł Doyle.

Znow czuł się lekko, swobodnie i dobrze, teraz, gdy podróż zaczęła rozwijać się tak, jak sobie zaplanowali.

- Czy wiesz, kto jeszcze pochodził z Kansas?

- Kto?

- Carry Nation - odparł Colin chichocząc. - Kobieta, która biegała po saloonach z siekierą i rozbijała je.

Minęli kolejny elewator umieszczony na końcu długiej i prostej drogi o asfaltowej nawierzchni.

- Gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś? - spytał Doyle.

- Po prostu dowiedziałem się - powiedział Colin. - Trochę tu, trochę tam.

Od czasu do czasu mijali pola leżące odłogiem, ciemnobrązowe połacie ziemi, niczym starannie rozpostarte obrusy. Po jednym z nich krążył wir powietrzny, wciągając kurz do wnętrza wąskiej kolumny świszczącego, wiosennego powietrza.

- Tutaj mieszkała także Dorotka - powiedział Colin, obserwując wir.

- Jaka Dorotka?

- Dziewczynka z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. Pamiętasz jak zaniósł ją do Oz potężne tornado?

Alex miał właśnie odpowiedzieć, gdy przeraził go ogłuszający ryk klaksonu,

dochodzący bezpośrednio z tyłu. Spojrzał w lusterko i syknął widząc furgonetkę chevroleta.

Znajdowała się nie dalej niż sześć stóp od ich tylnego zderzaka. Niewidoczny kierowca walił dłonią w obręcz klaksonu przy kierownicy: biip, bip, bip, bip, bip, biiiiip!

Doyle spojrział na szybkościomierz i stwierdził, że przekraczają siedemdziesiątkę.

Gdyby odgłos klaksonu zaskoczył go do tego stopnia, że wcisnąłby pedał hamulca, chevrolet staranowałby ich. Byliby martwi.

- Głupi sukinsyn - powiedział.

Bip, biiiiiiiiip, biiiiip...

- Czy to on? - spytał Colin.

- Tak.

Furgonetka podjechała do nich tak blisko, że Doyle nie był nawet w stanie dostrzec jej zderzaka, czy dolnej części atrapy.

- Dlaczego trąbi? - spytał Colin.

- Nie wiem... Chyba chce się upewnić, że wiemy o jego powrocie.

Klakson furgonetki zawodził monotony tren.

- Sądysz, że chce, byś się zatrzymał? - spytał Colin, ściskając swymi delikatnymi dłońmi kolana i wychylając się do przodu, jak gdyby przytłoczony napięciem.

- Nie wiem.

- Zatrzymasz się?

- Nie.

Colin skinął głową.

- To dobrze. Chyba nie powinniśmy się zatrzymywać. Myślę, że powinniśmy jechać nie oglądając się na nic.

Doyle spodziewał się, że nieznajomy lada moment przestanie trąbić i wycofa się na swą ulubioną odległość jednej czwartej mili. Trzymał się jednak blisko, tylko trzy stopy od ich bagażnika, pędząc z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę z wyjącem klaksonem.

Choć nie było wiadomo, czy człowiek w chevrolecie jest tak niebezpieczny jak

Charles Manson czy Richard Speck, to z pewnością był niezrównoważony. Czerpał jakąś przyjemność z terroryzowania ludzi absolutnie mu nieznanym, a to już znacznie odbiegało od normy. Doyle wiedział, lepiej niż kiedykolwiek, że nie chciałby spotkać się z tym człowiekiem twarzą w twarz i poznać granice jego szaleństwa.

Bip, biiiiip, biiiiip...

- Co możemy zrobić? - spytał chłopiec.

Doyle spojrzał na niego.

- Pas zapięty?

- Oczywiście.

- Znów zostawimy go w tyle.

- I dojedziemy do Denver bocznymi drogami?

- Owszem.

- Znajdzie nas jutro, gdy będziemy wyjeżdżać z Denver do Salt Lake City.

- Nie znajdzie - stwierdził Doyle.

- Skąd ta pewność?

- Nie jest jasnowidzem - powiedział Doyle. - Miał szczęście, to wszystko.

Zatrzymywał się przypadkowo w okolicy, w której i my się zatrzymywaliśmy każdej nocy i, równie przypadkowo, wyruszał w drogę mniej więcej o tej samej godzinie co my, każdego ranka. To, że ciągle nas spotyka, jest czystym przypadkiem. - Wiedział, że to jedyne racjonalne wyjaśnienie, choć bardzo wątpliwe, jedyne względnie sensowne wytłumaczenie. A jednak nie wierzył w ani jedno swoje słowo. - W gazetach możesz przeczytać o bardziej nieprawdopodobnych zbiegach okoliczności. Dzień w dzień. - Mówił teraz tylko po to, żeby uspokoić chłopca. Ten stary, znajomy i znienawidzony strach powrócił i Doyle wiedział, że dopóki nie dotrą bezpiecznie do San Francisco, on też nie odzyska spokoju.

Wcisnął pedał gazu.

Thunderbird wystrzelił do przodu, tworząc szczelinę między obydwoma wozami.

Dystans powiększył się gwałtownie, choć bagażówka też przyspieszyła.

- Nadłóżysz mnóstwo drogi, jeśli teraz zawrócimy - powiedział chłopiec, a w jego głosie wyczuwało się niepokój.

- Niekoniecznie. Możemy skrócić na północ i znów zjechać na trasę trzydzieści sześć powiedział Doyle, obserwując w lusterku malejącą furgonetkę. - To niezła droga.

- To jednak kilka dodatkowych godzin jazdy. Wczoraj byłeś naprawdę zmęczony, gdy przyjechaliśmy do motelu.

- Nic mi nie będzie - powiedział Doyle. - Nie martw się o mnie.

Dojechali trasą siedemdziesiąt siedem do trasy trzydzieści sześć i podążyli na zachód przecinając północną część stanu.

Colin przestał darzyć sympatią pola, elewatory zbożowe, szyby wiertnicze i wiry powietrzne. Ledwie raczył spojrzeć na krajobraz. Wepchnął koszulkę w spodnie i wygładził ją, wybił rytm na kościstych kolanach, oczyścił grube szkła i jeszcze raz wygładził koszulkę. Minuty wlokły się jak ślimaki.

Lelan zwolnił do siedemdziesiątki, co uspokoiło meble i sprzęty, które grzechotały w części bagażowej, gdy tylko zaczynał przyspieszać. Spojrzał na złotą, przezroczystą dziewczynę siedzącą obok.

- Musieli skręcić gdzieś po drodze. Nie dogonimy ich wcześniej niż dziś wieczór w Denver.

Nie odezwała się.

- Powinienem był trzymać się z tyłu i czekać na okazję, by zepchnąć ich z drogi. Nie powinienem był atakować ich tak od razu.

Uśmiechnęła się tylko.

- No cóż - powiedział - sądzę, że masz rację. Autostrada to zbyt uczęszczane miejsce, by ich załatwić. Dziś wieczór, w hotelu, będzie o wiele łatwiej. Mógłbym zrobić to nożem, gdyby udało mi się podkraść niepostrzeżenie. Bez hałasu. Poza tym, niczego nie będą się spodziewać.

Pola przepływały obok. Ołowiane niebo zwieszało się nisko i o szybę zabębnił deszcz.

Wycieraczki uderzały hipnotycznie, jak pałka, której ciosy raz za razem miażdżą coś ciepłego i miękkiego.

Rockies Motor Motel leżący na wschodnich krańcach Denver, był rozległym kompleksem budynków, w kształcie dwukondygnacyjnej szachownicy do gry w kółko i krzyżyk, z setką pokoi w każdym z czterech długich skrzydeł. Wbrew swoim rozmiarom - niemal dwie mile betonowych, odsłoniętych, krytych metalowym dachem tarasów - wydawał się mały, ponieważ stał w architektonicznym cieniu miejskich wieżowców, a także, co przytłaczało go jeszcze bardziej, w sąsiedztwie Gór Skalistych o zaśnieżonych szczytach, które majaczyły na zachodzie i południu. W ciągu dnia słońce tych górzystych okolic odbijało się w rzędach identycznych okien i w metalowych rynnach, przekształcało długie dachy przedsionków w pofałdowane lustra i połyskiwało w wodzie wypełniającej basen o olimpijskich wymiarach, który znajdował się w środku zamkniętego dziedzińca. Nocą, za zasłoniętymi oknami, we wszystkich niemal pokojach, paliły się ciepłe, pomarańczowe lampki, oświetlona była również woda w basenie i jego obrzeże; front motelu płonął żółtym, białym i czerwonym światłem, zainstalowanym głównie po to, by zwrócić uwagę na recepcję, hali, restaurację i cocktail bar pod nazwą Big Rockies.

Jednak w środę wieczorem, o 22.00, motel wydawał się ciemny i pozbawiony życia.

Paliły się te światła, co zwykle, ale nie mogły odegnać szarego, zacinającego deszczu i cienkiej nocnej mgiełki, niosącej ze sobą wspomnienie zimowego chłodu, który nie tak dawno opuścił miasto. Zimne krople deszczu odbijały się od nawierzchni parkingu, uderzały o rzędy samochodów i stukały w szklane ściany hallu i restauracji. Bębniły bezustannie w dachy budynków i w pofałdowaną blachę, zakrywającą promenadę przy każdym skrzydle, wydając przyjemny dźwięk, który kołysał nocnych gości do głębokiego snu. Deszcz padał z hałasem do basenu i tworzył kałuże pod świerkami i innymi wiecznie zielonymi roślinami, które rosły na bogato ukształtowanym dziedzińcu. Tryskał z dziobów rynien i toczył się

wzdłuż krawężników, na krótko tworząc wokół kratak ściekowych niewielkie jeziora. Tam, gdzie nie mógł sięgnąć deszcz, docierała mgła, pokrywając kropelkami pary przysłonięte okna i połyskliwą czerwoną emalię ponumerowanych drzwi.

Alex Doyle siedział na brzegu podwójnego łóża w pokoju numer trzysta osiemnaście i słuchał deszczu uderzającego w dach oraz Colina rozmawiającego przez telefon z Courtney.

Chłopiec nie wspominał o nieznanym w wynajętej furgonetce. Mężczyzna już ich nie dogonił w czasie tego długiego popołudnia. I w żaden sposób nie mógł dowiedzieć się, gdzie spędzali noc... nawet gdyby ta gra wciągnęła go do tego stopnia, że w celu jej kontynuacji zboczyłby z trasy, i tak zniechęciłaby go zła pogoda; nie przeszukiwałby wszystkich moteli leżących wzdłuż trasy siedemdziesiąt w nadziei, że znajdzie thunderbirda - nie tej nocy, nie w tym deszczu. Nie było potrzeby niepokoić Courtney szczegółami tego niebezpiecznego wydarzenia, które minęło, i które, Doyle czuł to teraz, nigdy naprawdę niebezpieczne nie było.

Colin skończył i podał słuchawkę Doyle'owi.

- A jak tobie podobał się Kansas? - spytała, gdy się z nią przywitał.

- To była prawdziwa edukacja - odpowiedział Doyle.

- Z Colinem jako nauczycielem?

- Nic dodać, nic ująć.

- Słuchaj, Alex, czy z Colinem wszystko w porządku?

- Z Colinem?

- Tak.

- W porządku. Dlaczego pytasz?

Zawahała się. Na linii słychać było cichy szum, jak stłumione echo zimnego deszczu uderzającego w dach motelu.

- Jak by to powiedzieć... nie jest taki radosny, jak zazwyczaj.

- Nawet Colin czasem się męczy - powiedział Doyle, mrugając do chłopca.

Colin skinął ponuro głową. Wiedział, o co pyta jego siostra i co Alex próbuje przed nią ukryć. Kiedy sam z nią rozmawiał, starał się zachowywać naturalnie. Ale ta charakterystyczna dla niego gadatliwość nie mogła stłumić lęku, nad którym Colin starał się panować od wczesnego ranka, od chwili pojawienia się furgonetki.

- Tylko tyle? - spytała Courtney. - Jest po prostu zmęczony?

- A cóż by innego?

- No...

- Obydwaj jesteście zmęczeni podróżą - przerwał Doyle. Wiedział, że Courtney coś wyczuwa. Czasami miała jakiś szósty zmysł. - To prawda, że jak się jedzie przez cały kraj, to jest dużo do oglądania - ale większość jest dokładnie taka sama, jak to, co widziało się dziesięć minut wcześniej, i jeszcze wcześniej. - Zmienił temat, zanim zażądała szczegółów. -

Przywieźli już jakieś meble?

- O tak! - powiedziała. - Sypialnię.

- No i?

- Wygląda dokładnie tak jak w salonie meblowym. A materac jest twardy, ale sprężysty.

Specjalnie przybrał podejrzliwy ton.

- Jak się o tym przekonałaś - skoro twój mąż jest dopiero gdzieś w połowie drogi?

- Skakałam po nim przez jakieś pięć minut - powiedziała, chichocząc cicho. - Próba, rozumiesz?

Roześmiał się, wyobrażając sobie szczupłą, długowłosą dziewczynę o dziecięcej twarzy, szalejącą na łóżku, jak na trampolinie.

- I wiesz co, Alex?

- Co?

- Byłam naga, gdy przeprowadzałam tę próbę. Co ty na to?

Przestał się śmiać.

- Wspaniale. - Głos uwiązał mu w gardle.

Czuł, że jego uśmiech musi być idiotyczny, pomimo obecności Colina, który słuchał i patrzył.

- Dlaczego tak mnie torturujesz?

- Nie mogę opędzić się od myśli, że spotkałeś na drodze jakąś niezłą dziewczynę i zwiatałeś z nią. Nie chcę, byś mnie zapomniał.

- Nie mógłbym - powiedział, mając na myśli coś więcej niż seks. - Nie mógłbym zapomnieć.

- Lubię mieć pewność. Aha, słuchaj, wydaje mi się, że znalazłam pracę.

- Tak szybko?

- Zaczyna się ukazywać nowy magazyn i potrzebują fotografa na cały etat. Żadna tam nudna robota w redakcji. Fotografia w najczystszej postaci. Umówiłam się z nimi na jutro, pokażę im teczkę z moimi zdjęciami.

- Brzmi wspaniale.

- Colin też na tym skorzysta - powiedziała. - To nie jest praca biurowa. Będę biegać po całym mieście i robić zdjęcia. Czeka go pracowite lato.

Rozmawiali jeszcze tylko przez parę minut, po czym pożegnali się. Gdy Doyle odłożył słuchawkę, bębnienie deszczu zdawało się raptownie nasilać.

Później, gdy leżeli w głęboko zaciemnionym pokoju w swoich łóżkach, czekając na sen, Colin westchnął i powiedział”

- No i co, domyśliła się, że coś jest nie tak, prawda?

- Tak.

- Nie można oszukać Courtney?

- W każdym razie niezbyt długo - odparł Doyle, wpatrując się w nieoświetlony sufit i myśląc o swojej żonie.

Ciemność zdawała się pęcznić i kurczyć, i znów pęcznić, pulsując jak żywa i otulając ich niczym koc.

- Naprawdę sądzisz, że go zgubiliśmy?

- Pewnie.

- Przedtem też tak myśleliśmy.

- Tym razem możemy być pewni.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Colin. - Ten facet jest naprawdę szalony, kimkolwiek jest.

Po chwili uspokajająca muzyka wiosennego deszczu ukołysała do snu najpierw chłopca, a potem Doyle'a.

Deszcz wciąż lał, gdy Colin obudził Alexa. Stał przy łóżku Doyle'a, szarpiąc go za ramię i szepcząc nagłaco.

- Alex! Alex! Obudź się. Alex!

Doyle usiadł na łóżku, osłabiony i nieco otumaniony. W ustach czuł niesmak. Mrugał bezustannie, starając się coś zobaczyć, dopóki nie zorientował się, że jest środek nocy i że w pokoju panuje smolista ciemność.

- Alex, nie śpisz już?

- Co się stało?

- Ktoś jest przy drzwiach - powiedział chłopiec.

Alex wpatrywał się w miejsce, z którego dochodził głos Colina, ale nie mógł dostrzec chłopca.

- Przy drzwiach? - spytał głupio, wciąż zbyt zaspany, by zrozumieć co się dzieje.

- Obudził mnie - wyszeptał Colin. - Słyszę go od jakichś trzech czy czterech minut.

Chyba próbuje otworzyć drzwi.

Przy akompaniamencie deszczu, Alex posłyszał odgłosy manipulowania przy zamku, docierające zza drzwi. W ciepłej, przytulnej, nieprzeniknionej ciemności dźwięk drutu przesuwanego tam i z powrotem w zamku wydawał się znacznie głośniejszy, niż był w rzeczywistości. Strach, który odczuwał Doyle, działał jak wzmacniacz.

- Słyszysz go? - spytał Colin.

Jego głos zmienił się raptownie przed drugim słowem, przybierając wysoki ton.

Doyle wyciągnął rękę, odszukał w ciemności chłopca i położył dłoń na jego chudym ramieniu.

- Słyszę go, Colin - wyszeptał, mając nadzieję, że jego własny głos nie zmienił się. -

Nie bój się. Nikt tu nie wejdzie. Nikt cię nie skrzywdzi.

- Ale to musi być on.

Doyle spojrzał na swój zegarek, który stanowił jedyne źródło światła w tym małym pokoju. Na tarczy zamigotały cyfry, wyraźne i jasne: siedem po trzeciej rano. O tej godzinie nikt nie miał żadnego sensownego powodu, by włamywać się do pokoju, który... Co mu w ogóle przychodziło do głowy? Nie było sensownego powodu, by robić taką rzecz o jakiegokolwiek godzinie, dniem czy nocą.

- Alex, co zrobimy, jeśli dostanie się do środka?

- Szszsz - uciszył go Doyle, odrzucając nogami pościel i ześlizgując się z łóżka.

- Co zrobimy, jeśli się dostanie?

- Nie dostanie się.

Doyle zbliżył się do drzwi, czując za plecami Colina. Nachylił się, by przystawić ucho do zamka. Metal tarł o metal, brzęczał, uderzał, znowu tarł.

Doyle zrobił krok w kierunku jedyne okna, na lewo od drzwi. Ostrożnie, by nie

robić hałasu, podniósł grube zasłony, a następnie chłodne w dotyku żaluzje. Próbował spojrzeć w prawo, wzdłuż zadaszonej promenady, tam gdzie powinien znajdować się pochylony nad zamkiem mężczyzna, ale stwierdził, że przestrzeń za szybą jest otulona rzadką mgłą, która dokładnie przystania okno. Nie mógł dostrzec niczego oprócz niewyraźnego, rozmazanego blasku kilku pojedynczych świateł motelu, które sprawiały, że ciemność na zewnątrz była nieco mniej intensywna i bardziej przyjazna niż w pokoju.

Opuścił żaluzje i zasłony z taką samą ostrożnością, z jaką je podniósł. Nie widział żadnego sensownego powodu, by zachowywać się cicho, ale chciał w ten sposób zyskać na czasie. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał podjąć decyzję, że będzie musiał w jakiś sposób zareagować na to, co się dzieje - nie był jednak pewien, czy jest zdolny do działania przeciwko osobnikowi, który był na zewnątrz.

Znów podszedł do drzwi.

Dywan był szorstki i kłuł go w gołe stopy.

Colin pozostał przy drzwiach, milczący i niewidoczny w czarnej jak onyks ciemności, zbyt przestraszony, by się poruszyć albo odezwać.

Lodowaty dźwięk drutu drapiącego wewnątrz zamka był uporczywy i równie głośny, jak poprzednio. Alex pomyślał o skalpelu chirurgicznym, który uderza o twardą powierzchnię kości.

- Kto tam? - spytał wreszcie Doyle.

Był zaskoczony siłą i opanowaniem swego głosu. Prawdę powiedziawszy był zaskoczony, że w ogóle jest w stanie mówić.

Drut przestał się poruszać.

- Kto tam? - spytał Doyle, tym razem głośniej, ale nie tak odważnie jak poprzednio i z udawaną zuchwałością.

Pospieszne kroki - z pewnością potężnego mężczyzny - zadudniły na betonowej promenadzie i szybko rozpląnęły się w nieustępliwym grzmocie burzy.

Czekali, nasłuchując uważnie. Ale mężczyzna już odszedł.

Alex odnalazł po omacku kontakt i przekręcił go.

Przez moment obaj byli oślepieni nagłym blaskiem. Po chwili ich świadomość zaczęła stopniowo oswajać się z wnętrzem typowego, hotelowego pokoju.

- On wróci - powiedział Colin.

Chłopiec stał przy biurku, mając na sobie jedynie spodenki i podkoszulek, a na nosie grube okulary. Cienkie, opalone nogi drżały tak bardzo, że kolana niemal uderzały o siebie.

Doyle, który również miał na sobie tylko bieliznę, zastanawiał się, czy jego ciało też zdradza stan jego umysłu.

- Może nie wróci - powiedział. - Skoro już wie, że nie śpimy, chyba nie zechce ryzykować powrotu.

Colin był nieustępliwym.

- Wróci.

Doyle wiedział, co powinien w tej sytuacji zrobić, ale nie chciał stawić czoła niebezpieczeństwu. Nie chciał wyjść na deszcz i szukać człowieka, który próbował otworzyć drzwi.

- Moglibyśmy wezwać policję - powiedział Colin.

- Naprawdę? Wciąż nie mamy nic do powiedzenia, żadnego dowodu. Sprawialibyśmy wrażenie rozhisteryzowanych wariatów.

Colin wrócił do łóżka i usiadł na jego brzegu, otulając się kocem, co sprawiło, że wyglądał jak miniaturka amerykańskiego Indianina.

Doyle poszedł do łazienki, nalał sobie szklankę wody z kranu i wypił powoli,

przełykając z niejaką trudnością.

Gdy wypłukał szklankę i postawił ją obok umywalki, na półce z imitacji marmuru, dostrzegł w lustrze odbicie swej twarzy. Był blady i wyczerpany. Strach uwidaczniał się w boleśnie wyrazistych liniach, w kącikach bezkrwistych ust i wokół oczu. Nie podobało mu się to, co ujrzał w lustrze i z trudem znosił własne spojrzenie.

Chryste, myślał, czy ten mały, przestraszony chłopiec kiedykolwiek odejdzie w niebyt i ustąpi miejsca dorosłemu mężczyźnie? Czy nigdy z tego nie wyrośniesz, Alex? Czy przez całe życie zamierzasz tak łatwo ulegać strachowi? Zwłaszcza teraz, gdy masz żonę, którą musisz chronić? A może sądzisz, że Colin dorośnie na tyle szybko, by móc opiekować się zarówno tobą jak i Courtney?

Zły na siebie, częściowo zawstydzony, ale wciąż niewątpliwie przestraszony, odwrócił się od lustra i własnego oskarżycielskiego oblicza i wrócił do pokoju.

Colin nie ruszył się z łóżka, nie zrzucił też z ramion koca. Spojrzał na Doyle'a przez szkła okularów, które powiększały nie tylko jego oczy, ale i widoczne w nich ziarenko strachu.

- Co by zrobił, gdyby zdołał otworzyć drzwi, nie budząc nas?

Doyle tkwił na środku pokoju, niezdolny udzielić odpowiedzi.

- Gdyby znalazł się w pokoju razem z nami - zapytał chłopiec - to co by zrobił? Kiedy wyjeżdżaliśmy z domu, powiedziałaś, że nie mamy niczego wartościowego.

Doyle przytaknął bezmyślnie.

- Chyba jest tak, jak mówiłaś - ciągnął Colin. - To chyba jeden z tych facetów, o których się czyta w gazetach. Myślę, że to maniak. - Jego głos stał się prawie niesłyszalny.

Zdając sobie sprawę, że jest to niewłaściwa odpowiedź, a nawet nieprawdziwa, Alex stwierdził”

- W każdym razie... już sobie poszedł. Colin popatrzył na niego.

Wyraz twarzy chłopca mógł oznaczać wszystko albo nic. Lecz Alex dostrzegł w niej załączki powątpiewania i ledwo uchwytny cień osądzenia. Był przekonany, że chłopiec patrzy na niego inaczej niż dotychczas, co było tak pewne jak deszcz uderzający o dach nad ich głowami. I choć Colin był zbyt inteligentny, by podsumować kogokolwiek jednym, nieodwołalnym stwierdzeniem czy prostym zasufladkowaniem i był zbyt rozsądny, by widzieć wszystko w czarno-białych barwach, jego opinia na temat Doyle'a zmieniała się właśnie na gorsze, bez względu na to, jak nieznaczna była owa zmiana.

Ale czy opinia jednego dziecka, Doyle pytał samego siebie, miała dla niego aż takie znaczenie? I od razu wiedział, że w przypadku tego właśnie dziecka, odpowiedź jest twierdząca. Przez całe życie Doyle bał się ludzi i był zbyt nieśmiały, by zbliżyć się do kogokolwiek. Był zbyt niepewny siebie, by ryzykować miłość. Aż do chwili, gdy spotkał Courtney. I Colina. A teraz ich zdanie liczyło się bardziej niż cokolwiek innego w świecie. Miał wrażenie, że mówi nie swoim głosem.

- Chyba będzie lepiej, jak wyjdę na zewnątrz i rozejrzę się. Jeśli uda mi się rzucić na niego okiem, zobaczyć jak wygląda, zapisać numer rejestracyjny tej furgonetki... to przynajmniej dowiemy się czegoś o naszym wrogu. Nie będzie już taką zagadką - i z pewnością wyda się mniej przerażający.

- A jeśli naprawdę ma złe zamiary - dodał Colin - to będziemy dysponować opisem, który można podać policji.

Doyle skinął w milczeniu głową, po czym podszedł do szafy i wyjął zmięte, brudne rzeczy, które miał na sobie poprzedniego dnia. Ubrał się.

Parę minut później, stojąc już przy drzwiach, spojrzał na Colina.

- Dasz sobie radę?

Chłopiec skinął głową i otulił się kocem.

- Zatrzasnę za sobą drzwi, kiedy będę wychodził - i nie wezmę ze sobą klucza. Nie otwieraj nikomu oprócz mnie. I najpierw upewnij się, że poznajesz mój głos.

- OK.

- Niedługo wracam.

Colin znów skinął głową. Po chwili, choć przepełniał go lęk o siebie i Alexa, zdobył się na wisielczy humor.

- Lepiej uważaj. Artyście naprawdę nie przystoi umierać w takim tanim, ponurym miejscu jak to.

Doyle uśmiechnął się smętnie.

- Nie ma mowy. - Następnie wyszedł na zewnątrz, upewniając się, że drzwi zatrzasnęły się za nim.

Wcześniej tego samego wieczoru, w odległości tysiąca pięciuset mil na wschód, detektyw Ernie Hoval otworzył drzwi wejściowe drewnianego domu z trzema sypialniami, wartego trzydzieści tysięcy dolarów, znajdującego się w miłym osiedlu dla klasy średniej, pomiędzy Cambridge i Cadiz, w stanie Ohio, przy trasie dwadzieścia dwa, i wszedł do hallu, który był cały zbрызgnany krwią. Ściany po obu stronach znaczyły długie, czerwone smugi, pozostawione przez zsuwające się po tynku czyjeś pełne rozpaczony dłonie. Duże krople krwi splamiły beżowy dywan i wyściełaną żółtym brokatem kanapę tête-à-tête, stojącą przy schowku na płaszcz.

Hoval zamknął drzwi i wszedł do living-roomu, gdzie częściowo na sofie, a częściowo na podłodze leżała martwa kobieta. Miała dobrze ponad czterdzieści lat i była bardzo przystojna, jeśli nie piękna, wysoka i ciemnowłosa. Otrzymała postrzał w brzuch.

Reporterzy i policjanci fotografowie otaczali ją niczym wilki. Czterej technicy,

milczący jak głuchoniemy kwartet, chodzili po ogromnym pokoju na czworakach, mierząc i zaznaczając wzorzyste plamy krwi, która zdawała się być wszędzie.

Wszyscy czterej najwyraźniej walczyli z wymiotami.

- Chryste - powiedział Hoval.

Przeszedł przez living-room i dotarł wąskim korytarzem do pierwszej łazienki, gdzie u stóp skrwawionej szafki leżało rozciągnięte ciało nadzwyczaj ładnej nastolatki. Nie miała na sobie nic oprócz skąpych niebieskich majteczek i została zabita jednym strzałem w tył głowy.

Łazienka była bardziej zakrwawiona niż foyer i living room razem wzięte.

W najmniejszej sypialni, w łóżku, na plecach, leżał przystojny, długowłosy brodaty dwudziestolatek, przykryty aż po szyję, z dłońmi spoczywającymi na piersiach. Pastelowy koc był przesiąknięty krwią i podziurawiony na środku przez odłamki pocisków ze strzelby. Plakat z Rolling Stonesami, przyczepiony nad łóżkiem do ściany, przecinały czerwone strugi, a jego mokre krawędzie zwijały się.

- Sądziłem, że zajmuje się pan tylko sprawą Pulhama.

Hoval odwrócił się, żeby zobaczyć kto to powiedział, i ujrzał niewzruszenie wyglądającego technika, który zdejmował odciski palców z radiowozu Richa Pulhama.

- Usłyszałem komunikat o tym morderstwie i pomyślałem, że może mieć jakiś związek z tamtą sprawą. Jest trochę podobne.

- To sprawa rodzinna - powiedział technik.

- Mają już podejrzanego?

- Mają już zeznanie - odparł technik, zerkając bez zainteresowania na martwego chłopca.

- Czyje?

- Męża i ojca.

- Wymordował własną rodzinę? - Hoval nie po raz pierwszy stykał się z czymś takim, ale nigdy nie przestało go to szokować. Jego żona i dzieci znaczyły dla niego tak wiele, były tak nieodłączną częścią życia Hovala, że nigdy nie potrafił zrozumieć, jak człowiek może doprowadzić się do takiego stanu, by zamordować swych najbliższych.

- Czekał na policjantów - powiedział technik. - Był tym, który zadzwonił. To on ich wezwał.

Hovalowi zrobiło się niedobrze.

- Coś nowego w sprawie Pulhama?

Hoval oparł się o ścianę, ale przypomniał sobie o krwi, więc odsunął się i sprawdził, czy na ubraniu nie ma plam. Ale ściana w tym miejscu była czysta. Znow się oparł, czując niepokój i dreszcz pełznący po plecach.

- Chyba coś mamy - powiedział. - Cała sprawa zaczęła się przypuszczalnie w restauracji Breena, niedaleko rozjazdu. - Streścił to, czego dowiedzieli się od Janet Kinder, kelnerki, która podała lunch nieznanemu dziwakowi w poniedziałek po południu. - Jeśli Pulham pojechał za tym mężczyzną - a wszystko coraz bardziej na to wskazuje - to nasz morderca jedzie wynajętą furgonetką do Kalifornii.

- Trochę za mało informacji, żeby wysłać komunikat, co?

Hoval skinął głową.

- Po międzystanówce siedemdziesiąt jeżdżą tysiące bagażówek. Miną tygodnie, zanim sprawdzi się wszystkie, ustali personalia kierowców i wyłapie drania, który to zrobił.

- Kelnerka go opisała? - spytał technik.

- Tak. Ma fioła na punkcie mężczyzn, więc wszystko dokładnie pamięta. - Przytoczył opis, który podała im dziewczyna.

- Nie wygląda mi na lewicowego rewolucjonistę - stwierdził technik - bardziej na

byłego żołnierza piechoty morskiej.

- Trudno powiedzieć cokolwiek w dzisiejszych czasach - odparł Ernie Hoval. -

Żołnierze oddziałów specjalnych i inni pomyłeńcy obcinają włosy, golą się, kąpią i wtapiają w tłum przeciętnych, przyzwoitych obywateli. - Miał już dosyć tego żółtawego człowieka i nie chciał dłużej dyskutować. Było oczywiste, że mają odmienne zdania.

Odsunął się od ściany i jeszcze raz obrzucił spojrzeniem zakrwawioną łazienkę.

- Dlaczego?

- Dlaczego to się stało? Dlaczego wymordował swoją rodzinę?

- Tak.

- To bardzo religijny człowiek - stwierdził technik, znów się uśmiechając.

Hoval nie zrozumiał. Poprosił o wyjaśnienia.

- To świecki kaznodzieja. Oddany Chrystusowi, rozumie pan. Głosi Słowo Boże gdzie tylko się da, każdego wieczoru czyta przez godzinę Biblię... a potem widzi jak jego chłopak pograża się z powodu narkotyków - albo przynajmniej trawki. Zauważa u córki rozluźnienie zasad moralnych albo całkowity ich brak, ponieważ nie chce mu powiedzieć, z kim się umawia albo dlaczego wraca późno do domu. A matka troszkę za często brała stronę dzieciaków. Zachęcała do grzechu, by się tak wyrazić.

- Co w końcu zaważyło?

- Nic szczególnego. Twierdzi, że wszystkie codzienne sprawy tak się nawarstwiły, że nie mógł już tego wytrzymać.

- A rozwiązaniem było morderstwo.

- W każdym razie dla niego.

Hoval pokręcił smutno głową, myśląc o ładnej dziewczynie leżącej na podłodze łazienki.

- Dokąd dziś zmierza świat?

- Nie świat - powiedział chudy technik. - W każdym razie nie cały świat.

To był rześisty deszcz, ulewa, najwyraźniej bezustanne oberwanie chmury. Wiatr od wschodu gnał bezlitosne, chłoszczące płachty wody po całym Denver. Spływała strumieniami ze spadzistych, czarnych dachów motelu, chichotała wesoło mknąc poziomymi odcinkami rynien, huczała lecąc w dół szerokimi, pionowymi rurami i wpadała z pluskiem w kratki ściekowe. Gdzie okiem sięgnąć, z drzew i krzewów kapały krople, a płaskie powierzchnie połyskiwały ciemno. Na motelowym dziedzińcu, w zagłębieniach trawnika, tworzyły się brudne kałuże. Gnane wiatrem krople deszczu zakłócały krystaliczny bezruch wody w basenie, tańczyły na kamiennych płytkach obrzeża i przyciskały do ziemi trawę, która rosła między nimi.

Podmuchy wiatru zagnały deszcz pod daszek ganku i na promenadę wyższej kondygnacji, pod sam pokój Doyle'a. W chwili gdy zatrzaskiwał drzwi, zamykając w środku Colina, wir zimnej wody przetoczył się po tarasie i owinał się wokół Doyle'a, chłoszcząc prawą stronę jego ciała. Niebieska koszula i jedna nogawka znoszonych dzinsów przylgnęły nieprzyjemnie do skóry.

Drżąc spojrzał w kierunku południowym, w stronę schodów prowadzących na dziedziniec. Wszędzie zalegały głębokie cienie. W żadnym pokoju nie paliło się światło; słabe nocne lampy na promenadzie były rozmieszczone co pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt stóp. Nocna mgiełka jeszcze bardziej zaciemniała obraz, wijąc się wokół słupków podtrzymujących daszki ganków i gęstniejąc we wnękach prowadzących do apartamentów. Ale Doyle był przekonany, że nikt nie skrada się z tamtej strony.

Dwa apartamenty dalej, trzydzieści stóp na północ, inne skrzydło motelu łączyło się z tym, w którym mieszkał Doyle, tworząc północno-wschodni narożnik dziedzińca. Ktokolwiek grzebał przy drzwiach prowadzących do ich pokoju, mógł znaleźć się tam w ciągu sekundy,

znikając błyskawicznie z pola widzenia... Alex wcisnął głowę w ramiona, by osłonić twarz, i wyjrzał ostrożnie za róg budynku.

Nie znalazł tam niczego oprócz szeregu czerwonych drzwi, nocnej mgły, ciemności i mokrego betonu. Niebieska żarówka paląca się przy skrzynce z przewodami elektrycznymi oznaczała kolejne schody, prowadzące na niższy poziom, a dokładnie na parking, otaczający kompleks budynków ze wszystkich stron.

Ostatni odcinek tarasu, na którym się znajdował, biegnący w kierunku północnym, był również opustoszały, podobnie jak reszta wschodnio-zachodniego skrzydła drugiej kondygnacji.

Podszedł z powrotem do kutej z żelaza balustrady i spojrzął w dół, w kierunku basenu i jego okolic. Ruszało się tam tylko to, co poddawało się sile wiatru i deszczu.

Nagle Alexa ogarnęło niesamowite uczucie, że jest sam nie tylko w tym konkretnym miejscu, ale że jest w ogóle jedyną żywą duszą w całym motelu. Miał wrażenie, że wszystkie pokoje świecą pustkami, łącznie z siedzibą właściciela, a całe to miejsce opuszczono w rezultacie - a może w oczekiwaniu - jakiegoś ogromnego kataklizmu. Nieznośna cisza, zakłócona jedynie odgłosem deszczu, i ponure betonowe korytarze zrodziły i stanowiły pożywkę dla tej dziwacznej fantazji, aż stała się niepokojąco rzeczywista i nieco denerwująca. Nie pozwól, by znów odezwał się w tobie ten przestraszony dzieciak, ostrzegł Doyle samego siebie. Jak na razie, idzie ci nieźle. Nie strać teraz zimnej krwi.

Po paru minutach obserwacji, w czasie których opierał się obiema dłońmi o metalową balustradę, Doyle nabrał przekonania, że karłowate sosenki i starannie przycięte krzewy rosnące na dziedzińcu nikogo nie kryją; widać było jedynie ich własne cienie.

Krzyżujące się promenady były ciche i puste.

We wszystkich oknach panowała ciemność. Pod pokrywą bębniącego deszczu i

złowieszczych krzyków burzowego wiatru trwała niczym nie zakłócona, grobowa cisza.

Przy balustradzie nie było żadnej osłony i Alex był teraz dokładnie przemoczony. Jego koszula i spodnie przemiękły. Woda przedostała się nawet do butów i sprawiła, że skarpetki stały się zimne i mokre. Na ramionach czuł gęsią skórę, a ciałem wstrząsały niepokonane dreszcze. Ciekło mu z nosa, a oczy łzawiły od ciągłego wpatrywania się w deszcz i mgłę.

Pomimo to Doyle czuł się lepiej. Choć nie znalazł człowieka, który ich prześladował, przynajmniej próbował stawić mu czoło. W końcu zdobył się na coś więcej niż unik. Mógł pozostać w pokoju, pomimo oskarżycielskiego wzroku Colina, mógł dotrzeć do końca nocy, nie podejmując ryzyka. Ale podjął je, mimo wszystko, i teraz czuł się w pewnym stopniu lepiej i był z siebie zadowolony.

Oczywiście nie mógł zrobić niczego więcej. Kimkolwiek był nieznajomy i cokolwiek, u diabła, zamierzał uczynić po sforsowaniu zamka, najprawdopodobniej stracił serce do gry jaką prowadził, gdy zorientował się, że nie śpią i są gotowi stawić mu czoło. Nie wróci tej nocy. Być może nie ujrzą go już więcej, tutaj czy gdziekolwiek indziej.

Gdy się odwrócił i ruszył w stronę swego pokoju, jego dobre samopoczucie nagle gdzieś uleciało.

W odległości dwustu stóp, w tym samym miejscu, które Doyle spenetrował wychodząc z pokoju, z zacienionej wnęki znajdującej się w korytarzu, który wydawał się bezpieczny i pusty, wysunął się jakiś człowiek i pobiegł w kierunku schodów w południowo-wschodnim narożniku tarasu, po czym zbiegł w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Dzięki mgłę, deszczowi i ciemności był prawie niewidoczny. Doyle postrzegał go jako bezkształtną postać, mroczny fantom... jednak głuchy odgłos jego kroków dobiegający od strony odkrytych schodów dowodził, że nie jest to zrodzona przez wyobraźnię zjawia. Doyle podszedł do balustrady i spojrzał w dół.

Jakiś duży mężczyzna w ciemnym ubraniu, pozbawiony przez noc i burzę innych szczegółów wyglądu, sadził długimi susami przez trawnik i wyłożone płytkami obrzeże basenu. Schronił się pod tarasem drugiej kondygnacji, służącym jako dach promenady na parterze.

Zanim Alex w pełni uświadomił sobie, co robi, ruszył w pościg za mężczyzną. Pobiegnął do szczytu schodów, szybko zszedł na dół i znalazł się na trawniku, w szalejącym deszczu i wietrze.

Tam, gdzie Doyle widział go po raz ostatni, nieznajomego już nie było. Zdawało się, że naprawdę rozplynał się we mgle.

Spojrzał na sosny i zarośla z nowej perspektywy i uświadomił sobie, że nieznajomy mógł porzucić zamiar ucieczki i czekać na niego gdzieś w ukryciu. Miękkie cienie wyglądały groźnie, były zbyt głębokie i niebezpieczne...

Korzystając z osłony żółtych i zielonych lamp, które otaczały basen, i unikając miejsc zacienionych, Doyle przeszedł bezpiecznie przez dziedziniec. Ledwie jednak wydostał się spod najgorszych uderzeń wiatru i deszczu, gdy znów usłyszał kroki. Tym razem dobiegły z tylnej części kompleksu, od strony północnej, po czym oddaliły się w kierunku drugiej kondygnacji tego skrzydła. Podążył tam, skąd dochodziło dziwnie głuche tup-tup-tup, ledwie słyszalne na tle odgłosów deszczu. Na schodach nie było żywej duszy, widział jedynie prostą kondygnację mokrych, brązowo-szarych stopni. Stał przez chwilę u ich podnóża, patrząc w górę i rozmyślając. Był w pełni świadom tego, że gdy znajdzie się na ich szczycie, będzie stanowił łatwy cel dla broni palnej, noża, czy nawet szybkiego ciosu, który zepchnie go z powrotem w dół.

A jednak ruszył w górę, odczuwając coś więcej niż radość i zdziwienie z powodu swej odwagi, dzięki której posunął się aż tak daleko. Tego wieczoru zaczął odkrywać w sobie

nowego Alexa Doyle'a. Istniał jeszcze jeden Doyle, który był w stanie przewyciężyć tchórzostwo, gdy chodziło o odpowiedzialność za tych, których kochał i gdy stawką było coś więcej niż własna duma.

Nie został zaatakowany, gdy pokonał ostatni stopień i wkroczył na północno-wschodni narożnik tarasu, górującego nad dziedzińcem. Nikt tam na niego nie czekał.

Powitały go ciemne okna, beton i rząd czerwonych drzwi.

I znów doświadczył tego dziwnego uczucia, że jest ostatnim żywym człowiekiem w motelu - a nawet ostatnim żywym człowiekiem na ziemi. Nie wiedział, czy źródłem tego fantastycznego przekonania jest megalomania czy paranoja, ale poczucie osamotnienia było całkowite.

Wówczas ponownie ujrzał nieznanego. Pozbawiony kształtów, zanurzony w cieniu, otoczony mgłą, stał przy najbardziej ku północy wysuniętej części tarasu, u szczytu schodów, prowadzących na parking za budynkiem motelu. Kolejna niebieska żarówka oznaczająca skrzynkę z przewodami nie mogła oświetlić tej zjawy. Mężczyzna zrobił pierwszy krok, zdawało się, że odwrócił głowę i spojrzał na Doyle'a, zrobił drugi krok, potem trzeci i zniknął ponownie.

To wygląda niemal tak, jakby on chciał, żebyś za nim szedł, pomyślał Alex.

Udał się w stronę północnej części tarasu i zszedł po obmywanych deszczem schodach.

Cztery rtęciowe lampy oświetlały teren parkingu na tyłach Rockies Motor Hotel, sprawiając, że niebo w górze wydawało się o wiele ciemniejsze niż gdzie indziej, ale również wydobywając z mroku rzędy samochodów. Meczące, rozmyte światło o purpurowej barwie połyskiwało niewyraźnie w spadających kroplach deszczu i w wodzie, która spływała po asfalcie. Tworzyło cienie o ostrych konturach. Gasiło kolory wszystkiego, czego tylko dotknęło, zmieniając lśniące niegdyś samochody w ich przygnębiające, zielono-brązowe imitacje.

Doyle, którego ubranie też było zabarwione na purpurowo, stał na chodniku u podnóża schodów i rozglądał się po parkingu.

Nieznajomego nie było nigdzie widać.

Mężczyzna, naturalnie, mógł się chować pomiędzy dwoma samochodami, przycupnięty wyczekująco... ale jeśli cały ten pościg miał się zmienić w zabawę w chowanego wśród dwustu czy trzystu samochodów, to oznaczałoby to, że zmarnowaliby całą noc, biegając wokół milczących maszyn i chowając się między nimi.

Przypuszczał, że nie ma sensu ciągnąć tego dłużej; cała ta wyprawa nie mogła przynieść jakichkolwiek korzyści. Nie miał szansy przyjrzeć się z bliska temu mężczyźnie czy wynajętej bagażówce. Nie będzie dysponował rysopisem tego człowieka ani numerem rejestracyjnym jego wozu, by zrobić z tego jakikolwiek użytek, czy też przekazać policji - gdyby już do tego doszło. Tym samym może równie dobrze wrócić do pokoju, zdjęć z siebie to mokre ubranie, wytrzeć się i...

Ale nie mógł odrzucić tego wyzwania ot, tak sobie. Jeśli nie był w pełnym tego słowa znaczeniu upojony swoją odwagą, to przynajmniej odczuwał niejaki podziw dla świeżo odkrytej śmiałości. Ten zupełnie nowy Alex Doyle, ten zaskakująco odpowiedzialny Doyle,

ten Doyle, który był w stanie walczyć ze swym odwiecznym strachem, a nawet go przezwyciężyć, fascynował go i sprawiał mu ogromną przyjemność. Chciał się przekonać, jak daleko zaprowadzi go ta uprzednio nieznana, nawet niespodziewana, ale z pewnością pożądana siła, w jakie głębie tunelu, którego wrota otworzył.

Ruszył na poszukiwanie nieznanego.

Pomieszczenie z automatami znajdujące się na tyłach motelu miało dwa wejścia bez drzwi. Przez oba wąskie łuki wpadało do środka zimne, białe światło pod postacią bliźniaczych półkoli, rozpraszając chorobliwie liliowy blask rzucony przez lampy rtęciowe zainstalowane pod sufitem.

Doyle podszedł do wejścia i zajrzał do środka.

Pomieszczenie było dobrze oświetlone i jak się okazało puste, jednak dzięki pękatom automatów znajdowało się w nim sporo zakamarków, mnóstwo miejsc, w których można było się schować.

Przestąpił podwyższony próg.

Pokój miał dwadzieścia stóp na dziesięć. Stało w nim dwanaście maszyn, ustawionych wzdłuż dłuższych ścian, po sześć przy każdej, niczym dwa zespoły futurystycznych bokserów wagi ciężkiej, czekających na gong i rozpoczęcie pojedynku: trzy szumiące automaty z napojami gazowanymi o sześciu smakach, w butelkach albo puszkach; dwa przysadziste automaty z papierosami; jeden z krakersami i herbatnikami, pełen przestarzałych i częściowo przestarzałych specjałów; dwa automaty ze słodyczami, wyglądające jak urządzenia z XXI wieku; ekspres z kawą i gorącą czekoladą, na którego lustrzanej płycie czołowej widniał wizerunek stylizowanych filiżanek z parującym, brązowym napojem, a także dumny napis Sugar Cream Marshmallow; automat z orzeszkami, chipsami, precelkami i popkornem serowym, i wreszcie maszyna z lodem, wydająca głośny, bezustanny grzechot, wyrzucająca z

siebie sześcianiki lodu prosto do błyszczącego metalowego pojemnika. Szedł powoli wzdłuż pomieszczenia, między rzędami pomrukujących maszyn, zaglądając w nisze między automatami i spodziewając się w każdej chwili nagłego ataku. Jego napięcie i strach były jakościowo różne od tego, czego doświadczał w przeszłości; były niemal dobroczynne, nieskażone, oczyszczające. Czuł się w znacznej mierze jak mały chłopiec, który pełen sprzecznych uczuć przemyka w noc zaduszną przez najbardziej posępny, opuszczony cmentarz.

Lecz w tym pomieszczeniu nieznanego nie było.

Doyle znów wyszedł na deszcz i wiatr, nie zwracając uwagi na pogodę, zajęty zmianą jaka dokonywała się w nim samym.

Kroczył wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów w nadziei, że znajdzie nieznanego, klęczącego gdzieś między dwoma wozami. Lecz przeszedł od końca jednego północno-południowego skrzydła do końca drugiego, nie dostrzegając żadnego ruchu czy podejrzanych cieni.

Miał już dać sobie spokój, gdy dostrzegł słabe światło, sączące się zza uchylonych drzwi, prowadzących do pomieszczenia obsługi. Przechodził tamtędy niecałe pięć minut wcześniej, zmierzając w stronę automatów, i wówczas drzwi nie były otwarte. A dozorca miał pojawić się w pracy dopiero za jakąś - godzinę...

Alex stanął plecami do mokrej ściany, oparł głowę w miejscu, gdzie widniał starannie odmalowany przy pomocy szablonu, biało-czarny napis (OBSŁUGA I DOSTAWY - WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU), i zaczął nasłuchiwać odgłosów dochodzących z pomieszczenia.

Minuta upłynęła w ciszy.

Ostrożnie wysunął rękę i pchnął ogromne metalowe drzwi. Otworzyły się bezgłośnie i

z wnętrza dobył się strumień szarego światła.

Doyle zajrzał do środka. Dokładnie naprzeciwko znajdowały się drugie drzwi, również metalowe i ogromne, za którymi widać było padający deszcz. Otwierały się na małą część parkingu. Nieźle. Nieznajomy był tutaj i już sobie poszedł.

Doyle wszedł do pomieszczenia i rozejrzał się. Było nieco większe niż to z automatami. W tylnej części, pod ścianą, stały puszkami ze środkami czystości: mydłami, płynami czyszczącymi, woskiem, pastą do polerowania mebli. Były tam również elektryczne woskownice i froterki do podłóg, cały las mioteł, zmywaków na długich kijach i gąbek do mycia okien. Na środku stały dwa małe traktorki do koszenia trawy oraz całe mnóstwo narzędzi ogrodniczych, a także ogromny zwój przezroczystego, plastikowego węża w zielonym kolorze. Z przodu, bliżej drzwi, znajdowały się stoły warsztatowe, narzędzia stolarskie, piła mechaniczna, a nawet mała tokarka do drewna. Ścianę po prawej ręce Doyle'a zakrywała tablica z kołkami; namalowano na niej sylwetki narzędzi, które wisiały na swoich miejscach. Brakowało jedynie siekiery ogrodniczej, ale wszystko inne było czyste i znajdowało się tam, gdzie powinno.

Pojemniki ze środkami czystości stały w zbyt dużych odstępach i były zbyt małe, by stanowić skuteczną osłonę dla człowieka, zwłaszcza tak wysokiego i barczystego jak ten, którego Alex widział wcześniej na dziedzińcu.

Doyle wszedł głębiej do pomieszczenia i był już w połowie drogi do drzwi, oddalonych jedynie o piętnaście stóp, gdy nagle pojawił się, co oznacza brak siekiery na tablicy. Niemal zastygł w miejscu. Następnie, wiedziony jakimś szóstym zmysłem, przykucnął i obrócił się tak szybko i zwinnie, jak nigdy w życiu.

Tuż za jego plecami majaczyła sylwetka koszmarnie ogromnego, jasnowłosego mężczyzny o szalonych oczach, który trzymał w uniesionych dłoniach siekiere ogrodniczą.

W ciągu swego trzydziestoletniego życia Alex Doyle nie bił się ani razu, nie uczestniczył w walce na pięści, w starciu na macie, czy nawet w dziecięcej przepychance. Nigdy nie zastosował wobec nikogo fizycznej kary, ani też sam takiej nie doświadczył. Czy to z tchórzostwa, czy z czysto pacyfistycznych przekonań, czy też z obu tych powodów naraz, zawsze starał się unikać kontrowersyjnych tematów w przypadkowych dyskusjach, sporów i opowiadania się po którejś ze stron, a także nawiązywania kontaktów, które mogłyby prowadzić do użycia przemocy. Był cywilizowanym człowiekiem. Jego nieliczni przyjaciele i znajomi zawsze byli tak łagodni jak on, a nawet łagodniejsi. Był wyjątkowo nieprzygotowany do starcia z oszalałym maniakiem, wymachującym dobrze naostrzoną siekierą. Jednak tam, gdzie zawodziło doświadczenie, pomagał instynkt. Działając niemal jak człowiek wytrenowany, Alex upadł do tyłu, oddalając się od połyskującego ostrza i potoczył się po splamionej olejem, cementowej podłodze, aż uderzył o kosiarki do trawników. Fizyczno-emocjonalna reakcja na niebezpieczeństwo znacznie wyprzedzała myślową analizę tej sytuacji. Słyszał świst siekiery przecinającej powietrze, parę cali od jego głowy, i wiedział, jaki byłby skutek uderzenia, gdyby narzędzie nie chybiło celu... wciąż nie mógł pojąć, jak ktokolwiek może nastawać na jego życie, zwłaszcza w tak niespodziewany, krwawy sposób. Był przecież Alexem Doyle'em. Człowiekiem, który nie miał wrogów. Człowiekiem, który był nastawiony pokojowo i nie stosował żadnej przemocy - człowiekiem, który często poświęcał własną dumę, by unikać właśnie takich brutalnych sytuacji. Nieznajomy poruszał się szybko. Choć Alex był oszołomiony i sparaliżowany nagłośnią i straszliwą zawziętością ataku, wciąż widział zbliżającego się mężczyznę. Nieznajomy uniósł siekierkę.

- Nie! - krzyknął Doyle.

Z trudem rozpoznał swój własny głos. Nie stracił jeszcze całkowicie tej odkrytej w sobie odwagi. Była ona jednak pohamowana przez ozdrowieńczy strach, który nadał jej właściwe proporcje.

Pięciocalowa, naostrzona krawędź wzniosła się, zakreśliła w powietrzu łuk jednym, płynnym ruchem, zmieniając się w tych silnych dłoniach w niemal precyzyjny instrument. Na ostrzu tańczyły jaskrawe pasemka światła. Siekierka znieruchomiała, uniesiona, zimna i nierzeczywista - po czym opadła.

Alex przeturlał się po podłodze.

Ostrze uderzyło w puste miejsce. Siekierka ze świstem przecięła wilgotne powietrze i wbiła się z głuchym stękiem w twardą gumową oponę jednej z kosiarek, wrzynając się głęboko w bieżnik.

Doyle zerwał się na równe nogi i kierowany instynktownym pragnieniem przeżycia przesadził jeden ze stołów warsztatowych, pokonując odległość liczącą cztery stopy z łatwością, o jaką się nigdy nie posadzał. Potknął się jednak i niemal upadł na twarz, lądując po drugiej stronie.

Zza jego pleców dobiegło przekleństwo szaleńca: dziwnie niezrozumiały, głuchy pomruk gniewu i niezadowolenia.

Doyle odwrócił się, przekonany, że siekierka rozpląta jego czaszkę albo drewniany blat stołu. Uświadamiał sobie przynajmniej grozę sytuacji. Wiedział, że może stracić tu życie. Stojący w drugim końcu pomieszczenia nieznajomy przygarbił szerokie ramiona, wkładając w nie całą swoją siłę, i wyszarpnął ostrze siekiery z twardej opony, w której tkwiło. Odwrócił się z nieprzyjemnym piskiem mokrych butów na cementowej podłodze, ściskając kurczowo w obu dłoniach siekierkę, jak gdyby była jakimś świętym i wszechpotężnym

talizmanem, który odpędzał złe moce i chronił jego posiadacza przed czynami złośliwych czarowników.

Było w tym człowieku coś z szaleńczej dzikości, zwłaszcza w jego ogromnych, podkrążonych oczach.

Teraz te same oczy odszukały Doyle'a. Wydawało się to niewiarygodne, ale nieznajomy pokiwał głową i uśmiechnął się.

Alex nie odwzajemnił uśmiechu.

Nie mógł tego zrobić. Odczuwał niemal fizyczny ból, mając świadomość zbliżającej się śmierci i żałując, że w ogóle wychodził ze swego pokoju.

Był wciąż zbyt daleko od drzwi, jednych i drugich, by próbować do nich dotrzeć.

Zanim zdołałby pokonać otwartą przestrzeń i osiągnąć progu, z pewnością poczułby ostrze siekiery zagłębiającej się między łopatkami i...

Ociekając deszczem, nieznajomy ruszył w stronę Doyle'a, cicho i szybko jak na tak dużego mężczyznę. Hałas z jakim poruszał się na zewnątrz, na schodach i tarasie, nie mógł być przypadkowy. Wabił Alexa, biegnąc po tych mrocznych korytarzach, by przyciągnąć go do miejsca, które będzie pułapką.

Miejsca właśnie takiego, jak to.

Teraz dzielił ich tylko drewniany stół.

- Kim jesteś? - spytał Doyle.

Nieznajomy nie uśmiechał się już, gdy zatrzymał się po drugiej stronie sięgającego pasa warsztatu. Właściwie krzywił się, nawet wzdragał, jak gdyby ktoś go brutalnie szczypał, czy wbijał w niego szpilki. Co to wszystko miało znaczyć, o co mu chodziło? O coś więcej niż morderstwo? Coś go najwyraźniej dręczyło; to było oczywiste. Jego zaciśnięte wargi tworzyły prostą, posępną linię i zdawało się, że rozpaczliwie próbuje ukryć reakcję na ów

wewnętrzny ból.

- Czego od nas chcesz? - spytał Doyle.

Mężczyzna tylko patrzył na niego ze złością.

- Nigdy cię nie skrzywdziliśmy.

Brak odpowiedzi.

- Przecież nawet nas nie znasz, co?

Choć Doyle mówił słabym głosem, chwilami nie zamierzonym szeptem i choć przerażenie, jakie zdradzał, mogło skłonić szaleńca do bardziej zdecydowanego działania, Alex musiał zadać te pytania. Przez całe życie umiał studzić gniew innych ludzi przy pomocy uspokajających słów i teraz chodziło o to, żeby otrzymać od tego człowieka jakąś odpowiedź - albo przynajmniej wywołać w nim poczucie winy.

- Co zyskasz, raniąc mnie?

Szaleniec machnął siekierką, tym razem poziomo, od prawej do lewej, próbując pozbawić tors Doyle'a nóg.

Niewiele brakowało. Jego ramiona były dostatecznie długie i silne, by zamiar się powiódł, nawet biorąc pod uwagę rozdzielający ich stół. Ale Doyle w ostatniej chwili zauważył zbliżające się ostrze i zdołał umknąć. Odskoczył do tyłu, oddalając się od morderczego łuku, jaki zatoczyła siekierka.

W tym momencie potknął się o dużą metalową skrzynkę na narzędzia, której przedtem nie zauważył. Zamachał w powietrzu rękami, próbując bezskutecznie utrzymać się na nogach, ale całkowicie stracił równowagę. Pomieszczenie zawirowało wokół niego. Wówczas zrozumiał, że prawdopodobnie nie ma szans, by wydostać się z tego miejsca żywym. Nie miał już powrócić do pokoju trzysta osiemnaście, gdzie czekał na niego Colin, nie miał już nigdy dojechać do San Francisco ani zobaczyć nowych mebli w nowym domu, ani zacząć nowej

pracy w agencji, ani kochać się z Courtney. Nigdy. Upadając zobaczył, jak wysoki, jasnowłosa mężczyzna zaczyna obchodzić stół.

Nie pozostał w pozycji leżącej ani chwili, nawet sekundy. Natychmiast po upadku zerwał się na równe nogi i zatoczył do tyłu, starając się trzymać z dala od szaleńca przez jeszcze jedną cenną chwilę.

Jednak po zrobieniu trzech małych kroków natrafił plecami na ścianę z tablicą, na której wisiały narzędzia.

W chwili, gdy Doyle uświadomił sobie, że ma odciętą drogę ucieczki, nieznajomy stanął przed nim i machnął siekierą od prawej do lewej.

Doyle przykucnął.

Ostrze zarysowało tablicę nad jego głową.

Widząc, że siekiera minęła go ze świstem, Doyle uniósł się i chwycił młotek, który wisiał na kołku. Miał już go w rękę, gdy otrzymał cios z boku i upadł.

Młotek potoczył się ze stukotem po podłodze.

Ale utrata młotka, myślał Doyle, była najmniejszym powodem do rozpacz.

Dokuczliwy, pulsujący ból w boku i klatce piersiowej sprawił, że Doyle czuł się niemal bezradny. Czy miał rozcięte ciało? Rozerwane? Ten ból... ból był okropny, najgorszy z tych, jakich kiedykolwiek doświadczył. Błagam, Boże, nie... błagam, błagam, nie to! Nie śmierć. I nie ta krew i bezradne leżenie na podłodze, podczas gdy siekiera unosi się i spada odcinając kawałek po kawałku. Nie śmierć, do cholery! Wszystko inne. To co widział po drugiej stronie to jedynie nicość, niezmacona czerń; wizja ta była tak skończona, wyrazista i przerażająca, że nawet nie dostrzegał niewłaściwości i bezsensu modlitwy skierowanej do Boga, w którego istnienie nie wierzył. Po prostu myślał: Boże, Boże, proszę... Nie to. Wszystko, tylko nie to. Proszę...

Myśli te przemknęły przez jego głowę w ułamku sekundy, zanim zorientował się, że ostrze siekiery nie zahaczyło go. Został natomiast trafiony podczas pierwszego ciosu, gdy siekiera zatoczyła powrotny łuk. Krawędź obucha, o szerokości trzech cali, dosięgła jego prawego boku poniżej żeber. Uderzenie było na tyle mocne, by pozbawić go tchu i pozostawić pręgę, a być może siniec. Ale to było wszystko. Nie było rozerwanego ciała, nie było krwi. Ale gdzie podział się szaleniec - i siekiera?

Doyle podniósł wzrok, mrugając przez łzy. Nieznajomy upuścił swą broń. Ścisnął obiema dłońmi skronie, krzywiąc się z wściekłością. Na czoło wystąpił mu pot i spływał po jego zaczerwienionej twarzy.

Łapiąc ustami powietrze, Alex podniósł się z wysiłkiem i oparł o ścianę, zbyt słaby i obolały, by zrobić choć jeden krok.

Nieznajomy spojrzał na niego. Schylił się, żeby podnieść siekierę, ale zatrzymał się, zanim jej dotknął. Wydał z siebie zduszony krzyk, odwrócił się, opuścił niepewnym krokiem pomieszczenie i zniknął w ciemności i deszczu.

Gdy Alex przez dłuższą chwilę starał się złapać oddech i przezwyciężyć ból przeszywający jego bok, był pewien, że odroczenie wyroku jest tylko chwilowe. Nie było żadnego sensu w tym, że nieznajomy odszedł, będąc tak blisko osiągnięcia swego celu. Ten człowiek rozpaczliwie pragnął zabić Doyle'a. W jego zachowaniu nie było cienia żartu czy zabawy. Za każdym razem, gdy machał siekierką, miał szczerzy zamiar rozplatać ciało i przelać krew. Nie ulegało wątpliwości, że był obłąkany. A obłąkani są nieobliczalni. Ale było również prawdą, że szaleniec nie rezygnował łatwo czy szybko ze swych okrutnych pragnień. Jednak mężczyzna nie wracał.

Ból przeszywający bok Doyle'a stopniowo ustępował, tak że Alex mógł się w końcu wyprostować i iść. Jego oddech nie był już tak nierówny, chociaż nie mógł wciągnąć

powietrza zbyt głęboko, nie wywołując bólu. Serce biło spokojniej i wolniej.

Poza tym nikt go nie atakował.

Podszedł powoli do drzwi, przyciskając prawą rękę do boku, oparł się na chwilę o framugę, po czym wyszedł na zewnątrz. Wiatr i deszcz uderzyły go z większą siłą niż przedtem, przyprawiając o dreszcz.

Parking był pusty. Zielono-brązowe samochody, nieruchome i jednakowe, połyskiwały kroplami wody.

Wsluchiwał się w noc.

Słyszał jedynie ciągle bębnienie deszczu i zawodzenie wiatru, krążącego wokół budynku. Wydawało się niemal, że wydarzenia w pomieszczeniu z narzędziami nie były niczym innym, jak złym snem. Gdyby nie ten ból w boku, który świadczył o realności owych wydarzeń, Doyle mógłby powrócić do pomieszczenia, żeby poszukać siekiery i innych dowodów świadczących o tym, co się wydarzyło.

Skierował się w stronę dziedzińca, leżącego pośrodku kompleksu hotelowego, raczej wdeptując z pluskiem w kałuże, niż omijając je, uczulony na każdy głęboki cień, zatrzymując się z tuzin razy, żeby nasłuchiwać urojonych kroków tuż za plecami.

Ale słyszał tylko odgłos własnych stóp.

Gdy dotarł do szczytu schodów, prowadzących na drugą kondygnację, w północno-wschodnim narożniku tarasu, oparł się o metalową balustradę, by złapać oddech i zapanować nad pulsowaniem tępego bólu w boku i klatce piersiowej.

Było mu zimno. Zimno do szpiku kości i wstrząsał nim dreszcz. Krople wody uderzały go niczym odłamki lodu i spływały po twarzy.

Wciągając w płuca rześkie powietrze, patrzył na dziesiątki identycznych drzwi oraz okien, które były zamknięte i ciemne... i zastanawiał się, dlaczego nie wzywał pomocy, gdy

nieznajomy po raz pierwszy zaatakował go siekierą. Nawet biorąc pod uwagę to, że znajdowali się na tyłach budynku, i że grzmot deszczu i wiatr tłumiły inne odgłosy, jego krzyk dotarłby do tych pokoi i obudziłby tych ludzi. Gdyby krzyknął tak głośno, jak tylko możliwe, ktoś z pewnością musiałby wyjrzeć, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ktoś wezwałby policję. Ale Doyle był tak przerażony, że myśl o wzywaniu pomocy nie przyszła mu do głowy. Bitwa, którą stoczył, była dziwnie bezgłówna, koszmar milczącego ataku i obrony, który uszedł uwagi hotelowych gości.

I wówczas, przypominając sobie przeróżne historie opisywane w gazetach, przykłady obojętności przeciętnego człowieka na gwałt czy morderstwo popełnione na jego oczach, Doyle zastanawiał się, czy ktokolwiek odpowiedziałby na jego wezwanie? Czy też wszyscy odwróciliby się i przykryli głowy poduszkami? Czy ci ludzie w tych identycznych pokojach zareagowaliby bezuczuciowo i podobnie: z niechęcią a może obojętnością?

Nie były to miłe rozważania.

Wstrząsany bezlitosnymi dreszczami, próbował nie myśleć o tym wszystkim, odsuwając się od poręczy i idąc wzdłuż tarasu w stronę swojego pokoju.

Gdy Doyle skończył suszyć włosy, Colin złożył biały ręcznik i zaniósł go do łazienki, gdzie rozwiesił na suszarce razem z przemoczonym ubraniem. Starając się zachować spokój i godność, choć miał na sobie tylko szorty i okulary i choć był niewątpliwie przestraszony, chłopiec wrócił do pokoju i usiadł na środku swojego łóżka. Wpatrywał się w prawy, posiniaczony bok Doyle'a.

Alex ostrożnie badał koniuszkami palców obolałe ciało, aż stwierdził z satysfakcją, że nic nie jest złamane ani uszkodzone na tyle poważnie, by wymagało to interwencji lekarza.

- Boli? - spytał Colin.

- Jak cholera.

- Może powinniśmy skombinować trochę lodu i przyłożyć na to miejsce?

- To tylko siniak. Niewiele można na to poradzić.

- To ty myślisz, że to siniak.

- Najgorszy ból już minął. Ciało będzie nadwerężone i obolałe przez kilka dni, ale nie da się tego uniknąć.

- Co teraz zrobimy?

Doyle oczywiście opowiedział chłopcu ze szczegółami o siekierze i wysokim, chudym mężczyźnie o szalonych oczach. Wiedział już, że Colin wyczułby kłamstwo i tak długo by drażył, aż dokopałby się prawdy. To nie było dziecko, które można było traktować jak dziecko.

Doyle przestał masować swoje sine ciało i zastanowił się nad odpowiedzią.

- No cóż... z pewnością musimy zmienić planowaną trasę stąd do Salt Lake City.

Zamiast jechać trasą czterdzieści, pojedziemy albo międzystanówką osiemdziesiąt, albo trasą dwadzieścia cztery i...

- Przedtem też zmieniliśmy plany - stwierdził Colin, mrugając jak sowa, za grubymi, okrągłymi szklami okularów. - I nic to nie dało. Znów nas znalazł.

- Znalazł nas tylko dlatego, że wróciliśmy na siedemdziesiątkę, drogę, którą on też jechał - powiedział Doyle. - Tym razem w ogóle nie wrócimy na główne drogi. Zrobimy większy objazd. Znajdziemy jakąś nową trasę do Reno z Salt Lake City, a potem jakąś boczną trasę z Reno do San Francisco.

Colin zastanawiał się nad tym przez minutę.

- Może powinniśmy także zatrzymywać się w innych motelach. Wybierać je na chybił trafił.

- Mamy rezerwacje i wpłacone zaliczki - powiedział Doyle.

- Właśnie o to chodzi - chłopiec był śmiertelnie poważny.

- To wygląda na paranoję - odrzekł Doyle zaskoczony.

- Tak sądzę.

Doyle oparł się o krawędź łóżka i wyprostował jeszcze bardziej.

- Myślisz, że ten osobnik zna miejsca naszych noclegów?

- Odnajduje nas każdego ranka - nie ustępował chłopiec.

- Ale skąd zna nasze plany?

Colin wzruszył ramionami.

- To musiał być ktoś, kogo znamy - powiedział Doyle, który nie wierzył i bał się uwierzyć w tę teorię.

- Ja go nie znam. A ty?

Colin ponownie wzruszył ramionami.

- Już ci go opisywałem - powiedział Doyle. - Duży mężczyzna. Jasne, prawie białe

włosy, obcięte na krótko. Niebieskie oczy. Przystojny. Trochę wychudzony... Przypomina ci

kogoś?

- Nie potrafię nic powiedzieć na podstawie takiego opisu - odparł Colin.

- Właśnie. Takich facetów są miliony. Więc będziemy działać z założeniem, że jest to ktoś absolutnie obcy, przeciętny amerykański szaleniec, z rodzaju tych, o których czyta się codziennie w gazetach.

- Czekał na nas już w Filadelfii.

- Nie czekał. Po prostu przypadkiem...

- Wyruszył razem z nami - powiedział Colin. - Towarzyszy nam od samego początku.

Doyle nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że ten człowiek mógł ich znać, że mógł żywić do nich jakiś urojony albo rzeczywisty uraz. Gdyby tak było, cała ta historia nie skończyłaby się wraz z podróżą. Jeśli ten maniak znał ich, to mógł ich ponownie dopaść w San Francisco. Mógł zaatakować w każdym momencie.

- To nieznajomy - upierał się Alex. - To wariat. Widziałem go w działaniu. Widziałem jego oczy. To nie jest typ człowieka, który potrafiłby zaplanować pościg i ruszyć przez cały kraj.

Colin milczał.

- I dlaczego miałby nas ścigać? Jeśli chce nas zabić, to dlaczego nie zrobił tego w Filadelfii? Albo nie czeka, aż dotrzemy do wybrzeża? Po co ten cały pościg?

- Nie wiem - przyznał chłopiec.

- Słuchaj, nie możesz nie dostrzegać w tym wszystkim pewnej przypadkowości - powiedział Doyle. - Jedyne przez zwykły zbieg okoliczności rozpoczął swoją podróż o tej samej godzinie, co my i z tej samej ulicy. I jest szalony. A taki właśnie zbieg okoliczności mógł szaleńca doprowadzić do obsesji. Dostrzegł w nim zbyt dużo i na jego podstawie stworzył sobie jakąś paranoidalną iluzję. A tym samym wszystko, co się od tego czasu

wydarzyło, ma swoje logiczne wytłumaczenie.

Colin objął się ramionami i kiwał na łóżku.

- Myślę, że masz rację.

- Ale wciąż nie jesteś przekonany.

- Nie.

Doyle westchnął.

- W porządku. Spiszemy na straty wpłacone zaliczki. Przez następne wieczory

będziemy wybierać przypadkowe motele. Jeśli będą jakieś wolne miejsca. - Uśmiechnął się, nieco rozluźniony, choć nie mógł uwierzyć w słabą hipotezę Colina. - Czujesz się teraz lepiej?

- Poczuję się naprawdę dobrze dopiero w San Francisco, w domu - powiedział Colin.

- Ja również - Doyle zmienił pozycję, aż wreszcie położył się płasko na plecach. Ruch sprawił, że siniak znów zaczął pulsować bólem. - Zgasimy światło, żeby przyłożyć głowę do poduszki?

- Możesz spać po tym wszystkim? - spytał Colin.

- Prawdopodobnie nie. Ale spróbuję. Na pewno nie chcę opuszczać motelu w tej chwili, nie po ciemku. I jeśli zamierzamy poruszać się bocznymi trasami i dodać kilka godzin ekstra do planowanego czasu podróży, to muszę wykorzystać tę resztę nocy, jaka pozostała.

Colin zgasił światło, ale nie wśliznął się pod kołdrę.

- Posiedzę sobie trochę - powiedział. - Nie mogę teraz spać.

- Spróbuj.

- Spróbuję. Za chwilę.

Doyle, wyczerpany, zasnął, lecz nie był to spokojny sen. Śnił o połyskujących

ostrzach siekier, kroplach krwi i maniakałnym śmiechu i budził się co chwila, oblany zimnym

potem. Gdy był przytomny, myślał o nieznanym i zastanawiał się, kto to może być. I myślał również o swej odwadze. Uświadomił sobie, że to miłość do Courtney i Colina była czynnikiem, który wyzwolił w nim tę siłę. Gdy nie miał o kogo się martwić, z wyjątkiem siebie samego, zawsze mógł uciec, ale teraz... cóż, troje ludzi nie mogło uciec tak łatwo i szybko jak pojedyncza osoba. Dlatego był zmuszony sięgnąć do zasobów, o których istnieniu nie miał pojęcia. Teraz, wiedząc na co go stać, był w zgodzie z samym sobą, bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Zadowolony, usnął. Znow śnił, po czym budził się wstrząsany dreszczami i tłumił je, mając świadomość, że potrafi zwalczyć ich przyczynę.

Colin siedział przez dwie długie godziny na łóżku, otulony ciemnością, nasłuchując oddechu Doyle'a. Mężczyzna budził się od czasu do czasu z jakiegoś koszmaru, przewracał się z boku na bok i mocował z pościelą, aż znow zapadał w sen. Przynajmniej udawało mu się zdrzemnąć. Spokój, jaki w tych okolicznościach okazywał Doyle, robił na Colinie niejakie wrażenie.

Naturalnie, zawsze podziwiał Alexa Doyle'a. Bardziej niż dawał to po sobie poznać. Czasem pragnął go chwycić, objąć i trwać przy nim wiecznie. Przez cały okres narzeczeństwa bał się, że Courtney straci Doyle'a. Wiedział, jak silnie są ze sobą związani i domyślał się, jak bardzo intensywny musi być ich fizyczny związek, był jednak przekonany, że Doyle ich pozostawi. Teraz, gdy Alex już do nich należał, Colin chciał go obejmować, być w jego pobliżu i uczyć się od niego. Ale nie był zdolny do tej czułości, ponieważ wydawała się dziecinny wyrazem uczuć. Zbyt ciężko i długo pracował na swoją dorosłość, by teraz ją utracić, bez względu na to, jak bardzo kochał, lubił czy podziwiał Alexa Doyle'a. Dlatego musiał uzewnętrzniać swoje uczucia w sposób nie rzucający się w oczy, poprzez setki drobnych gestów, które były równie wymowne jak objęcie ramionami, choć nie tak jednoznaczne.

Wstał z łóżka, gdy pierwsze promienie poranka przeniknęły do pokoju między krawędziami ciężkich zasłon i poszedł do łazienki wziąć prysznic. Wiedząc, że Alex jest tuż obok, czując, jak ciepła woda spływa na niego strumieniami i widząc, jak żółte mydło pieni się przyjemnie na jego chudym ciele, Colin coraz mniej przejmował się nieznajomym w furgonetce chevroleta. Przy odrobinie szczęścia wszystko będzie dobrze. Cała historia musi zakończyć się szczęśliwie, ponieważ obecność Alexa Doyle'a gwarantowała, że nic złego nie stanie się ani jemu, ani Courtney.

Zanim George Leland dotarł do bagażówki zaparkowanej obok wejścia do hotelu, zdążył zapomnieć o Doyle'u i chłopcu. Próbując otworzyć drzwi, upuścił kluczyki. Grzebał ręką w niezbyt głębokiej kałuży, aż wreszcie je znalazł. Otworzył drzwi kabiny i wdrapał się do środka, nie mogąc przypomnieć sobie gonitwy po hotelowych korytarzach, czy szaleńczego tańca z siekierą w składzie z narzędziami, gdy dzielił go tylko krok od popełnienia zbrodni. Był zbyt przygnębiony cierpieniem, by przejmować się tą nagłą amnezją.

Był to najgorszy ból głowy, jakiego doświadczył. Skupiał się w lewym oku i wokół niego, ale promieniował również na całe czoło i docierał aż do ciemienia. Napełniał jego oczy łzami. Leland słyszał nawet zgrzyt swoich zębów trących o siebie jak żarna, ale nie mógł powstrzymać tego silnego, bezwiednego odruchu przeżuwania; było tak, jak gdyby był opętany, a ten, który miał nad nim władzę, wierzył, że ból można zmiażdżyć, pociąć na maleńkie kawałeczki, połknąć i strawić.

Nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych. Zazwyczaj, przynajmniej godzinę przed pierwszą falą bólu, kręciło mu się w głowie i czuł mdłości, i widział spiralę różnokolorowego światła wirującą na siatkówce oka. Ale nie tej nocy. W jednej chwili czuł się świetnie, był nawet radośnie podniecony, gdy nagle spadło na niego uderzenie bólu, jak cios młotem.

Początkowo był to nieprzyjemny, ale względnie lekki ból - czyż nie? Lekki ból? Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie dokładnie się znajdował, gdy poczuł pierwsze jego uderzenie, ale był pewien, że z początku ból był łagodny. Z pewnością do zniesienia. Jednak nasilał się tak szybko, że Leland rozpaczliwie zapragnął dotrzeć do swego motelu, zanim całkowicie straciłby przytomność.

Wyjechał z parkingu, odbił się od czterocalowego krawężnika i wydostał na autostradę, słysząc jęk resorów. Tej nocy nie czuł się już częścią swego pojazdu. Nie był jego przedłużeniem. Stracił swą zwykłą więź z maszynami. Był intruzem w kabinie tego wehikułu, a kierownica w jego potężnych dłoniach przypominała nieznaną artefakt, jakieś nieludzkie urządzenie.

Mrużył oczy patrząc na mokrą nawierzchnię drogi, próbując odegnać deszcz i widmowe pnącza mgły.

Z naprzeciwka nadjechał niski, sportowy samochód, po czym przemknął gwałtownie rozbryzgując wodę. Jego cztery reflektory były oślepiające; ich światło wbiło się w oczy Lelanda jak cztery noże i wycięło na jego czole bolesną ranę.

Odruchowo szarpnął kierownicę w prawo by uciec od blasku, który tak go ugodził.

Furgonetka zjechała z chrzęstem na pobocze, zanurkowała i zapadła się w koleinie. Meble w części bagażowej przesuwwały się z hałasem. Nagle, tuż przed maską, wynurzył się z ciemności niewysoki, brązowy mur z cegieł, niewzruszony i przerażający, i Leland krzyknął, skręcając gwałtownie w lewo. Prawy błotnik zahaczył o cegły. Po chwili chevrolet wskoczył z powrotem na jezdnię, ślizgając się na mokrej nawierzchni przez długi, niebezpieczny moment, zanim wreszcie, opornie, poddał się władzy Lelanda.

Dotarł do motelu tylko dlatego, że nie napotkał żadnych pojazdów. Gdyby mijał go choć jeden samochód, rozbiłby chevroleta i zabił się.

Już przy drzwiach swego pokoju, czując na plecach chłoszczący deszcz, miał kłopoty z wsadzeniem klucza do dziurki i klął tak głośno, że niemal obudził innych gości.

Gdy znalazł się w środku i zamknął za sobą drzwi, ból nasilił się raptownie, sprawiając, że przyklęknął na poplamionym dywanie. Był pewien, że umiera. Ale ten nowy ból minął i pozostała tylko agonia, która sama w sobie była cierpieniem nie do zniesienia.

Podszedł do łóżka i już miał się położyć, gdy uświadomił sobie, że najpierw musi zdjąć ubranie. Było dokładnie przemoczone. Gdyby spędził w nim resztę nocy, rano byłby chory... Powoli, wykonując przesadnie ostrożne ruchy, rozebrał się i wytarł pikowaną narzutą, ale wciąż był zziębnięty do szpiku kości. Drżąc, położył się do łóżka i podciągnął kołdrę pod samą brodę. Poddał się całkowicie bezlitosnemu bólowi, próbując płynąć wraz z nim.

Ból trwał niemal dwa razy dłużej niż zwykle. I gdy wreszcie ustąpił późnym świtem, koszmary, które zawsze wywoływał, też były gorsze niż kiedykolwiek. Jediną przyjemnością w tej paradzie potworności była Courtney. Pojawiała się bezustannie. Naga i piękna. Jej pełne, okrągłe piersi i cudownie kształtne nogi były prawdziwym ukojeniem po tych wszystkich wizjach... a jednak, za każdym razem, ten nierzeczywisty, istniejący tylko w koszmarze sennym Leland zabijał ją urojonym nożem. I za każdym razem, bez wyjątku, morderstwo to sprawiało dziwną satysfakcję.

CZWARTEK

Trasa międzystanowa dwadzieścia pięć biegła na północ od Denver i łączyła się z trasą osiemdziesiąt tuż za granicą stanu Wyoming. Była to droga o dobrej nawierzchni, płatna czteropasmówka, którą dojechaliby prosto do San Francisco, nie trafiając na choćby jedno kolidujące skrzyżowanie.

Ale nie wybrali tej drogi, ponieważ wydawała się zbyt oczywista jako alternatywa dla wcześniej planowanej trasy. Jeśli szalencie w furgonetce chevroleta naprawdę miał obsesję na ich punkcie i pragnął ich zabić, to mógł zdobyć się na wysiłek myślowy i wyprzedzić ich o jeden krok. I jeśli zorientował się, że zamierzają porzucić planowaną trasę, wystarczył mu jeden rzut oka na mapę, by stwierdzić, że dwadzieścia pięć i osiemdziesiąt to trasy, które niewątpliwie wybiorą.

- Więc pojedziemy trasą numer dwadzieścia cztery - powiedział Doyle.

- Co to za droga? - spytał Colin wychylając się ze swego fotela, by spojrzeć na mapę, którą Doyle rozłożył na kierownicy.

- Odcinkami czteropasmówka. Ale nie cały czas.

Colin wyciągnął rękę i przesunął palcem po mapie. Po chwili wskazał na obszar o szarym odcieniu.

- Góry?

- Trochę. Płaskowyże. Ale i sporo pustyń, a także tereny o dużym zasoleniu.

- Cieszę się, że mamy klimatyzację.

Doyle złożył mapę i podał chłopcu.

- Zapnij pas.

Colin włożył mapę do schowka i zrobił tak, jak mu kazano. Gdy Doyle wyjechał z parkingu, chłopiec wsadził do spodni pomarańczową koszulkę z wizerunkiem upiora z opery,

wygładził zmarszczki na jego obrzydliwie zdeformowanym obliczu i przez kilka minut rozczesywał gęste, kasztanowe włosy, aż opadły wprost na ramiona, tak jak sobie życzył.

Następnie wyprostował się i patrzył, jak wypalony słońcem krajobraz znika za szybą samochodu, ustępując miejsca górom.

Niebo w kolorze indygo przecinały pasemka szaro-białych chmur, ale nie zanosilo się już na burzę. Ulewa szalejąca poprzedniej nocy skończyła się tak nagle jak się zaczęła, zostawiając po sobie nieliczne ślady. Piaszczysta gleba wzdłuż szosy wyglądała na spaloną słońcem i pokrytą kurzem.

Ruch tego ranka nie był zbyt duży i nieliczne samochody jechały tak płynnie i w tak zdyscyplinowany sposób, że Doyle opuszczając Denver nie musiał żadnego wyprzedzać.

Poza tym nie jechała za nimi furgonetka.

- Jesteś dziś nadzwyczaj małomówny - stwierdził Alex po piętnastu minutach, które upłynęły w ciszy. Odwrócił wzrok od poskręcanych węży rozgrzanego powietrza, które tańczyły nad szosą i spojrzał na chłopca. - Dobrze się czujesz?

- Myślałem.

- Ty zawsze myślisz.

- Myślałem o tym maniacu.

- No i co?

- Nie jedzie za nami, prawda?

- Nie.

Colin skinął głową.

- Założę się, że nie zobaczymy go więcej. Doyle zmarszczył brwi i lekko przyśpieszył, by dotrzymać kroku strumieniowi pojazdów, w którym jechali. - Skąd ta pewność?

- Po prostu przeczucie.

- Rozumiem. Sądziłem, że może masz jakąś teorię...

- Nie. Tylko przeczucie.

- No cóż - powiedział Doyle - czułbym się znacznie lepiej, gdybyś naprawdę miał powody sądzić, że go więcej nie ujrzymy.

- Ja też - odparł chłopiec.

W chwili, gdy George Leland wjeżdżał na parking otaczający Rockies Motor Hotel, wiedział, że ich zgubił. Ból głowy męczył go tak cholernie długo i był tak intensywny... no i okres nieświadomości, który później nastąpił, trwał przynajmniej dwie godziny. Nie musieli jeszcze się oddalić, ale z pewnością wyprzedzali go.

Thunderbird zniknął. Miejsce na parkingu było puste.

Nie pozwolił sobie na panikę. Nic jeszcze nie było stracone. Nie uciekli. Wiedział dokładnie, dokąd jadą.

Zaparkował w miejscu, w którym stał thunderbird i wyłączył silnik. Na pudełku, które kryło pistolet kalibru 0.32, leżała mapa. Leland rozwinął ją na siedzeniu pasażera, odwrócił się bokiem, żeby ją przestudiować i zaczął badać dość ubogi system dróg przecinający Kolorado i Utah.

- Nie mają wielkiego wyboru - powiedział do złotej dziewczyny siedzącej obok. -

Albo pozostaną na wcześniej zaplanowanej trasie, albo pojedą którąś z tych dwóch.

Nie odezwała się.

- Zmieniają plany po wydarzeniach ostatniej nocy.

Wraz z bólem głowy minęła również ta wybiórcza amnezja. Teraz pamiętał wszystko: przybycie do motelu godzinę przed nimi, obserwację hallu wejściowego zanim się pojawili, skradanie się do ich pokoju, powrót w środku nocy i próbę pokonania zamka przy drzwiach, cichy pościg i siekierę... gdyby tylko ten przeklęty ból głowy ustąpił na kilka minut, gdyby

nie pojawił się akurat wtedy, Leland wykończyłby Alexa Doyle'a.

To, że próbował zabić człowieka, nie robiło na nim żadnego wrażenia. Po tych wszystkich cierpieniach, jakich doświadczył z rąk innych ludzi, zrozumiał wreszcie, że jest tylko jedna rzecz, która może zniszczyć ten potężny spisek przeciwko niemu: siła, przemoc, kontratak. Musi zmiażdżyć całe to sprzysiężenie zła, które zostało zawiązane tylko po to, by doprowadzić go do skrajnej rozpacz. A ponieważ Alex Doyle i chłopiec stanowili samo centrum owego spisku, morderstwo było całkiem usprawiedliwione. Działał w samoobronie. W poniedziałek, gdy uchwycił w lusterku wyraz swych oczu, był zmieszany i zaszokowany tym, co zobaczył. Teraz, gdy przyglądał się sobie, nie widział nic prócz odbicia, najzwyklejszego obrazu. W końcu robił tylko to, czego pragnęła Courtney, tak by znów mogli być razem, tak by wszystko było równie wspaniałe jak przed dwoma laty.

- Mogą pojechać na północ, w kierunku Wyoming i skorzystać z osiemdziesiątki, albo udać się na południowy zachód trasą dwadzieścia cztery. Co myślisz?

- Myślę to, co ty - odpowiedziała złota dziewczyna, jej głos był słaby, ale miły jak szczęśliwe wspomnienie.

Leland studiował mapę przez kilka minut.

- Cholera... pojechali prawdopodobnie na północ i wskoczyli za Cheyenne na osiemdziesiątkę. Ale gdyby nawet tak zrobili, i gdybyśmy pojechali tą trasą i dogonili ich, to i tak niewiele zdołalibyśmy im zrobić. To uczęszczana trasa. Za duży ruch, zbyt wiele patroli policyjnych. Wszystko, co moglibyśmy uczynić, to jechać za nimi, a to za mało. - Milczał przez chwilę, rozmyślając. - Ale gdyby wybrali tę drugą trasę, to zupełnie inna sprawa. To pustkowie. Znacznie mniejszy ruch. Mniej glin. Moglibyśmy nadrobić stracony czas. Może nadarzyłaby się okazja załatwienia ich gdzieś po drodze.

Czekała w milczeniu.

- Pojedziemy trasą dwadzieścia cztery - powiedział w końcu. - A gdyby w rzeczywistości wybrali inną trasę... cóż, zawsze będziemy mogli znaleźć ich wieczorem w motelu.

Nie odezwała się.

Uśmiechnął się do niej, złożył mapę i umieścił ją na pudełku po chusteczkach, zakrywając niebiesko-szary pistolet.

Uruchomił furgonetkę.

Oddalił się od Rockies Motor Hotel, a później od Denver, kierując się na południowy zachód, w stronę Utah.

Rankiem minęli górzysty teren i ruszyli sosnowymi dolinami Kolorado, zostawiając za sobą resztki zimowego śniegu i znów wjeżdżając w słoneczną i piaszczystą okolicę.

Przejechali przez Rifle i Debeque, dwukrotnie przekraczając rzekę Kolorado, następnie mijając Grand Junction, a wkrótce potem granicę stanu. Gdy znaleźli się w Utah, góry pozostały gdzieś w oddali, ziemia stała się bardziej piaszczysta, a ruch zmalął. Przez długie minuty ich samochód był jedynym widocznym pojazdem na płaskiej wstędze szosy.

- Co zrobimy, jeśli złapiemy teraz gumę? - spytał Colin, wskazując na połacie nie zamieszkanymi obszarów.

- Nie złapiemy.

- Może się zdarzyć.

- Mamy nowe opony.

- A jeśli?

- Więc zmienimy koło.

- A jeśli zapasowe też siądzie?

- Naprawimy je.

- Jak?

Alex uświadomił sobie, że uczestniczy w jednej z gier chłopca i uśmiechnął się. Może przecucie nie zawiodło dzieciaka. Może było już po wszystkim. Może uda się odtworzyć tę radosną atmosferę, w której upłynął początek ich podróży.

- W pudełku z narzędziami, które znajduje się w bagażniku tego samochodu -

stwierdził Doyle przesadnie profesorskim tonem - jest ogromny pojemnik z aerozolem, który przytwierdzasz do wentyla uszkodzonej opony. Pompuje on koło i jednocześnie zakleja dziurę. Można więc jechać tak długo, póki się nie znajdzie warsztatu, który naprawi oponę.

- Całkiem zmyślne.

- No nie?

Colin trzymał w ręku wymaglinowany pojemnik z aerozolem, naciskał niewidoczny dozownik i prychał.

- A jeśli pojemnik nie zadziała?

- Och, na pewno zadziała.

- W porządku... a jeśli siądą trzy opony?

Doyle roześmiał się.

- To jest możliwe - powiedział Colin.

- Jasne. Mogą sięś nawet cztery.

- No i co wtedy?

W chwili gdy Doyle zaczął wyjaśniać, że wysiedliby z samochodu i poszli na piechotę, tuż za nimi rozdarł się klakson. Głośny, bliski i znajomy. Była to furgonetka.

Zanim Alex zdołał właściwie zareagować, zanim poczuł wzbierający strach i zdążył wcisnąć pedał gazu, by odskoczyć niczym strzała od bagażówki, furgonetka zjechała na lewy pas i zaczęła go wyprzedzać, wciąż trąbiąc przeraźliwie. Jak okiem sięgnąć, na szarej, zniekształconej przez rozgrzane powietrze szosie, rysującej się wyraźnie na tle wysokich, skalistych, wielowarstwowych Capitol Reefs, oddalonych o całe mile, nie widać było żadnego pojazdu zmierzającego na wschód, który mógłby zagrozić furgonetce drogę.

- Nie możesz dać się wyprzedzić - powiedział Colin.

- Wiem.

Gdyby ten sukinsyn znalazł się przed nimi, mógłby zablokować całą drogę. Wyłożone tłuczonym kamieniem oba pobocza były zbyt wąskie, a piaszczysty teren, który się za nimi rozciągał, zbyt suchy, miękki i sypki, by thunderbird mógł zjechać z szosy i odzyskać utracone prowadzenie.

Doyle wcisnął pedał gazu.

Duży wóz szarpnął do przodu.

Ale nieznajomy w furgonetce, choć szalony, nie był jednak głupi. Spodziewał się tego manewru. On także przyspieszył i przez chwilę przynajmniej dotrzymywał Doyle'owi kroku.

Wiatr huczał między samochodami pędzącymi obok siebie na zachód.

- Prześcigniemy go - powiedział Alex.

Colin milczał.

Smukła strzałka szybkościomierza wspinała się gładko do osiemdziesięciu i jeszcze wyżej, do osiemdziesięciu pięciu. Doyle zerknął na nią tylko raz. Colin, spięty i przestraszony, obserwował ją z niekłamanym przerażeniem.

Płaski teren przepływał za szybami samochodu migoczącą, białą plamą utworzoną z

piachu, gorącego powietrza i wysepek soli.

Bagażówka wciąż jechała obok.

- Nie wytrzyma tempa - powiedział Alex.

Dziewięćdziesiąt. Dziewięćdziesiąt pięć...

I gdy zbliżali się do szybkości stu mil na godzinę, a wiatr huczał między

samochodami, szalencie skręcił kierownicą w prawo. Nieznacznie. Tylko troszkę. I tylko na

moment. Bagażówka, na całej swej długości, zetknęła się na krótko z bokiem thunderbirda.

W górę wystrzelił snop iskier, które przeleciały po szybie, tuż przed oczami Doyle'a

niczym spadające, jasne gwiazdy. Rozdzierana karoseria wydała przeraźliwy krzyk,

zakrzuszyła się i wygięła. Doyle'owi niemal wyrwało kierownicę z rąk. Mocował się z nią,

ściskając z całej siły, podczas gdy wozem zarzuciło na kamieniste pobocze, gdzie spod kół

tryskał żwir i uderzał z grzechotem o podwozie. Ich prędkość spadła i zaczęli powoli obracać

się bokiem. Alex był pewien, że za chwilę wbiją się w furgonetkę, która wciąż trzymała się

blisko, ale wtedy jego samochód zaczął wychodzić z poślizgu... Doyle wjechał z powrotem na

szosę, kładąc stopę na pedale gazu, choć wolałby nacisnąć hamulec.

- W porządku? - spytał Colina.

Chłopiec przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Tak.

- Trzymaj się mocno w takim razie. Wynosimy się stąd i to szybko - powiedział,

podczas gdy thunderbird odzyskiwał utraconą prędkość, rzucając swój błądy cień na bok

chevroleta.

Doyle odważył się oderwać na moment wzrok od drogi i spojrzął w górę, na boczną

szybę furgonetki, która znajdowała się w odległości nie większej niż trzy, cztery stopy.

Pomimo niewielkiego dystansu, który ich dzielił, nie mógł dojrzeć kierowcy, ani nawet jego

sylwetki. Mężczyzna siedział wyżej niż Doyle, po drugiej stronie kabiny i był dobrze zamaskowany przez biało-żółty, pustynny blask, tańczący po szybie.

Znów jechali z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę, nadrabiając stracony czas i dystans. Strzałka szybkościomierza, drżąc lekko, dotarła do osiemdziesięciu pięciu. Zawahała się na tej cyfrze; przez chwilę zdawało się, że zatrzymała się na dobre, lecz potem drgnęła i ruszyła powoli w górę.

Alex kątem oka obserwował chevroleta. Gdy zauważył, że furgonetka podjeżdża, by znów się o nich otrzeć, wjechał na kamieniste pobocze, próbując uniknąć następnej kolizji.

Nie wytrzymaliby już długo tego obijania. Choć ich duży, luksusowy samochód był o połowę droższy od furgonetki, rozpadłby się prędzej i w większym stopniu niż chevrolet.

Powyginałby się jak słaba papierowa konstrukcja, przekoziółkował parę razy jak leciutki model i spłonął prędzej niż tekturowy karton.

Przy prędkości dziewięćdziesięciu mil na godzinę samochód zaczął trząść się okropnie, wydając dźwięk podobny do tego, jaki czynią kamienie toczące się po dnie miski. Koło kierownicy wibrowało szaleńczo w rękach Doyle'a. Co gorsza, przodem i tyłem wozu zaczęło zarzucać.

Doyle zwolnił, choć była to ostatnia rzecz, jaką chciał zrobić.

Strzałka szybkościomierza opadła. Jazda z prędkością osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę była płynna, a wóz dało się w pełni kontrolować.

- Coś pękło! - zawołał Colin, przekrzykując ryk wiatru i hałas dwóch rywalizujących ze sobą silników.

- Nie. To musiał być zły odcinek drogi.

Choć Alex wiedział, że trudno liczyć na Boga, to jednak modlił się, by to, co powiedział chłopcu, okazało się prawdą. Niech to będzie prawda. Niech to nie będzie nic

poważniejszego niż odcinek złej drogi, kawałek wyżłobionej deszczem nawierzchni. Niech nic złego nie stanie się z samochodem. Nie ma prawa się popsuć. Nie wolno im utknąć na tej piaszczystej i zasolonej równinie w chwili, gdy są zupełnie sami, pozbawieni jakiegokolwiek pomocy, a ich jedynym towarzyszem jest szalenie.

Znów nacisnął pedał gazu.

Samochód przyspieszył, osiągnął dziewięćdziesiątkę...

I znów powróciło to gwałtowne drzenie, jak gdyby rama wozu i jego karoseria nie były już ze sobą połączone i uderzały o siebie, oddalały się i znów uderzały. Tym razem, gdy stracił kontrolę nad kierownicą, czuł okropne drzenie także w pedale gazu. Mogli jechać z maksymalną prędkością osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę. W przeciwnym razie wóz rozpadłby się na kawałki. A tym samym nie byłiby w stanie prześcignąć chevroleta.

Wydawało się, że kierowca furgonetki uświadomił to sobie w tym samym momencie co Doyle. Zatrąbił, a następnie oddalił się od nich, wysuwając się do przodu, gdzie stał się panem drogi.

- Co robimy?

- Poczekamy i zobaczymy, co on zrobi.

Oddaliwszy się o jakieś tysiąc jardów, otoczona przez zwodniczo falujące strumienie gorącego powietrza unoszące się nad rozpaloną nawierzchnią, furgonetka zwolniła do stałej prędkości osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę i utrzymywała niezmienny półmilowy dystans.

Przejechali jedną milę.

Teren po obu stronach drogi stał się jeszcze bielszy, jak gdyby wypaliło go nagie słońce. Jedyne urozmaicenie stanowiły rzadkie, nieładne kępy krzewów i nieliczne ciemne, skalne trzony, splamione i zniszczone przez pustynny wiatr i upał.

Dwie mile.

Furgonetka wciąż była z przodu, drażniąc swoim widokiem.

Wloty nawiewu rozpylały świeże, zimne powietrze, ale wewnątrz wozu wciąż było zbyt gorąco i za duszno. Alex czuł krople potu na czole. Koszula kleiła mu się do ciała.

Trzy mile.

- Może powinniśmy się zatrzymać? - spytał Colin.

- I zawrócić?

- Może.

- Zauważyłby to - powiedział Doyle. - Zawróciłby i pojechał za nami - a po niedługim czasie znów byłby na przedzie.

- No to...

- Poczekajmy i sprawdzmy, co robi - powtórzył Doyle, starając się stłumić lęk w swoim głosie. Był świadom tego, że chłopiec nie powinien dostrzec w nim objawów słabości.

- Chcesz wziąć mapę i zobaczyć, jak daleko jest do najbliższego miasta?

Colin zrozumiał wagę tego pytania. Chwycił mapę i rozłożył ją na kolanach. Przykryła go jak kołdra. Patrząc zmrużonymi oczami przez grube szkła swych okularów, odnalazł ich ostatnią pozycję, obliczył dystans jaki przejechali od tego czasu i zaznaczył miejsce palcem. Zlokalizował najbliższe miasto, sprawdził skalę u dołu mapy, a następnie dokonał w myślach obliczeń.

- No i? - spytał Doyle.

- Sześćdziesiąt mil.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- Rozumiem. Odległość była zbyt duża.

Colin poskładał mapę i odłożył ją. Siedział jak kamienna rzeźba, wpatrując się w tył furgonetki.

Szosa wspinała się na łagodne wzniesienie po czym opadła w szeroką, alkaliczną dolinę. Wyglądała jak linia nakreślona atramentem na czystym arkuszu papieru maszynowego. Droga w kierunku zachodnim była pusta. Nic się na niej nie poruszyło.

To całkowite odosobnienie było właśnie tym, czego potrzebował kierowca bagażówki.

Zahamował ostro, skierował chevroleta w stronę prawego pobocza, po czym zatoczył szeroki łuk w lewo. Furgonetka zatrzymała się bokiem na szosie, blokując większą część obu pasów.

Doyle dotknął hamulca, ale po chwili uświadomił sobie, że niczego nie zyska zwalniając, czy zatrzymując się. Ponownie wcisnął pedał gazu. - Jazda!

Utrzymując stałą prędkość osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę, thunderbird pędził w stronę furgonetki, prosto w środek zielono-niebieskiego napisu na jej boku. Oba samochody dzieliło siedemset jardów. Po chwili tylko sześćset, pięćset, czterysta, trzysta.

- Nie ma zamiaru się ruszyć! - krzyknął Colin.

- Nieważne.

- Uderzymy w niego!

- Nie.

- Alex...

Gdy od furgonetki dzieliło ich pięćdziesiąt jardów, Doyle skręcił gwałtownie w prawo. Rozległ się pisk opon. Samochód przejechał pędem zwirowate pobocze, podskoczył szaleńczo, jak gdyby miał gumowe resory, i parł do przodu.

Doyle uświadomił sobie, że próbuje wykonać manewr, który jeszcze przed chwilą wydawał mu się niemożliwy. Teraz, możliwy czy nie, był ich jedyną nadzieją. Alexa ogarnęło przerażenie.

Samochód zarył się w ziarnistą, białą glebę, która okalała szosę, ciągnąc za sobą smugę alkalicznego pyłu, podobną do strumienia pary wodnej. Ich prędkość spadła o jedną trzecią w ciągu paru pierwszych sekund i thunderbird tańczył jak pijany na piaszczystej glebie.

To podłoże nas zatrzyma, myślał Doyle. Utkniemy tutaj, Wcisnął pedał gazu do podłogi.

Choć jechali prędzej niż pięćdziesiąt mil na godzinę, szerokie opony reagowały gwałtownie na stratę przyczepności, obracając się wściekle. Wóz tańczył, zarzucając tyłem, póki nie osiągnął pożądanej prędkości.

Minęli bagażówkę.

Doyle skręcił w stronę szosy. Cały czas wciskał pedał gazu do końca. Na niezbyt posłusznej kierownicy wyczuwał nierówności zdradzieckiego terenu, ginącego pod kołami wozu. Jednakże zanim któreś z kół ugrzęzło w piachu, thunderbird dotarł do pobocza drogi i wskoczył z powrotem na szosę, wyrzucając w górę setki małych kamyczków.

W ciągu paru sekund osiągnęli prędkość osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę, kierując się na zachód i zostawiając furgonetkę w tyle.

- Udało ci się! - zawołał Colin.

- Jeszcze nie.

- Ależ tak! - był wciąż przestraszony, ale w jego głosie słyhać było również przyjemne podniecenie.

Doyle spojrział w lusterko.

Gdzieś daleko w tyle widać było furgonetkę, ruszającą w ślad za nimi, jasny punkt na tle jeszcze jaśniejszego otoczenia.

- Jedzie? - spytał Colin.

- Tak.

- Sprawdź, czy uda nam się przekroczyć dziewięćdziesiątkę.

Doyle spróbował, ale samochód zaczął się trząść i grzechotać.

- Niedobrze. Coś pękło kiedy w nas uderzył.

- W każdym razie wiemy, że potrafisz ominąć każdą blokadę, jaką ustawi na szosie - powiedział chłopiec.

Doyle spojrzał na niego.

- Masz lepsze zdanie o moich umiejętnościach niż ja. Mieliśmy nie lada fart.

- Dajesz sobie radę - powiedział Colin.

W przenikającym szyby pustynnym blasku jego drucziane okulary wyglądały jak maleńkie rurki światła.

W trzy minuty później furgonetka siedziała im na ogonie.

Ale gdy próbowała ich wyprzedzić, Doyle zjeżdżał na lewe pasmo, blokując jej drogę i zmuszając bagażówkę do pozostania w tyle. Gdy chevrolet chciał wziąć ich z prawej, Doyle natychmiast zajeżdżał mu drogę i odpowiadał klaksonem na jego wściekłe trąbienie.

Prowadzili tę grę przez kilkanaście minut, okazując niesportową pogardę wobec reguł i krążąc po całej szosie. Wreszcie, co było nieuniknione, furgonetka znalazła lukę i wykorzystwała ją, zrównując się z nimi.

- Wszystko od nowa - powiedział Doyle.

Jak gdyby na dany znak, bagażówka zmniejszyła dzielący ich dystans i otarła się o ich samochód. Iskry wystrzeliły w górę i zgasły w mgnieniu oka, po czym rozległ się jęk rozdzieranego metalu, choć nie tak głośny i ostry jak za pierwszym razem.

Alex mocował się z kołem kierownicy. Brnęli po zwirowatym poboczu przez tysiąc jardów, zanim Doyle zdołał wjechać z powrotem na szosę.

Furgonetka znów w nich uderzyła, jeszcze mocniej niż poprzednio.

Tym razem Alex stracił panowanie nad wozem. Nie był w stanie utrzymać śliskiej od potu kierownicy, która sama obracała mu się w dłoniach. Była lepka jak masło. Dopiero gdy zjechali z szosy, brnąc szaleńczo przez pofałdowany piach, udało mu się mocno uchwycić mokry plastik kierownicy i odzyskać władzę nad ich losem.

Szybkościomierz wskazywał czterdzieści pięć mil, gdy wjeżdżali z powrotem na szosę, wyprzedzając furgonetkę o parę jardów. Ale zrównała się z nimi w chwilę później i trzymała się blisko ich boku, aż osiągnęli osiemdziesiąt pięć mil na godzinę. Cała prawa strona bagażówki była podrapana i powyginana. Alex domyślał się, patrząc niespokojnie na drugi samochód, że lewa strona thunderbirda jest w znacznie gorszym stanie.

Furgonetka ponownie ruszyła w ich stronę. Nagle rozległo się bang!, tak głośne, że Alex myślał, iż zostali uderzeni po raz czwarty. Jednak odgłosowi nie towarzyszył wstrząs. Co więcej, chevrolet nagle wytracił prędkość i został w tyle.

- Co on wyprawia? - spytał Colin.

To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, myślał Doyle.

- Pękła mu opona.

- Żartujesz.

- Nie żartuję.

Chłopiec opadł z powrotem na siedzenie, blady, roztrzęsiony i nieludzko wyczerpany.

Słabym, przypominającym szept głosem, powiedział”

- Jezul!

Miasto przetrwało wbrew niegościnniej ziemi, na której stało. Niskie budynki - czy to drewniane, ceglane czy też kamienne - zabarwiły się na matowy, żółto-brązowy kolor, współgrający z bezlitosnym słońcem i rozwiewanym przez wiatr piachem. Gdzieniedzie krawędzie ścian znaczyły alkaliczne inkrustacje, ale było to jedyne urozmaicenie w tej monotonii. Szosa - która stanowiła jednocześnie najważniejszą arterię miasta - przez cały czas, od chwili gdy opuścili Kolorado, tworzyła niewyraźną szaro-czarną linię przecinającą pustynię; ale teraz dostosowała się do charakteru tego miejsca i zmieniła się w ciemnobrązową i zakurzoną ulicę. Na otwartej przestrzeni wiatr omiatał drogę do czysta; ale tutaj, w mieście, budynki stanowiły dla niego przeszkodę i sprawiały, że wszędzie gromadził się kurz. Pokrywał cieniutką warstwą samochody, pozbawiając je blasku. Zdawał się być dłońmi żyjącej pustyni, rozkradającymi po kawałku tę skromną połać ziemi, którą ludzie nigdy jej wydarli.

Posterunek policji, znajdujący się przy trzecim skrzyżowaniu na głównej ulicy, był równie ponury jak wszystko inne i mieścił się w parterowym budynku, z którego odpadała zaprawa łącząca kamienie musztardowego koloru.

Funkcjonariusz, który dowodził posterunkiem i nazywał siebie kapitanem

Ackeridge'em, nosił brązowy mundur, pasujący do charakteru miasta i miał twardą, doświadczoną twarz do charakteru tego nie pasującą. Mierzył sześć stóp wzrostu, ważył dwieście funtów i był o jakieś dziesięć lat starszy od Doyle'a, ale ciało miał o dziesięć lat młodsze. Ostrzyżone na jeża włosy były ciemne, a oczy jeszcze ciemniejsze. Poruszał się jak żołnierz na paradzie, sztywno i dumnie.

Wyszedł przed budynek i obejrzał thunderbirda. Obszedł go dookoła i wydawał się równie zainteresowany nie uszkodzonymi częściami karoserii, co długimi rysami po stronie

kierowcy. Nachylił się nisko nad przyciemnioną szybą i patrzył na Colina, jak na rybkę w akwarium. Ponownie przyjrzał się uszkodzeniom po lewej stronie samochodu i był bardzo zadowolony z wyników inspekcji.

- Wejdźmy do środka - powiedział. Głos miał zdecydowany i wyraźny pomimo południowo-zachodniego akcentu. - Porozmawiamy o tym.

Wrócili na posterunek, przeszli przez poczekalnię, gdzie dwie sekretarki stukały w maszyny do pisania, a umundurowany policjant z nadwagą pił kawę i przeżuwał ekierkę.

Weszli do gabinetu Ackeridge'a, a potężny funkcjonariusz zamknął za nimi drzwi.

- Jak pan sądzi, co można zrobić w tej sytuacji? - spytał Alex, gdy Ackridge usiadł za biurkiem.

- Proszę usiąść.

Doyle podszedł do krzesła, które stało naprzeciwko porysowanego metalowego biurka, ale nie usiadł.

- Niech pan posłucha, ta uszkodzona opona nie powstrzyma tego drania na długo. I jeśli...

- Proszę, niech pan usiądzie, panie Doyle - powiedział policjant i sam też usiadł. Jego wysłużone krzesło o ruchomym oparciu zapiszczało, jak gdyby w jego siedzeniu chowała się żywa mysz.

Doyle usiadł, nieco poirytowany.

- Sądzę...

- Pozwoli pan, że to ja będę prowadził przesłuchanie - powiedział Ackeridge, uśmiechając się przez moment. Była to imitacja uśmiechu, najwyraźniej nieszczerego.

Policjant zdawał się wiedzieć o tym, ponieważ szybko spowaźniał. - Ma pan jakiś dowód tożsamości?

- Ja?

- To ja zadaję pytania.

W głosie policjanta nie było żadnej złośliwości, jednak jego ton zmroził Doyle'a. Alex wyciągnął z tylnej kieszeni portfel, wydobył z plastikowej przegródki prawo jazdy i przesunął na drugą stronę biurka.

Policjant studiował dokument.

- Doyle.

- Zgadza się.

- Z Filadelfii?

- Tak, ale przeprowadzamy się do San Francisco. Nie mam jeszcze kalifornijskiego prawa jazdy, naturalnie. - Zdawał sobie sprawę, że jego głos przypomina bełkot, język mu się plątał nie tylko z powodu strachu, jaki wciąż odczuwał po spotkaniu z szaleńcem w furgonetce, lecz również pod wpływem spojrzenia przenikliwych ciemnych oczu Ackeridge'a.

- Ma pan kartę wozu na tego t-birda?

Doyle odszukał właściwą wkładkę i podał policjantowi otwarty portfel.

Ackeridge przyglądał się przez dłuższą chwilę portfelowi, który ginał w jego ogromnych, twardych dłoniach.

- Czy to pański pierwszy thunderbird?

Alex nie rozumiał, jaki to w ogóle ma związek ze sprawą, ale odpowiedział na pytanie.

- Drugi.

- Zawód?

- Mój? Artysta.

Ackeridge podniósł wzrok i zdawał się przewiercać nim Doyle'a.

- A co to dokładnie oznacza?

- Zajmuję się artystyczną stroną reklamy - wyjaśnił Alex.

- I dobrze panu płacą?

- Całkiem dobrze - powiedział Doyle.

Ackeridge zaczął wertować pozostałe przegródki w portfelu, zatrzymując się przy każdej na parę sekund. Jego chłodne, intensywne zainteresowanie prywatnymi dokumentami było niemal nieprzyzwoite.

O co tu u licha chodzi, zastanawiał się Doyle. Zjawiłem się tutaj, żeby złożyć doniesienie o przestępstwie. Jestem dobrym, uczciwym obywatelem - nie podejrzany!

Odchrząknął.

- Przepraszam, panie kapitanie.

Ackeridge przestał wertować portfel.

- O co chodzi?

Zeszłej nocy, powiedział sobie Doyle, stawiłem czoło człowiekowi, który próbował zabić mnie siekierą. Więc dzisiaj mogę stawić czoło temu szefowi niższego szczebla.

- Kapitanie - powiedział - nie rozumiem, dlaczego jest pan tak bardzo zainteresowany moją osobą. Czyż nie jest teraz najważniejszą rzeczą, powiedzmy, pościg za tym człowiekiem w bagażówce?

- Zawsze twierdzę, że ofiarę trzeba poznać równie dobrze jak przestępcę - stwierdził

Ackeridge, po czym wrócił do przeglądania papierów w portfelu Doyle'a.

Wszystko szło nie tak, jak trzeba. Jakim cudem sprawy przybrały taki obrót - i dlaczego?

By nie odczuwać poniżenia wywołanego widokiem policjanta grzebiącego w jego

prywatnym portfelu, Alex zaczął rozglądać się po pokoju. Ściany pomalowano na urzędowy szary kolor, a jaśniejszy akcent stanowiły tylko trzy rzeczy: oprawiona fotografia prezydenta Stanów Zjednoczonych wielkości plakatu; równie duża fotografia zmarłego J. Edgara Hoovera; i wreszcie mapa najbliższej okolicy o rozmiarach cztery stopy na cztery. Wzdłuż ściany stały rzędem metalowe szafki z szufladami, tylko w jednym miejscu rozdzielone przez okno i wentylator. Poza tym w pokoju były jeszcze trzy krzesła o prostych oparciach, biurko, krzesło na którym siedział Ackeridge i stojak mieszczący normalnych wymiarów, bawełniano-jedwabną flagę Stanów Zjednoczonych.

- Odmowa służby wojskowej z powodu przekonań? - spytał Ackeridge.

Alex spojrział na niego zdumiony.

- Co pan powiedział?

Ackeridge pokazał mu kartę, którą znalazł w portfelu.

- Jest tu taka adnotacja.

Po co u licha trzymał tę kartę? Nie miał obowiązku nosić jej przy sobie, zwłaszcza teraz, gdy przekroczył trzydziestkę. Dawno temu przestali powoływać do wojska ludzi, którzy skończyli dwadzieścia sześć lat. Na dobrą sprawę wszyscy już zdążyli zapomnieć o poborze.

A jednak Doyle zawsze przekładał ją do nowego portfela, który kupował - miał już ich trzy czy cztery. Dlaczego? Czy chciał podświadomie wierzyć, że posiadanie tej karty było dowodem, iż jego pacyfistyczna filozofia opiera się na przekonaniach, a nie tchórzostwie?

A może posiadanie jej przypisywał powszechnej amerykańskiej psychozie niechęci, a czasem niemożności wyrzucenia na śmietnik czegoś, co nosiło znamiona urzędowego dokumentu, bez względu na datę ważności?

- Odbylem służbę zastępczą w szpitalu dla weteranów - powiedział Doyle, choć nie czuł potrzeby usprawiedliwiania się przed Ackeridge'em.

- Byłem zbyt młody na Koreę i zbyt stary na Wietnam - powiedział policjant. - Ale służyłem w normalnym wojsku, między wojnami. - Oddał Alexowi prawo jazdy i portfel.

Alex schował prawo jazdy do portfela, wsunął go do kieszeni i powiedział”

- Wracając do tego człowieka w chevrolecie...

- Zażywał pan kiedykolwiek marihuanę? - spytał Ackeridge.

Tylko spokojnie, myślał Doyle. Bądź cholernie ostrożny. Bądź cholernie miły.

- Dawno temu - powiedział.

Nie starał się już powrócić do tematu mężczyzny w bagażówce, ponieważ zdążył zauważyć, że z jakichś powodów Ackeridge w ogóle się tym nie interesuje.

- Wciąż pan zażywa?

- Nie.

Ackeridge uśmiechnął się. Była to ta sama, nieudana imitacja uśmiechu.

- Nawet gdyby zażywał pan ją codziennie, to i tak nie powiedziałaby pan takiemu staremu policyjnemu zrzędzie, jak ja.

- Mówię prawdę - powiedział Doyle, znów czując pot na czole.

- Inne rzeczy?

- Co pan ma na myśli?

Nachylając się nad biurkiem i zniżając głos do melodramatycznego szeptu Ackeridge powiedział”

- Barbiturany, amfetamina, LSD, kokaina...

- Narkotyki zażywają ludzie, którym nie zależy na życiu - odparł Doyle. Wierzył w to, co mówi, ale wiedział, że dla policjanta są to puste słowa. - Tak się składa, że kocham życie.

Nie potrzebuję narkotyków. Nie są mi potrzebne do szczęścia.

Ackeridge obserwował go przez moment, po czym oparł się o krzesło i skrzyżował

ciężkie ramiona.

- Chce pan wiedzieć, dlaczego zadaję te wszystkie pytania?

Alex nie odpowiedział, ponieważ nie był pewien, czy chce wiedzieć.

- Powiem panu - ciągnął Ackeridge. - Mam dwie teorie na temat tej pańskiej

opowieści - o człowieku w bagażówce. Pierwsza - że nic takiego się nie wydarzyło. Doznał pan halucynacji. To możliwe. Tak właśnie mogło być. Jeśli faktycznie był pan na haju, może po LSD, to mógł się pan nieźle wystraszyć.

Jedyne, co można było zrobić to słuchać. Nie spieraj się. Pozwól mu się wygadać, a potem wiesz stąd jak najdalej.

Alex nie mógł się jednak powstrzymać od pytania”

- A co z bokiem mojego samochodu? Odpadł lakier. Karoseria jest rozdarta. Drzwi się nie otwierają.

- Nie twierdzę, że pan to sobie wymyślił - powiedział Ackeridge. - Mógł pan uderzyć bokiem o jakiś murek albo wystającą skałę, cokolwiek.

- Niech pan spyta Colina - zaproponował Doyle.

- Chłopca w samochodzie? Pańskiego szwagra?

- Tak.

- Ile ma lat?

- Jedenaście.

Ackeridge potrząsnął swoją masywną głową.

- Jest zbyt młody, żebym mógł go przesłuchiwać i prawdopodobnie powiedziałby tylko to, co jak przypuszczam, odpowiadałoby panu.

Alex odchrząknął, by ulżyć gardłu, które było ściśnięte i suche.

- Proszę przeszukać wóz. Nie znajdzie pan żadnych narkotyków.

- Cóż - stwierdził Ackeridge, upajając się swoim akcentem - pozwoli pan, że przedstawię panu tę drugą teorię, zanim się pan zdenerwuje. Sądzę, że jest lepsza od tej pierwszej. Wie pan, co mam na myśli?

- Nie.

- Wydaje mi się, że pędził pan tym swoim wielkim czarnym wozem, zgrywając się na króla szos, i wyminął pan jakiegoś miejscowego chłopaka, który jechał jakimś starym, zdezelowanym pick-upem. - Ackeridge znów się uśmiechnął, tym razem szczerze. - Zobaczył pewnie to pańskie niesamowite ubranie, długie włosy i ten babski sposób bycia i zaczął się zastanawiać, dlaczego pan ma taki duży samochód, podczas gdy on musi się zadowolić furgonem. No i, oczywiście, im dłużej o tym myślał, tym bardziej się wściekał. Więc dogonił pana i stoczył z panem mały pojedynek na szosie. Jego gruchotowi nie mogło to zbyt zaszkodzić. Tylko pan miał coś do stracenia.

- Więc po co miałbym panu mówić, że to była bagażówka? Po co miałbym wymyślać historię o pościgu przez cały kraj? - spytał Doyle, z trudem panując nad gniewem, ale mając bolesną świadomość, że jego uzewnętrznienie skończyłoby się dla niego więzieniem, albo czymś gorszym.

- To proste.

- Chciałbym to usłyszeć.

Ackeridge podniósł się, odsunął krzesło, po czym obszedł biurko i stanął przy fladze z rękami założonymi do tyłu.

- Pomyślał pan sobie, że nie będę chciał ścigać miejscowego chłopaka, że będę po jego stronie, a nie po stronie kogoś takiego jak pan. Więc wykombinował pan sobie tę całą historyjkę z bagażówką, żeby zmusić mnie do podjęcia odpowiednich kroków. Jakbym wszystko zaprotokołował i rozpoczął regularne śledztwo, nie mógłbym już się tak łatwo

wycofać, kiedy poznałbym prawdziwą wersję.

- To naciągnięte - powiedział Doyle. - I pan o tym wie.

- Mnie wydaje się przekonujące.

Alex wstał z krzesła, przyciskając spocone pięści do boków. Kiedyś bez trudu znosił tego typu oskarżenia i odchodził bez słowa protestu. Ale teraz, po tych wszystkich zmianach, jakie w nim zaszły w ciągu paru ostatnich dni, nadmierna uniżoność nie była w jego stylu.

- Więc nie ma pan zamiaru nam pomóc?

Ackeridge patrzył teraz na niego z prawdziwą nienawiścią. Po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się nieklamana złośliwość.

- Nie jestem człowiekiem, którego może pan nazywać jednego dnia świnia, a drugiego prosić o pomoc.

- Nigdy nie nazwałem żadnego policjanta świnia - powiedział Alex.

Ale gliniarz nie słuchał go. Wydawało się, że przebija Doyle'a wzrokiem

- Przez piętnaście lat, albo i dłużej, ten kraj przypominał chorego człowieka. Był pogrążony w delirium, chwiał się na boki i obijał o różne rzeczy, nie zdając sobie sprawy, gdzie jest, dokąd zmierza, albo czy w ogóle przeżyje. Ale nie jest już taki chory. Zrzuca z siebie te pasożyty, które go toczyły. Wkrótce znikną bez śladu.

- Rozumiem - powiedział Alex, trzęsąc się ze strachu i wściekłości.

- Powstanie i pozabija wszystkie zarazki i będzie tak zdrowy jak niegdyś - powiedział Ackeridge z szerokim uśmiechem, wciąż trzymając dłonie za plecami i kołysząc się na piętach.

- Doskonale pana rozumiem - powiedział Alex. - Czy mogę odejść?

Śmiech Ackeridge'a przypominał krótkie, ostre szczeknięcia.

- Odejść? Chryste, nie marzę o niczym innym.

Colin wygramolił się z samochodu i przepuścił Alexa, następnie wszedł za nim i zamknął drzwi, blokując je.

- No i?

Alex ścisnął kierownicę z całych sił i wpatrzył się w swoje pobielające kłykcie.

- Kapitan Ackeridge sądzi, że mogłem zażyć narkotyki i wymyślić całą tę historię.

- No to wspaniale.

- Albo że zaczepili nas jacyś miejscowi chłopcy w pick-upie. A on naturalnie nie chce traktować nas lepiej niż paru fajnych chłopaków, którzy mają ubaw.

Colin zapiął pas.

- Było aż tak źle?

- Gdyby nie ty, zamknąłby mnie chyba do więzienia - powiedział Doyle. - Nie bardzo wiedział, co ma zrobić z jedenastoletnim chłopcem.

- Co teraz? - Colin obciągnął koszulkę z wizerunkiem upiora w operze.

- Zatankujemy - odpowiedział Alex. - Kupimy trochę jedzenia na wynos i pojedziemy prosto do Reno.

- A co z Salt Lake City?

- Ominiemy je - powiedział Doyle. - Chcę dostać się do San Francisco jak najszybciej i trzymać się z dala od zaplanowanej trasy, na wypadek gdyby ten drań rzeczywiście ją znał.

- Reno nie znajduje się tuż za rogiem - stwierdził chłopiec, przypominając sobie jak długa wydawała się droga na mapie. - Kiedy tam dotrzemy?

Doyle przyglądał się zakurzonej ulicy, żółto-brązowym domom i samochodom, które pokrywała alkaliczna powłoka. Były to martwe obiekty, pozbawione jakichkolwiek intencji, złych czy dobrych.

Jednak czuł na ich widok strach i nienawiść.

- Jutro wczesnym rankiem.

- Nie śpiąc po drodze?

- I tak bym dziś nie zasnął.

- Jazda wykończy cię. Zaśniesz za kierownicą bez względu na twoje obecne samopoczucie.

- Nie - powiedział Alex. - Jeśli poczuję, że opada mi głowa, zjadę na pobocze i zdrzemnę się przez piętnaście albo dwadzieścia minut.

- A co z tym maniakiem? - spytał chłopiec, wskazując kciukiem za siebie.

- Ta przebita opona zatrzyma go na jakiś czas. Trudno mu będzie samemu zmienić koło, podnieść samochód lewarkiem... a poza tym nie będzie jechał całą noc. Pomyśli, że zatrzymaliśmy się w jakimś motelu. Jeśli wie, że planujemy dotrzeć wieczorem do Salt Lake City - choć wciąż nie rozumiem, skąd wie - to będzie tam na nas czekał. Tym razem możemy oderwać się od niego na dobre. - Włączył silnik. - Jeśli t-bird nie rozpadnie się, oczywiście.

- Chcesz, żebym zaplanował trasę? - spytał Colin.

Alex przytaknął.

- Boczne drogi. Ale takie, które pozwolą na szybką jazdę.

- To może być nawet zabawne - stwierdził Colin. - Jak prawdziwa przygoda.

Doyle spojrzał na niego z niedowierzaniem. I wtedy dostrzegł w jego wzroku błysk lęku, który musiał wycierać także z oczu Doyle'a, i pojął, że to buńczuczne stwierdzenie było zwykłym popisem. Colin robił co mógł, by znieść ciężar niewiarygodnego strachu - i szło mu nadzwyczaj dobrze, jak na jedenastolatka.

- Jesteś naprawdę niesamowity - powiedział Doyle.

Colin zaczerwienił się.

- Ty też.

- Tworzymy niezłą parę.

- No nie?

- Pędząc ku nieznanemu - powiedział Alex - bez zmruczenia powiek. Wilbur i Oriville.

□

- Lewis i Clark - dodał chłopiec, uśmiechając się szeroko.

- Kolumb i Hudson.

□ □

- Abbott i Costello - powiedział Colin.

Może było to związane z okolicznościami, ale Doyle pomyślał, że jest to

najzabawniejsze stwierdzenie, jakie słyszał w ciągu ostatnich lat. Rozbawiło go do łez.

- Flip i Flap - powiedział, gdy przestał się śmiać. Wrzucił bieg i oddalił się od

posterunku policji.

Furgonetka przypominała upartą krowę. Po półgodzinnej, nieprzerwanej mordędze

Lelandowi udało się zablokować koła i podnieść furgonetkę przy pomocy lewarka na tyle, by

móc zdjąć uszkodzone koło. Wiejący po piaszczystych równinach wiatr poruszał lekko

chevroletem stojącym na metalowym podnośniku. I gdyby meble znajdujące się w części

bagażowej przesunęły się bez ostrzeżenia...

Po godzinie Leland przykręcił na zapasowym kole ostatnią śrubę i opuścił furgonetkę.

Kiedy wpychał przebitą oponę do samochodu, uświadomił sobie, że powinien zatrzymać się

na najbliższej stacji obsługi i naprawić ją, ale... Doyle z dzieciakiem i tak już uzyskali sporą

przewagę. Choć mógł ich znów dopaść tego wieczoru w Salt Lake City, nie chciał tracić

szansy rozprawienia się z nimi tutaj, na otwartej drodze. W miarę jak zbliżali się do San

Francisco, tracił pewność siebie i wiarę we własne możliwości.

A gdyby nie udało mu się wyłączyć ich z gry, co pomyślałaby Courtney? Przecież

miała do niego zaufanie. Gdyby nie zajął się odpowiednio tamtą dwójką, wówczas on i Courtney nie mogliby być razem, tak jak tego pragnęła.

W takim razie opona mogła zaczekać.

Zatrzasnął tylne drzwi furgonetki, zamknął na klucz i skierował się do kabiny. W pięć minut później pędził z prędkością dziewięćdziesięciu pięciu mil na godzinę po płaskiej, wyludnionej szosie.

Detektyw Ernie Hoval z policji stanowej Ohio jadł kolację w restauracji przy skrzyżowaniu, która stanowiła ulubione miejsce większości policjantów w tej okolicy. Atmosfera była do niczego, ale jedzenie było w porządku. Policjanci mieli dwadzieścia procent zniżki.

□ Lewis i Clark - podróżnicy amerykańscy, którzy jako pierwsi dotarli do Zachodniego Wybrzeża Ameryki Północnej.

□ □ Abbott i Costello - para znanych komików filmowych.

Był już w połowie posiłku, składającego się z ogromnego sandwicza i frytek, gdy przysiadł się do niego żółtawy, wyszczekany technik, zajmując miejsce vis-a-vis.

- Nie ma pan nic przeciwko towarzystwu? - spytał.

Hoval drgnął. Miał, ale wzruszył tylko ramionami.

- Nie wiedziałem, że taki człowiek jak pan korzysta z zakamuflowanych łapówek pod postacią zniżek - stwierdził technik, otwierając menu, które przyniosła mu kelnerka.

- Nie korzystałem, kiedy zacząłem się tu stołować - powiedział Hoval zdumiony tym, że chce rozmawiać z tym człowiekiem. - Ale wszyscy inni tak robili... z niewielu rzeczy można ciągnąć korzyści jeśli chce się pozostać dobrym gliniarzem.

- Ach, więc jest pan taki sam jak my wszyscy - stwierdził technik, machając lekceważąco ręką.

- Równie biedny.

Mężczyzna wykrzywił twarz w uśmiechu, a nawet pozwolił sobie na ciche parsknięcie.

- Jak pański sandwicz?

- Doskonały - odpowiedział Hoval z pełnymi ustami.

Technik zamówił jednego, bez frytek, i kawę. Kiedy kelnerka odeszła, spytał”

- Co ze śledztwem w sprawie Pulhama?

- Nie jest to już jedyna sprawa, którą się zajmuję - powiedział Hoval.

- Och?

- Niewiele mogę zrobić - wyjaśnił Hoval. - Jeśli zabójca jechał tą bagażówką do Kalifornii, to jest teraz daleko poza granicami mojego rejonu. FBI sprawdza listę nazwisk kierowców, którą otrzymało z centralnego spisu bagażówek. Zacieśnili krąg podejrzanych do kilkudziesięciu nazwisk. Wygląda na to, że znalezienie tego faceta to kwestia kilku tygodni.

Technik zmarszczył brwi, podniósł solniczkę i obracał ją w swoich chudych palcach.

- Za kilka tygodni może być za późno. Kiedy świr zaczyna działać, to działa szybko.

- Wciąż pan wierzy w tę teorię? - spytał Hoval, odkładając sandwicza.

- Uważam, że mamy do czynienia z psychopatą. A jeśli tak jest, to lista jego morderstw powiększy się o kilka nowych w ciągu tygodnia albo dwu. Może nawet popełnić samobójstwo.

- To nie jest żaden wariat - upierał się Hoval. - To sprawa polityczna. Nie zabije nikogo więcej, chyba, że natknie się na kolejnego policjanta.

- Jest pan w błędzie - powiedział technik.

Hoval potrząsnął głową i wziął spory łyk soku cytrynowego.

- Wy, liberałowie o krwawiących sercach, zadziwiacie mnie. Wszędzie szukacie

prostych odpowiedzi.

Kelnerka przyniosła blademu mężczyźnie kawę. Kiedy odeszła, powiedział”

- Nie zauważyłem na swojej koszuli krwi w okolicy serca. I nie jestem politycznym liberałem. Ponadto wydaje mi się, że pańska teoria jest bardziej uproszczona niż moja.

- Ten kraj się rozpada, a pan zwała winę na psychopatów i świrów.

- Cóż - powiedział technik, odkładając wreszcie solniczkę. - Prawie chciałbym, żeby było tak, jak pan mówi. Bo jeśli to jest wariat, i jeśli pozostanie na wolności przez tydzień lub dwa, to...

PIĄTEK

O drugiej rano w piątek, szesnaście godzin po wyjeździe z Denver, Alex czuł się tak, jakby leżał na oddziale szpitalnym dla nieuleczalnie chorych. Nogi miał zdrętwiałe i ciężkie. Pośladki szczypały go i piekły, jak gdyby wbito w nie mnóstwo szpilek, a plecy bolały go od krzyża aż do podstawy czaszki. A był to dopiero początek długiej listy dolegliwości: był mokry od potu, zmiętoszony i brudny, gdyż nie wziął prysznicą poprzedniej nocy; oczy miał podkrążone, a pod powiekami czuł piasek i swędzenie; ostry, jednodniowy zarost kłuł paskudnie; w ustach czuł suchość i kwaśny smak; ręce przenikał tępy ból od ciągłego trzymania tej przeklętej kierownicy przez długie godziny i mile...

- Nie śpisz? - spytał Colina.

W tej ciemności i przy włączonym radiu, z którego dobiegała cicha muzyka country, chłopiec powinien był zasnąć.

- Nie śpię - odpowiedział Colin.

- Spróbuj się zdrzemnąć.

- Boję się, że samochód się rozpadnie - powiedział Colin. - Nie mogę spać, kiedy się tym martwię.

- Samochód jest w porządku - odparł Doyle. - Karoseria jest trochę wgnieciona, ale to wszystko. Trzęsie się po przekroczeniu osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę tylko dlatego, że koło zaczyna pocierać o wygięty metal.

- Mimo wszystko niepokoję się - stwierdził Colin.

- Zatrzymamy się w jakimś możliwym miejscu i odświeżymy się - powiedział Doyle. -

Obydwaj tego potrzebujemy. Poza tym kończy się benzyna.

W czwartek, późnym popołudniem, ruszyli na południowy zachód, jadąc przez Utah siecią bocznych dróg, po czym skorzystali z dwupasmowej trasy dwadzieścia jeden, która

zawiodła ich ponownie na północny zachód. Wkrótce zapadł szybki, pustynny zmierzch, przechodząc gwałtownie z ognistej czerwieni o pomarańczowym odcieniu do uroczystej purpury i wreszcie głębokiej pustynnej czerni. Jechali dalej, przekraczając granice Newady i wjeżdżając na trasę pięćdziesiąt, którą zamierzali dotrzeć z jednego końca Srebrnego Stanu do drugiego.

Krótko po godzinie 22.00 zatrzymali się, żeby nabrać benzyny i zadzwonić do Courtney z budki telefonicznej. Udawali, że dzwonią z motelu, ponieważ Alex nie widział powodu, żeby ją martwić właśnie teraz. Choć mieli za sobą ciężkie przeżycie, było już prawdopodobnie po wszystkim. Zgubili swego prześladowcę. Nie było sensu straszyć Courtney. Opowiedzą jej o wszystkim ze szczegółami po przyjeździe do San Francisco.

Między 22.30 we czwartek i 2.00 rano w piątek jechali przez tereny, które niegdyś były samym sercem romantycznego Dzikiego Zachodu. Groźne, piaszczyste równiny, ciemne i wyludnione, ciągnęły się po lewej i prawej stronie drogi.

Srogie, nieurodzajne wzgórza wystrzelały zniecka w niebo i opadały stromo w dół, wydając się nie na miejscu, nawet jeśli stały tu od tysiącleci. Po obu stronach drogi majaczyły kaktusy, a przez szosę przemykały od czasu do czasu króliki, widoczne w żółtym blasku reflektorów. Gdyby ich podróż przebiegała inaczej, gdyby przed ostatnie dwa tysiące mil nie ścigał ich szaleniec, może jazda przez Newadę byłaby przyjemnością, okazją, by ulec nostalgii i zabawić się w którąś z gier Colina. Ale teraz kraina ta wydawała się nudna, była czymś, czego nie dało się uniknąć na drodze do San Francisco.

O 2.30 zatrzymali się w miejscu, które stanowiło połączenie stacji benzynowej i całonocnej restauracji. Gdy w thunderbirdzie uzupełniono benzynę i olej, Colin skorzystał z łazienki, żeby odświeżyć się przed następnym odcinkiem maratońskiej trasy. W restauracji zamówili hamburgery i frytki. Gdy te ostatnie smażyły się, Alex poszedł do męskiej toalety,

żeby ogolić się i umyć twarz i zażyć dwie tabletki kofeiny.

Kupił całą paczkę tej samej nocy, na stacji benzynowej, tuż przy granicy Utah. Colin był wtedy w wozie i nie widział zakupu. Alex nie chciał, żeby chłopiec zobaczył tabletki.

Colin i tak już był spięty. Nie czułby się lepiej, gdyby zobaczył, że Doyle, pomimo zapewnień o dobrej kondycji, robi się senny za kierownicą.

Spojrzał na swoje odbicie w popękany lustrze, które wisiało nad brudną umywalką, i skrzywił się.

- Wyglądasz okropnie.

Odbicie pozostało nieme.

Ominęli wjazd do Reno i pozostali na trasie pięćdziesiąt tak długo, aż znaleźli motel dokładnie na wschód od Carson City. Było to obskurne miejsce, rozpadające się gdzieś tam. Ale żaden z nich nie miał siły szukać dalej. Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał ósmą trzydzieści - minęły ponad dwadzieścia dwie godziny od wyjazdu z Denver.

Kiedy znaleźli się w pokoju, Colin podszedł prosto do łóżka i wskoczył na nie.

- Obudź mnie za sześć miesięcy.

Alex wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Ogolił się pobieżnie elektryczną maszynką, wyczyścił zęby i wziął krótki prysznic. Kiedy wrócił do pokoju, Colin już spał; chłopiec nie zadał sobie nawet trudu, żeby się rozebrać. Doyle włożył czyste ubranie i obudził go.

- Co się stało? - spytał chłopiec, niemal wyskakując z łóżka, gdy Doyle dotknął jego ramienia.

- Nie możesz jeszcze spać.

- Dlaczego? - Colin przetarł oczy.

- Wychodzę. Nie zostawię cię tu samego, więc chyba będziesz musiał pójść ze mną.

- Wychodzisz? Dokąd?

Alex zawahał się przez chwilę.

- Kupić broń.

Colin momentalnie oprzytomniał. Wstał i wygładził swój podkoszulek.

- Naprawdę myślisz, że potrzebujemy broni? Myślisz, że ten człowiek w bagażówce...

- Prawdopodobnie nie pojawi się więcej.

- W takim razie...

- Powiedziałem tylko, że prawdopodobnie nie pojawi się. Ale już nic nie wiem...

myślałem o tym całą noc, przez całą drogę w Newadzie i już niczego nie jestem pewien. -

Otarł twarz, jak gdyby chciał usunąć zmęczenie. - I kiedy jestem już absolutnie przekonany,

że go zgubiliśmy, to przypominam sobie paru ludzi, których spotkaliśmy po drodze. Tego

benzyniarza niedaleko Harrisburga. Kobietę w Lazy Time Motel. I przypominam sobie

kapitana Ackeridge'a... no i nie wiem. Nie chodzi o to, że uważam ich za niebezpiecznych.

Chodzi o to, że oni są symbolem czegoś, co spotyka się bardzo często... Po prostu myślę, że

powinniśmy mieć broń, która bardziej się przyda w San Francisco niż w czasie tych paru

ostatnich godzin podróży.

- Więc dlaczego nie kupisz jej w San Francisco?

- Myślę, że będę spał spokojniej, mając ją już teraz - powiedział Alex.

- Wydawało mi się, że jesteś pacyfistą.

- Jestem.

Colin potrząsnął głową.

- Pacyfista, który nosi broń?

- Dziwniejsze rzeczy dzieją się każdego dnia - powiedział Doyle.

Doyle i chłopiec wrócili do pokoju kilka minut po jedenastej. Alex zamknął drzwi,

odgradzając ich od nieznosnego pustynnego upału. Zablokował je i założył łańcuch.

Spróbował przekręcić gałkę, ale nie drgnęła.

Colin wziął małe, ciężkie, kartonowe pudełko i usiadł na łóżku. Podniósł wieko i spojrzał na pistolet kalibru 0.32 i paczkę z amunicją. Musiał pozostać w samochodzie, kiedy Doyle poszedł go kupić i nie wolno mu było otworzyć pudełka w czasie krótkiej jazdy powrotnej. Zobaczył broń dopiero teraz. Zrobił kwaśną minę.

- Powiedziałeś, że sprzedawca w sklepie sportowym nazwał go damską bronią.

- Zgadza się - odparł Doyle, siadając na brzegu łóżka i zdejmując buty. Wiedział, że będzie w stanie walczyć z sennością jeszcze tylko przez jakąś minutę lub dwie.

- Dlaczego tak powiedział?

- W porównaniu z kalibrem 0.45 ma słabszy odrzut, nie kopie tak bardzo w rękę i nie robi tyle hałasu. Tego typu broń kupują zazwyczaj kobiety.

- Czy w związku z tym, że nie pochodzisz z tego stanu, miałeś jakieś problemy z kupnem?

Doyle wyciągnął się na łóżku.

- Nie. Właściwie było to cholernie łatwe.

W piątkowe popołudnie George Leland przemierzał skaliste pustkowie Newady, zdążając w stronę Reno, z uczuciem bólu przenikającego oczy, pomimo ciemnych okularów, które chroniły przed blaskiem oślepiająco białego piachu. Nie jechał dostatecznie szybko. Nie był w stanie skupić się na prowadzeniu wozu.

Od czasu tego szczególnie ostrego bólu, który nawiedził go we wczesny czwartkowy ranek, gdy ścigał z siekierą Alexa Doyle'a, myśli Lelanda wędrowały swobodnie, niemal poza jego kontrolą. Nie potrafił skoncentrować się na niczym dłużej niż pięć minut. Jego myśli przeskakiwały z tematu na temat, jak w filmie pełnym krótkich ujęć.

Chwilami powracał do rzeczywistości, stwierdzając ze zdumieniem, że trzyma w ręku kierownicę furgonetki. Pokonywał całe mile, podczas gdy jego myśli błądziły gdzie indziej... Jakaś część jego uwagi z pewnością skupiała się na drodze i innych pojazdach; ale była to maleńka część. Gdyby znajdował się na ruchliwej autostradzie, zamiast przemierzać te płaskie, nie osłonięte nieużytki, zabiłby się i zniszczył furgonetkę w jednym z tych swoich transów.

Courtney towarzyszyła mu cały czas, na jawie i we śnie. I teraz, gdy powrócił myślami do drogi o piaszczystych poboczach i chevroleta, który pod nim klekotał, ona siedziała kilka stóp dalej z podkurczonymi nogami.

- Wczoraj prawie ich miałem - stwierdził z żalem. - Ale te cholerne, łyse opony...

- Nie przejmuj się tym, George - powiedziała, bliska i jednocześnie odległa.

- Nie, Courtney. Powinienem był ich załatwić. Poza tym... zeszłej nocy, kiedy

sprawdziłem motel w Salt Lake City, ich tam nie było. - Nie pojmował tego. - W tym jego

notesie było napisane, że zatrzymają się w High Lands Motel, w Salt Lake City. Co się z nimi stało?

Najwidoczniej nie wiedziała, ponieważ nie odpowiedziała.

Leland wytarł lewą rękę o spodnie, podczas gdy prawą trzymał kierownicę, następnie powtórzył gest, przytrzymując kierownicę lewą dłonią.

- Sprawdziłem wszystkie okoliczne motele. Nie zatrzymali się w żadnym. Zgubiłem ich. Uciekli mi jakimś cudem.

- Dogonisz ich jeszcze - powiedziała.

Leland miał nadzieję, że dziewczyna będzie mu współczuła i dodawała odwagi.

Kochana Courtney. Zawsze można było na nią liczyć.

- Może mi się uda - odparł, patrząc zmrużonymi oczami na pofalowane piaszczyste wzniesienia i odległe niebiesko-różowe góry - Ale jak? I gdzie? - Miał nadzieję, że Courtney zna odpowiedź.

Znała.

- W San Francisco, oczywiście.

- W San Francisco?

- Znasz mój adres - powiedziała Courtney. - Tam właśnie jadą. Czyż nie?

- Tak - potwierdził. - Z pewnością.

- No to już wiesz wszystko.

- Ale... może uda mi się złapać ich dziś wieczorem w Reno?

Kochana, zwiewna dziewczyna o miękkim głosie powiedziała”

- Znów zmienią motel. Nie znajdziesz ich.

Kiwnął głową. To była prawda.

Wtedy, na chwilę, oddalił się od niej. Nie był już w Newadzie, ale w Filadelfii. Trzy miesiące wcześniej. Pojechał do centrum, żeby obejrzeć film, który był zabawny i... no cóż, dziewczyna z tego filmu była tak bardzo podobna do Courtney, że nie mógł spać tej nocy.

Następnego wieczoru znów obejrzał film i dowiedział się z plakatów wiszących w hallu kinowym, że dziewczyna nazywa się Carol Lynley. Ale wkrótce o tym zapomniał. Chodził na ten film codziennie, i dziewczyna stała się prawdziwą Courtney. Była doskonała. Długie, żółto-białe włosy, delikatne rysy, te oczy, które zdawały się go przenikać... Stopniowo, za szóstym, siódmym, ósmym, dziewiątym razem, zaczęło powracać seksualne pożądanie, co było dziwne, ponieważ film był opowieścią rodzinną. W końcu zaczął chodzić po knajpach i poderwał dziewczynę. Zrobił to z nią... ale w ogóle nie przypominała Courtney. Potem, gdy wyczerpany leżał na niej, spojrzał prosto w twarz dziewczyny i zobaczył, że to nie Courtney i rozgniewał się. Poczul, że został wyprowadzony w pole. Oszukano go. Więc zaczął ją bić, tłukąc twardą pięścią po twarzy, raz za razem, aż...

Mrugał, patrząc na błękitne niebo, biały piasek, szaro-czarną drogę.

- Cóż - odezwał się do dziewczyny siedzącej obok - chyba ominę Reno. I tak nie będą tam nocować. Pojadę prosto do Frisco.

Złota dziewczyna uśmiechnęła się.

- Prosto do Frisco - powiedział Leland. - Nie będą się mnie spodziewać. Nie będą w ogóle przygotowani. Zajmę się nimi bez trudu. A potem będziemy razem. Czyż nie?

- Tak - powiedziała, tak jak sobie tego życzył.

- Znów będziemy szczęśliwi, prawda?

- Tak.

- Znów będę mógł cię dotykać.

- Tak, George.

- Spać z tobą.

- Tak.

- I będziesz ze mną żyła?

- Tak.

- I ludzie przestaną być dla mnie źli.

- Tak.

- Nie musisz się mnie obawiać, Courtney - powiedział. - Kiedy opuściłaś mnie po raz pierwszy, chciałem cię skrzywdzić. Chciałem cię zabić. Ale już nie chcę tego zrobić. Znowu będziemy razem, a ja nie skrzywdzę cię za nic w świecie.

Courtney podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale i była ożywiona bardziej niż zwykle.

- Czekałam na twój telefon - powiedziała. - Mam dobre wieści.

Alex chciał usłyszeć dobre wieści, zwłaszcza jeśli miała mu je przekazać swoim ciepłym, gardłowym głosem.

- O co chodzi?

- Mam pracę, Alex.

- W tym magazynie?

- Tak - roześmiała się do słuchawki i Alex niemal ujrzał ją, jak stoi przy telefonie i odrzuca w tył złotowłosą głowę. - Czy to nie wspaniale?

Jej szczęście wynagrodziło niemal to wszystko, co przeżył w ciągu ostatnich paru dni.

- Czy jesteś absolutnie pewna, że tego właśnie chciałaś?

- To lepsze od tego, czego chciałam.

- A wiec... ty i Colin w krótkim czasie staniecie się rodowitymi mieszkańcami San Francisco, a ja będę musiał zwolnić się na miesiąc z pracy, żeby was dogonić.

- Wiesz, jaką będę miała pensję?

- Dziesięć dolarów tygodniowo? - spytał.

- Nie żartuj.

- Piętnaście?

- Osiem i pół tysiąca rocznie. Na początek.

Zagwizdał.

- Nieźle, jak na pierwszą prawdziwą pracę w twoim zawodzie. A teraz posłuchaj, nie tylko ty masz dobre wiadomości.

- Och?

Doyle spojrział na Colina, który wcisnął się do budki telefonicznej razem z nim i powiedział, starając się, by kłamstwo zabrzmiało jak prawda.

- Parę minut temu przyjechaliśmy do Reno - w rzeczywistości nigdy tam nie dotarli, tylko do Carson City. I to wcześniej rano, a nie parę minut temu. Przespali całe popołudnie, a także porę kolacji i obudzili się o pół do dziewiątej, niecałą godzinę wcześniej. - Żadnemu z nas nie chce się spać. Była to prawda, choć Alex nie chciał wyjaśniać, dlaczego żadnemu z nich nie chce się spać, bo niby dlaczego mieliby drzemać w motelu cały dzień. - Do San Francisco jest jakieś dwieście pięćdziesiąt mil, więc...

- Chcesz przyjechać dziś wieczorem?

- Myślałem, żeby spróbować.

- Słuchaj, jeśli chce wam się spać - śpijcie.

- Nie chce nam się spać.

- Jeden dzień nie robi żadnej różnicy - powiedziała. - Nie pędź jak wariat tylko po to, żeby jak najszybciej dojechać. Jeśli zaśniesz nad kierownicą...

- Stracisz nowego thunderbirda, ale zyskasz pieniądze z odszkodowania - dokończył za nią.

- To nie jest zabawne.

- Masz rację, nie jest. Przepraszam. - Był rozdrażniony, ponieważ musiał ją okłamywać. Czuł się mały i w jakiś sposób brudny, nawet jeśli chciał tylko zaoszczędzić jej niepotrzebnych zmartwień.

- Jesteś pewien, że dasz radę?

- Tak, Courtney.

- W takim razie będę grzała łóżko.

- Z tym mogę nie dać rady.

- Dasz - powiedziała. Znow rozległ się jej śmiech, tym razem cichszy. - Zawsze dajesz radę.

- Kiepski żart - powiedział - Kiepski.

- Ale jeden z tych, które trzeba opowiadać. Więc... kiedy mogę spodziewać się ciebie i cudownego dziecka?

Doyle spojrział na zegarek.

- Jest za piętnaście dziesiąta. Odlicz czterdzieści pięć minut na kolację... powinniśmy być w domu około trzeciej nad ranem, jeśli nie zgubimy się po drodze.

Posłała mu przez telefon głośnego całusa.

- Do zobaczenia o trzeciej, kochanie.

O jedenastej George Leland minął znak informujący o odległości do San Francisco.

Spojrział na szybkościomierz i dokonał pewnych obliczeń. Nie zrobił tego tak szybko jak niegdyś. Cyfry wymykały mu się. Dodawał gorzej niż trzecioklasista. I nie był już pewny samego siebie tak jak dawniej, ponieważ liczył trzy razy, zanim uznał odpowiedź za zadowalającą.

Spojrział na dziewczynę o połyskujących, złotych włosach, która siedziała obok niego.

- Dotrzemy do twego domu przed pierwszą. Może pierwszą trzydzieści - powiedział.

SOBOTA

Courtney zgromadziła w jednym miejscu stertę śmieci, jakie pozostały po dostarczeniu mebli - puste drewniane skrzynki, kartony, stosy podartych gazet, plastikowe i papierowe opakowania, sznurki, druty, powrozy - i przeniosła to wszystko do gościnnej sypialni, która nie była jeszcze umeblowana. Na środku dywanu powstała ogromna, brzydka góra. Courtney wyszła na korytarz i zamknęła drzwi, by nie oglądać tego śmietniska. Gotowe. Nie będą musieli patrzeć na ten bałagan albo myśleć o nim aż do poniedziałku, kiedy trzeba będzie przenieść gdzieś całe to świństwo, żeby zrobić miejsce dla mebli. Miała świadomość, że przypominało to trochę wmiatanie brudu pod dywan, ale dopóki nikt go nie podnosi, żeby zajrzeć pod spód, to co w tym złego?

Wróciła do sypialni i stanęła w drzwiach, rozglądając się uważnie. Komódka z lustrem, wąski kredensik, nocne stoliki i łóżko zrobione były z ciężkiego, ciemnego drewna, które wyglądało jak ręcznie rzeźbione i polerowane. Dywan był ciemnoniebieski i włochaty. Narzuta na łóżko i zasłony uszyte były z grubego, ciemnozłotego aksamitu, który swą miękkością i miodową barwą przypominał jej ciemno opaloną skórę. Biorąc wszystko pod uwagę, myślała, pokój wyglądał diabelnie sexy.

Narzuta, naturalnie, nie zwieszała się równo z każdej strony łóżka. Na komódce stały w nieładzie perfumy i kosmetyki do makijażu. Może jeszcze wysokie lustro wymagało wypolerowania... Ale wszystkie te niedociągnięcia sprawiały, że był to właśnie pokój Courtney Doyle. Wszędzie, gdzie mieszkała, panował charakterystyczny dla niej, przypadkowy, mały i nieszkodliwy bałagan.

- Pamiętaj - uprzedziła Alexa w noc poprzedzającą ich ślub - nie bierzesz sobie za żonę dobrej gospodyni.

- Nie chcę żenić się z gospodynią - powiedział. - Do diabła, mogę zatrudnić całe

tuziny gospodyń.

- I nie jestem fantastyczną kucharką.

- A po co Bóg stworzył restauracje?

- Poza tym - powiedziała, krzywiąc się na myśl o swoim niechlujstwie i lenistwie - tak długo gromadzę brudną bieliznę, aż trzeba zrobić pranie albo kupić nowe rzeczy.

- Jak myślisz, Courtney, dlaczego Bóg wymyślił pralnie publiczne? He?

Przypominając sobie tę rozmowę, i to, jak wybuchnęli śmiechem i chichotali bez opamiętania, obejmując się i kiwając na podłodze jak niemądre dzieciaki, uśmiechnęła się i podeszła do ich nowego łóżka, żeby usiąść na nim i wypróbować sprężyny.

Prawdę powiedziawszy zdążyła wypróbować je wcześniej. Zrzuciła z siebie ubranie i skakała na środku materaca, tak, jak opisała to Alexowi przez telefon. Wydawało się to wtedy znakomitym pomysłem. Ale takie ćwiczenie w połączeniu z chłodem powietrza na nagiej skórze natchnęło ją nieprzyzwoitymi myślami i ochotą na miłość. Pragnęła go tej nocy tak bardzo, że z trudem mogła zasnąć. Wciąż myślała o Alexie, o tym jak to jest, kiedy żyje się z kimś takim jak on, o tym, jak znakomicie do siebie pasowali i jak wspaniale czuła się z nim w łóżku, jak z nikim innym.

Było im ze sobą dobrze pod wieloma względami, nie tylko w łóżku. Lubili te same książki, te same filmy i zazwyczaj tych samych ludzi. Jeśli było prawdą, że przeciwieństwa się przyciągają, to było także prawdą, że duplikaty przyciągają się jeszcze bardziej.

- Sądysz, że kiedykolwiek znudzimy się sobą? - spytała, gdy dobiegał końca ich pierwszy miesiąc miodowy.

- Znudzimy? - spytał, udając potężnie ziewniecie.

- Mówię poważnie.

- Nie będziemy się nudzić nawet przez minutę - powiedział.

- Ale jesteśmy tak do siebie podobni, że...

- Nudzą mnie tylko trzy rodzaje ludzi - odparł. - Po pierwsze: ci, którzy potrafią mówić tylko o sobie. A ty nie jesteś egocentryczką.

- Po drugie?

- Ci, którzy nie potrafią mówić o niczym. Ci nudzą mnie śmiertelnie. Ale ty jesteś inteligentną, aktywną, podniecającą kobietą, która zawsze czymś się zajmuje. Zawsze będziesz miała coś do powiedzenia.

- A po trzecie?

- Najbardziej nudną osobą ze wszystkich jest ta, która nie słucha kiedy opowiadam o sobie - oznajmił Alex i choć mówił z powagą, chciał także ją rozśmieszyć.

- Zawsze słucham - powiedziała. - Lubię słuchać, gdy mówisz o sobie. Jesteś fascynującym tematem.

Teraz, siedząc na łóżku, które mieli dzielić tej nocy, uświadomiła sobie, że to właśnie umiejętność słuchania siebie nawzajem czyni ich związek tak udanym. Chciała go poznać, a on chciał ją w pełni zrozumieć. Chciał wiedzieć, co ona myśli i robi, a ona chciała być częścią wszystkiego, co go dotyczy. Może wcale nie byli duplikatami, gdy się nad tym głębiej zastanowić. Może będąc tak dobrymi słuchaczami, po krótkim czasie poznali i zaakceptowali swoje gusta, i zaczęli je szybko dzielić. Nie tyle kopiowali siebie nawzajem, ile jedno pomagało drugiemu rozwijać się i dojrzewać.

Przyszłość wyglądała tak obiecująco, a Courtney była taka szczęśliwa, że objęła się ramionami, który to gest był podświadomym wyrazem satysfakcji i zachwytu, a który bezwiednie przejął od niej Colin.

Na dole rozległ się dzwonek do drzwi.

Spojrzała na zegarek przy łóżku: dziesięć po dwudziestej drugiej.

Czy to możliwe, żeby przyjechali kilka godzin wcześniej? Czy mógł pomylić się w swoich obliczeniach aż tak bardzo?

Zerwała się z łóżka i zbiegła do hallu, pokonując po dwa stopnie naraz. Była podekscytowana tym, że za chwilę ich ujrzy i zada im mnóstwo pytań dotyczących podróży, ale... była równocześnie trochę zła. Czy mylnie obliczył czas potrzebny na dojazd z Reno? Czy też przekroczył wszelkie limity szybkości? Jeśli tak... jak śmiał ryzykować ich przyszłość tylko po to, by zaoszczędzić jedną dobę z tej pięciodniowej podróży? Kiedy doszła do drzwi, jej złość dorównywała radości płynącej z faktu, że wreszcie dotarli do domu.

Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi.

- Witaj, Courtney - powiedział, wyciągając dłoń, by pogłaskać jej twarz.

- George? Co ty tu robisz?

Zanim zdołała odwrócić się i uciec, zanim nawet pojęła, że jest coś złowróżbnego w jego niespodzianej wizycie, unieruchomił jej ramię w żelaznym uścisku i poprowadził Courtney na hiszpańską sofę, gdzie usiadł razem z nią. Rozejrzał się po pokoju i pokiwał z uśmiechem głową.

- Miło tu. Podoba mi się.

- George? Co...

Wciąż zaciskając dłoń na jej ramieniu, dotknął twarzy dziewczyny, przesuając palcami po delikatnej linii podbródka.

- Jesteś taka cudowna - powiedział.

- George, po co tu przyjechałeś? - Była przestraszona, chociaż nie przerażona. Jego pojawienie się nie miało najmniejszego sensu, ale nie był to jeszcze powód, żeby wpadać w panikę.

Ręka Lelanda ześliznęła się po jej szyi, badał palcami puls, a następnie opuścił dłoń i objął jej ciężką, nie podtrzymywaną stanikiem pierś.

- Cudowna jak zawsze.

- Proszę. Nie dotykaj mnie w ten sposób - powiedziała.

Próbowała odsunąć się od niego.

Trzymał ją mocno, pieszcząc wolną ręką. Teraz dotykał drugiej piersi.

- Powiedziałaś, że znów będę mógł cię dotykać.

- Co masz na myśli? - Jego palce wbijały się w ramię dziewczyny tak głęboko, że poczuła w barku eksplozję ostrego bólu.

- Powiedziałaś, że znów mógłbym się z tobą kochać. - Głos Lelanda był niski i senny.

- Tak jak dawniej.

- Nie. Nigdy tego nie mówiłam.

- Owszem, Courtney. Mówiłaś.

Spojrzała w jego podkrążone, nabiegłe krwią oczy, w lekko niesymetryczne niebieskie źrenice i po raz pierwszy w życiu doznała lęku, który odczuwają wyłącznie kobiety.

Wiedziała, że może spróbować ją zgwałcić. I wiedziała, że choć jest wychudzony, będzie miał dość siły, by to zrobić... ale czy takie obawy nie były śmieszne? Czy w przeszłości nie była z nim w łóżku dziesiątki razy, zanim zaczął się zmieniać? Czego w takim razie się obawiała?

Ale ona wiedziała czego.

Nie seksu. Chodziło o siłę, przemoc, poniżenie i uczucie, że zostało się wykorzystanym. Nie miała pojęcia, jak się tu dostał, ani skąd wziął jej adres. Nie знаła jego motywów postępowania. Ale teraz nie miało to absolutnie żadnego znaczenia. Najważniejsze było to, czy będzie chciał ją zgwałcić czy nie. Czowała się słaba, bezradna i zagrożona. Czowała wewnętrzną pustkę i chłód, drząc na myśl, że będzie musiała zaakceptować jego przymusowe zaloty.

- Lepiej, żebyś dłużej tu nie siedział - powiedziała, czując do siebie pogardę za drzenie głosu. - Alex będzie tu za parę minut.

Leland uśmiechnął się.

- No pewnie. Wiem o tym.

Nie mogła pojąć, czego chce, o co mu jeszcze chodzi oprócz krótkiego, brutalnego zniewolenia jej.

- Więc co tu jeszcze robisz?

- Rozmawialiśmy już o tym.

- Nie. Nie rozmawialiśmy.

- Pewnie, Courtney. Pamiętasz. W furgonetce. Kiedy tu jechaliśmy. Ty i ja.

Rozmawialiśmy o tym przez kilka dni - jak ich załatwimy, a potem będziemy razem.

Już nie była tylko przestraszona. Była przerażona. W końcu przekroczył granicę obłądu. Cokolwiek było przyczyną - jakieś fizyczne schorzenie czy choroba psychiczna - wypchnęło go ostatecznie poza granice normalności.

- George, musisz posłuchać. Czy mnie słuchasz?

- Oczywiście, Courtney. Lubię twój głos.

Nie mogła opanować drżenia.

- George, nie jesteś zdrowy. Cokolwiek ci dolegało przez ostatnie dwa lata...

Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy jej przerwał.

- Jestem zdrow jak ryba. Dlaczego zawsze upierasz się, że jest inaczej?

- Czy widziałeś kiedykolwiek te prześwietlenia, które lekarz...

- Zamknij się! - warknął. - Nie chcę o tym mówić.

- George, jeśli jesteś chory, to może jest jeszcze jakieś...

Zdażyła zauważyć, że wymierza jej cios, ale nie była w stanie uchylić się dostatecznie szybko. Wielka, twarda dłoń Lelanda spadła ciężko na jej skroń. Poczowała jak zgrzytnęły jej zęby. Courtney przyszło do głowy, że ten dźwięk jest prawie zabawny...

Ale wówczas zaczęła pogrążyć się w ciemności, wiedząc, że zaraz zemdleje. Gdyby straciła przytomność, byłaby jeszcze bardziej bezradna. I nagle uświadomiła sobie, że gwałt to najmniejsze zło, jakie może ją spotkać. Mógł w ogóle jej nie zgwałcić. Mógł ją zabić.

Krzyknęła, albo tak jej się tylko wydawało, i wpadła do smolistego dołu.

Leland wyszedł z domu i wziął z furgonetki pistolet, który zapomniał zabrać za pierwszym razem. Wrócił do living-roomu i stanął obok sofy, spoglądając w dół na dziewczynę, podziwiając jej złote włosy i pieprzyki na skórze oraz doskonałą linię jej twarzy.

Dlaczego nie mogła być dla niego miła? Była taka przez całą drogę. Kiedy jej mówił,

żeby przestała go dręczyć w jakiejś sprawie, to przestawała. Natychmiast. Ale znów wylazła z niej dziwka, która go krytykuje i wmawia mu, że zawodzi go umysł. Czy nie widziała, że jest to niemożliwe? To właśnie dzięki swemu umysłowi dostawał te wszystkie stypendia, lata temu. To dzięki swemu wyjątkowemu umysłowi wy dostał się z tej cholernej farmy i uciekł od biedy, klepania Biblii i ręki ojca. Więc to niemożliwe, by umysł go zawodził. Powiedziała tak, żeby go przestraszyć.

Przystawił lufę pistoletu do jej ucha.

Ale nie był w stanie pociągnąć za spust.

- Kocham cię - powiedział, choć nie mogła go usłyszeć.

Usiadł na podłodze obok kanapy i zaczął płakać. Po jakimś czasie powrócił do rzeczywistości i stwierdził, że ją rozbiera. Gdy myśli Lelanda wędrowały gdzieś daleko, on zdjął cienki, niebieski sweter Courtney, a teraz manipulował przy zamku jej dżinsów. Przestał to robić i popatrzył na nią.

Naga do pasa, wyglądała jak mała dziewczynka, pomimo wyraźnie zarysowanych piersi. Wydawała się bezbronna, słaba i spragniona opieki.

Wszystko było nie tak. Nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Leland uświadomił sobie nagle, że gdyby ją tylko związał i poczekał do chwili, gdy rozprawi się z Doyle'em i chłopcem, to wszystko byłoby dobrze. Gdy będą martwi, ona zrozumie, że Leland jest wszystkim, co jej pozostało. A wtedy będą mogli żyć razem.

Podniósł ją tak łatwo, jakby była niemowlęciem, zaniósł na górę i położył na łóżku w głównej sypialni. Przyniósł z living-roomu sweter dziewczyny i z trudem ją ubrał.

Kwadrans później związał jej ręce i stopy kawałkiem liny, którą znalazł na stercie śmieci w gościnnej sypialni, a taśmą samoprzylepną zakleił Courtney usta.

Siedział obok niej, na brzegu łóżka, wpatrując się w jej oczy, gdy zatrzepotała

powiekami i odszukała go wzrokiem.

- Nie bój się - powiedział.

Z jej zasłoniętych ust wyrwał się zduszony krzyk.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział. - Kocham cię. - Dotknął długich, cienkich, delikatnych włosów dziewczyny. - Już wkrótce wszystko będzie dobrze. Będziemy szczęśliwi, ponieważ nie będziemy mieć nikogo więcej prócz siebie.

- To już nasza ulica? - spytał Colin, podczas gdy thunderbird wspinał się z mozołem po pochyłej jezdni w kierunku świateł widocznych na szczycie wzniesienia.

- Zgadza się.

Po lewej stronie, za rzędami wyrosniętych drzew wiśniowych, rozciągała się ciemność parku Lincolna. Teren po prawej ginał w jeszcze głębszej ciemności, schodząc stopniowo w dół, ku światłom miasta i linii portu oraz mostu Golden Gate, która przypominała połyskujący naszyjnik. Był to niezwykły widok nawet o trzeciej nad ranem.

- Niezłe miejsce - powiedział chłopiec.

- Podoba ci się, co?

- Bije Filadelfię na głowę.

Doyle roześmiał się.

- Z pewnością.

- Tam na górze to nasz dom? - spytał Colin, wskazując na samotne światła w oddali.

- Tak. I całkiem miła działka z mnóstwem dużych drzew. - Wracając tu po raz

pierwszy jako właściciel domu wiedział, że miejsce to było warte każdego centa, którego wydali, choć suma początkowo wydawała się niebotyczna. Pomyślał o Courtney, czekającej z niecierpliwością. Przypomnił sobie drzewo rosnące za oknem sypialni i zastanawiał się, czy będą czuwać wspólnie, aż do świtu, by zobaczyć poranne słońce pochylające się nad niebieską zatoką...

- Mam nadzieję, że Courtney nie będzie się wściekać o te wszystkie kłamstwa -

powiedział Colin, wciąż patrząc poza obrzeża miasta, na ciemny ocean. - Popsułaby wszystko.

- Nie będzie się gniewać - zapewnił go Doyle, wiedząc, że zły humor Courtney szybko

minie. - Będzie zadowolona, że jesteśmy cali i zdrowi.

Światła domu były już blisko, choć jego kontury skrywała ściana głęboko zacienionych drzew rosnących z tyłu.

Doyle zwolnił, szukając wzrokiem podjazdu. Znalazł go i skrócił. Pod kołami zachręściły tysiące owalnych kamyczków.

Gdy wjechali za róg domu, ujrzeli furgonetkę zaparkowaną przed garażem.

Doyle wysiadł z uszkodzonego wozu po stronie pasażera i położył dłoń na ramieniu Colina.

- Zostań w samochodzie - powiedział. - Nie ruszaj się nigdzie. Jeśli zobaczysz, że ktoś wychodzi z domu, i że to nie ja, wyskakuj z samochodu i biegnij do sąsiadów. Najbliżsi mieszkają u podnóża ulicy.

- Czy nie powinniśmy wezwać policji i...

- Nie ma na to czasu. Ten facet jest w środku z Courtney. - Alex czuł jak skręca mu się żołądek i myślał, że zwymiotuje. W głębi gardła pojawił się gorzki płyn, ale zdołał go przełknąć.

- Jeszcze kilka minut...

- I może być za późno.

Doyle odwrócił się od thunderbirda i ruszył biegiem przez ciemny trawnik w stronę drzwi frontowych, które były uchylone.

Jak to było możliwe? Kim był ten człowiek, który podążał za nimi gdziekolwiek zmierzali, który pojawiał się blisko nich, bez względu na to, jak bardzo zmieniali plany? Kim u diabła był ten osobnik, który zdołał ich wyprzedzić i czekał teraz na nich? Wydawał się kimś więcej niż maniakiem. Był niemal nadludzki, diabelski.

I co zrobił Courtney? Jeśli skrzywdził ją w jakikolwiek sposób...

Alexem targała wściekłość i jednocześnie przerażenie. Najgorsze było to, że nie można było obronić bliskich, nawet jeśli miało się odwagę stawić czoło przemocy. Co więcej, nie można było przewidzieć, skąd nadejdzie niebezpieczeństwo albo jaką przybierze postać.

Dotarł do drzwi frontowych, pchnął je i wszedł do środka, zanim zdążył pomyśleć, że być może wchodzi w zasadzkę. Nagle przypomniał sobie aż nadto wyraziście cały ten spryt i

zawziętość, okazywane przez szaleńca, gdy wymachiwał siekierą...

Doyle przypadł do podłogi tuż przy ścianie, chowając się za stolikiem na telefon, by nie stanowić łatwego celu. Rozejrzał się szybko po pokoju.

Pomieszczenie było puste.

Pały się wszystkie światła, ale szaleńca w pokoju nie było. Nie było też Courtney.

Dom był cichy.

A może zbyt cichy?

Przyciskając plecy do ściany, przeszedł z living-roomu do jadalni, podczas gdy włochaty dywan tłumił odgłos kroków. Ale jadalnia była pusta. W kuchni na stole rozłożono trzy talerze, noże, widelce i łyżki, a także inne dodatki. Courtney przygotowała dla nich późną przekąskę.

Serce waliło mu boleśnie. Oddech był tak chrapliwy i głęboki, że Doyle był przekonany, iż słycać go w całym domu.

Powtarzał w myślach: Courtney, Courtney, Courtney...

Mały gabinet i tylny ganek były także puste. Wszędzie panował porządek i ład - jak na dom, w którym mieszkała Courtney. Był to dobry znak. Czyż nie? Żadnych śladów walki, przewróconych mebli, krwi...

- Courtney!

Początkowo chciał się zachowywać cicho. Ale teraz wymówienie jej imienia wydawało się niezwykle ważne, jak gdyby to głośno wypowiedziane słowo było magicznym zaklęciem zdolnym odwrócić to, co szaleniec jej uczynił.

- Courtney!

Brak odpowiedzi.

- Courtney, gdzie jesteś?

Gdzieś w głębi duszy Doyle wiedział, że powinien zachowywać się cicho. Powinien zamilknąć na minutę i przemyśleć sytuację, zastanowić się nad wariantami działania przed zrobieniem następnego kroku.

Nie pomoże Courtney ani Colinowi, jeśli będzie działał głupio i pochopnie i w rezultacie da się zabić.

Jednak pod wpływem przygniatającej ciszy panującej w domu nie był w stanie zachowywać się racjonalnie.

- Courtney!

Pochylony, niczym żołnierz lądujący na wrogiej plaży, wbiegł po schodach na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz... Gdy dotarł na szczyt, chwycił się poręczy, by nie stracić równowagi i złapać oddech.

Wszystkie drzwi w korytarzu pierwszego piętra były zamknięte, jak wieka pudełek z niespodzianką.

Gościenna sypialnia znajdowała się najbliżej. Pokonał trzema krokami szerokość korytarza i otworzył drzwi.

Przez chwilę nie mógł zrozumieć tego, na co patrzy. Kartony, pudełka, papiery i inne śmieci zalegały środek pokoju, tworząc górę zakrywającą nowy dywan. Zrobił kilka kroków do przodu, przestępując próg, dziwnie zaniepokojony tym bezsensownym bałaganem.

Zza jego pleców, od strony drzwi, dobiegł niski, niespieszny głos”

- Odebrałeś mi ją.

Alex odwrócił się, rzucając się jednocześnie w lewo. Na próżno. Pomimo tego manewru pocisk uderzył go i zwałił z nóg.

W drzwiach stał wysoki, barczysty mężczyzna i uśmiechał się. Trzymał w ręku pistolet bardzo podobny do tego, który Doyle kupił w Carson City i bezmyślnie pozostawił w

samochodzie wtedy, gdy potrzebował go najbardziej.

Myślał: to dowodzi, że pacyfista nie może zmienić się w brutala w ciągu jednej nocy.

Można napompować go odwagą, ale nie można sprawić, by myślał w kategoriach przemocy...

To było głupie, że takie myśli przelatywały przez jego głowę właśnie teraz. Więc przestał o tym myśleć i dał się porwać ciemności o rubinowym kolorze.

Gdy George Leland ocknął się z majaczeń o farmie i ojcu, stwierdził, że siedzi na brzegu łóżka Courtney. Pieścił jej twarz jedną ręką.

Jej ciało było sztywne jak gipsowy posąg, gdy wiła się skrępowana. Próbowwała coś powiedzieć, pomimo taśmy samoprzylepnej, i zaczęła płakać.

- W porządku - rzekł Leland. - Zająłem się nim.

Wygięła się gwałtownie, próbując strząsnąć jego dłoń.

Leland patrzył na pistolet, który trzymał w drugiej ręce, i uświadomił sobie, że postrzelił Doyle'a tylko raz. Może ten sukinsyn nie umarł. Leland powinien wrócić i upewnić się.

Ale nie chciał opuścić Courtney.

Pragnął dotykać jej jeszcze, może nawet kochać się z nią. Czuć jak miękka, ciepła skóra dziewczyny prześlizguje się pod zrogowaciałymi opuszkami jego palców. Cieszyć się nią. Cieszyć się byciem przy Courtney. Obydwoje znów razem... Położył dłonie na jej klatce piersiowej i nacisnął dostatecznie mocno, by znieruchomiała. Głaskał jej twarz i zanurzał palce w złotych włosach dziewczyny.

Przez chwilę niemal zapomniał o Alexie Doyle'u.

O Colinie nie myślał w ogóle.

Chłopiec usłyszał strzał. Stłumiły go ściany, ale nie mogło być żadnych wątpliwości.

Otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu. Przebiegł połowę podjazdu, gdy nagle

uświadomił sobie, że nie ma dokąd pójść.

W domach u podnóża ulicy wciąż było ciemno, tak jak i w tych, które stały wyżej.

Najwidoczniej strzał nikogo nie obudził.

No dobrze. Ale przecież mógł pobiec do sąsiadów i powiedzieć im co się stało, czyż nie? Ale od razu wiedział, że to bezcelowe. Pomyślał o tym, jak kapitan Ackeridge potraktował Alexa. I choć wiedział, że sąsiedzi odnieśliby się do niego z sympatią, wiedział również, że nie uwierzyliby mu, a przynajmniej nie na tyle szybko, by pomóc Alexowi i Courtney. Jedenastolatek? Potraktowaliby go z humorem, może skrzyczeli. Ale nigdy by mu nie uwierzyli.

Odwrócił się i pobiegł z powrotem do samochodu, po czym zatrzymał się przy otwartych drzwiach i spojrzał na dom. Nikt nie wyszedł na zewnątrz.

Rusz się, pomyślał. Alex nie wahałby się. Przecież pospieszył Courtney na pomoc, prawda? Chcesz być dorosłym człowiekiem czy przestraszonym dzieciakiem?

Usiadł na brzegu fotela, otworzył schowek i wyjął z niego małe kartonowe pudełko.

Wyciągnął pistolet i położył na siedzeniu, po czym zaczął szukać amunicji. W ciągu jedenastu lat swego życia ani razu nie trzymał broni w ręku, ale czynność ładowania wydała mu się całkiem prosta. Bezpiecznik był oznaczony małutkimi literkami, które z trudnością dostrzegał w przyćmionym świetle górnej lampki: ON - OFF. Przesunął go na pozycję OFF.

Alex wpatrywał się w połamane skrzynki, podarte gazety i inne śmieci przez jakąś minutę, zanim uświadomił sobie, gdzie jest, i przypomniał sobie, co się stało. Szaleniec, tym razem z pistoletem...

- Courtney? - spytał cicho.

Poruszenie wywołało ból. Napływał falami i sprawiał, że Doyle czuł się stary i słaby.

Został postrzelony w górną część lewej łopatki i miał wrażenie, że ktoś obficie posypał ranę solą.

Przynajmniej nie trafił w serce, pomyślał. Nie trafił w żaden ważny organ. Ale była to słaba pociecha.

Podparł się jedną ręką i ukląkł, brocząc krwią, która kapłała na dywan. Ból narastał; jego fale uderzały szybciej i z większą siłą.

Wciąż spodziewał się, że usłyszy kolejny strzał, który rzuci go na stertę pudeł i gazet.

Ale podniósł się z trudem na nogi, odwrócił się i stwierdził, że w drzwiach nikt nie stoi, że szaleniec już sobie poszedł.

Ruszył przez pokój, przyciskając ramię zdrową ręką, spod której wyciekały bąbelki krwi. Był już w połowie drogi do drzwi prowadzących na korytarz, gdy pomyślał, że dobrze byłoby poszukać jakiejś broni, zanim wyruszy w ślad za szaleńcem. Ale czego? Znów się odwrócił i spojrzał na stertę śmieci, gdzie dostrzegł to, czego potrzebował. Zawrócił i podniósł deskę, która odpadła z połamanej, drewnianej skrzynki, długą na cztery stopy, szeroką na trzy cale. Z boku deski sterczały trzy wygięte, długie gwoździe. Powinno wystarczyć. Znów się odwrócił w kierunku drzwi i przeszedł przez pokój.

Te osiem kroków przypominało osiemset. Gdy już pokonał ten dystans, musiał zatrzymać się i odpocząć. Czuł ucisk w klatce piersiowej i miał kłopoty z oddychaniem. Oparł

się o ścianę tuż przy drzwiach, tak, by nie można było go zobaczyć z korytarza drugiego piętra.

Musisz bardziej się starać, powiedział sobie zamykając oczy, by nie widzieć tańczącego pokoju. Nawet jeśli znajdziesz tego szaleńca, to i tak nie będziesz w stanie powstrzymać go przed zrobieniem z Courtney i Colinem, czego tylko zapragnie. Nie możesz ulegać słabości. To szok. Postrzelono cię. Krwawisz. I odczuwasz skutki tego szoku. Każdy by odczuwał. Jeśli ich szybko nie przezwycięzysz, to możesz równie dobrze usiąść na podłodze i wykrwawić się na śmierć.

Leland zerwał taśmę z ust dziewczyny i dotknął jej bladych warg.

- Wszystko w porządku, Courtney. Doyle nie żyje. Nie musimy już się nim przejmować. Jesteśmy tylko ty i ja naprzeciwko całego świata.

Nie była w stanie mówić. Nie była już złotą dziewczyną, ale bladą jak mleko.

- Teraz cię uwolnię - powiedział z uśmiechem. - Jeśli będziesz grzeczna, oczywiście.

Jeśli będziesz odpowiednio się zachowywać, to rozwiążę ci nogi i ręce - tak, abyśmy mogli się kochać. Chciałabyś? - Pokręciła przecząco głową. - Na pewno byś chciała.

Na pierwszym piętrze, gdzieś na tyłach domu, pękła szyba, a szkło rozsypało się na podłodze.

- To policja - powiedziała, nie mając pewności, kto to naprawdę jest, ale chciała go wystraszyć.

Wstał, nie uwolniwszy jej.

- Nie - odparł. - To chłopiec. Jak mogłem o nim zapomnieć? - Czerwony z wściekłości, odwrócił się od łóżka i ruszył pędem do drzwi.

- Nie zrób mu krzywdy! - krzyknęła. - Na litość boską, zostaw go w spokoju.

Leland nie słyszał jej. Był w stanie przyjąć do wiadomości i myśleć w danej chwili

tylko o jednej sprawie. Teraz był to chłopiec. Musi go znaleźć i zabić, a tym samym usunąć ostatnią przeszkodę pomiędzy nim a Courtney.

Wybiegł z sypialni i ruszył korytarzem w kierunku schodów.

Kiedy Alex usłyszał dobiegający z dołu dźwięk tłuczonej szyby, pomyślał, że Colin sprowadził pomoc. Ale wtedy przypomniał sobie, że drzwi frontowe stale były otwarte.

Dlaczego ktoś miałby z nich nie skorzystać?

Od razu pojął, że Colin nie poszedł po pomoc. Zamiast tego wyjął ze schowka pistolet, ten sam pistolet, o którym Doyle nie pomyślał we właściwym czasie. Colin nie ufał drzwiom wejściowym i skierował się na tyły domu, żeby poszukać wejścia.

Sam spieszył na ratunek. Była to z jego strony wielka odwaga. Mógł przecież zginąć.

Doyle odepchnął się od ściany w chwili, gdy usłyszał krzyk Courtney, i niemal wywrócił się o własne stopy, zaskoczony. Żyła! Oczywiście wmawiał sobie przez cały czas, że nic jej nie jest - ale nie wierzył w to. Spodziewał się znaleźć zwłoki.

Odwrócił się w stronę drzwi prowadzących na korytarz i zdążył jeszcze zobaczyć szaleńca, który dotarł do schodów i ruszył pędem w dół.

Z sypialni znajdującej się w drugim końcu korytarza dobiegł krzyk Courtney.

- Nie rób mu krzywdy! Nie zabijaj również mojego brata!

Również? A więc sądzi, że jestem już martwy, myślał Doyle.

- Courtney! - Nie dbał o to, że człowiek na dole może go usłyszeć. - Nic mi nie jest.

Colinowi też się nic nie stanie.

- Alex? To ty?

- To ja - powiedział.

Ściskając w rękę prymitywną broń, przebiegł przez podest i ruszył schodami w dół, pędząc za szaleńcem.

Colin usiłował otworzyć drzwi kuchenne. Były zamknięte. Nie chciał marnować czasu próbując dostać się przez któreś z okien i nie zamierzał wejść do środka przez główne drzwi, w których Alex zniknął na dobre. Zawahał się tylko przez sekundę, obrócił w dłoniach pistolet, ujął go za lufę i kolbą stłukł jedną z dużych szyb w drzwiach.

Pomyślał, że powinien wejść do środka na tyle szybko, by znaleźć dobrą kryjówkę, nim szalenciec dotrze do kuchni. Wówczas mógłby wyjść z ukrycia i strzelić temu człowiekowi w plecy.

Ale nie mógł znaleźć zasuwki. Wepchnął rękę przez otwór po szybie, rozcinając sobie skórę o sterczące kawałki szkła i przesuwiał dłonią po wewnętrznej stronie drzwi. Ale nie mógł wyczuć pod palcami żadnego mechanizmu. Wszystko wskazywało na to, że przy drzwiach nie ma zatrzasku.

Spojrzał w drugi koniec dobrze oświetlonej kuchni, na drzwi, w których powinien pojawić się mężczyzna.

Mijały cenne sekundy, a Colin szukał hałaśliwie, niewidocznego zamka.

Nagle znalazł go. Krzyknął radośnie, przekręcił gałkę, pchnął drzwi i potykając się wpadł do kuchni, trzymając w wyciągniętej dłoni pistolet.

Zanim zdążył poszukać jakiejś kryjówki, do pomieszczenia wszedł George Leland.

Colin rozpoznał go od razu, choć nie widział go przez ostatnie dwa lata. Ale widok tego człowieka nie sparaliżował go. Wycelował pistolet w pierś Lelanda i nacisnął spust.

Odrzut strzału pozbawił dłonie chłopca czucia aż do łokci.

Leland ruszył do przodu jak pociąg ekspresowy, rycząc coś niezrozumiale. Machnął potężną, otwartą dłonią i Colin runął jak długi na błyszczące płytki podłogi.

Pistolet Colina potoczył się z brzękiem pomiędzy nogi stołu i krzeseł, w niedostępne

miejsce. Poza tym chłopiec wiedział, patrząc, jak broń sunie po podłodze, że jego pierwszy i jedyny strzał chybił celu.

Alex był już w połowie jadalni, zbliżając się do nie osłoniętych pleców nieznajomego, który nie uświadamiał sobie obecności Doyle'a, gdy w kuchni rozległ się strzał. Usłyszał krzyk szaleńca i zobaczył, jak rzuca się do przodu. Do uszu Alexa dotarł pisk Colina, a w chwilę później coś się przewróciło.

Ale nie wiedział, kto do kogo strzelił.

Pokonując kilka ostatnich stóp, dzielących go od kuchni, uniósł nad głową nabijaną gwoździami deskę.

Colin, który leżał na podłodze obok lodówki, próbował wstać.

Oddalony o dwa jardy nieznajomy podniósł pistolet...

Wydając okrzyk przerażenia i jakiejś dzikiej radości, Alex opuścił swoją maczugę, wkładając w cios całą siłę. Trzy gwoździe rozorały potylicę mężczyzny.

Nieznajomy zawył, upuścił broń i chwycił się za głowę obiema dłońmi. Zrobił dwa niepewne kroki i natknął się na ciężki, okrągły stół.

Alex uderzył ponownie. Gwoździe tym razem przeszły dłonie, przybijając je na chwilę do czaszki, zanim Doyle zdołał wyrwać deskę.

Szaleniec odwrócił się i spojrzał na swego prześladowcę, wyrzucając w górę zakrwawione ręce, by zasłonić się przed kolejnym ciosem.

Alex napotkał wzrokiem szeroko otwarte niebieskie oczy i pomyślał, że jest w nich z pewnością ślad normalności, coś czystego i racjonalnego. Obłąd ustąpił na chwilę.

Alex nie dbał o to. Ponownie uderzył. Gwoździe przesunęły się po twarzy nieznajomego i rozdarły ciało, pozostawiając trzy czerwone pręgi na jego policzku.

- Proszę - powiedział mężczyzna, pochylając się nad stołem i zasłaniając się

skrzyżowanymi ramionami. - Proszę. Przestań, proszę.

Ale Doyle widział, że jeśli teraz się zawaha, to w tych oczach bardzo szybko może pojawić się obłąd i chęć zemsty. Ogromny mężczyzna mógłby rzucić się na niego i odzyskać przewagę. I wtedy on nie okazałby litości.

Doyle pomyślał o tym, co ten sukinsyn mógł zrobić Courtney, co mógł zrobić

Colinowi. Uderzył jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze. Za każdym razem uderzał mocniej i szybciej, wbijając gwoździe w ramiona, szyję, skronie nieznajomego... Doyle jęczał, mając bolesną świadomość, że to on jest teraz maniakiem, a człowiek leżący na stole ofiarą. Mimo to nie zatrzymał się, tnąc i uderzając z całych sił.

Nieznajomy upadł na podłogę i rozbił głowę o płytki. Patrzył smutno na Doyle'a i próbował coś odpowiedzieć. Z licznych ran płynęła krew i nagle chlusnęła z nosa, jak woda z kranu. Umarł.

Alex stał nad ciałem przez całą minutę, patrząc na swoje dzieło. Był odrętwiały. Nie czuł nic: gniewu, wstydu, żalu, smutku, w ogóle nic. Zabić człowieka i nie odczuwać wyrzutów sumienia wydawało się czymś niewłaściwym.

Z jego skaleczonego ramienia znów zaczęły wypływać fale bólu. Uświadomił sobie, że trzymał swą pałkę w obu dłoniach, że w każde brutalne uderzenie wkładał siłę obu ramion. Rzucił deskę na zwłoki i odwrócił się.

Colin stał w kącie przy lodówce. Był blady jak ściana i trząsł się.

Wyglądał na mniejszego i chudsze niż kiedykolwiek.

- Wszystko w porządku? - spytał Doyle.

Chłopiec spojrzał na niego, nie mogąc wydusić słowa.

- Colin!

Chłopiec tylko drgnął.

Doyle zrobił krok w jego stronę.

Nagle Colin krzyknął i rzucił się do przodu, wpadając na Doyle'a i obejmując go w tali. Łkał histerycznie. Podniósł w górę oczy, które lśniły za grubymi szklami i spytał”

- Nie opuścisz nas nigdy, prawda?

- Opuścić was? Oczywiście, że nie - powiedział Doyle. Chwycił chłopca pod pachy, podniósł i przytulił mocno.

- Powiedz, że nas nie opuścisz - żądał Colin. Łzy spływały mu po twarzy. Trząsł się tak gwałtownie, że nie mógł się uspokoić, bez względu na to, jak mocno przytulał go Doyle. -

Powiedz to! Powiedz to!

- Nigdy was nie opuszczę - obiecał Doyle, ściskając go jeszcze mocniej. - O Boże, Colin, mam teraz tylko was dwoje. Straciłem wszystko inne.

Chłopiec płakał wtulony w jego szyję.

Alex wyszedł z kuchni z Colinem na rękę, przeszedł przez jadalnię i skierował się w stronę schodów.

- Zobaczymy jak czuje się Courtney - powiedział, mając nadzieję, że jego głos uspokoi Colina.

Ale tak się nie stało.

Byli w połowie schodów prowadzących na pierwsze piętro, gdy chłopiec zaczął trząść się jeszcze bardziej.

- Mówisz prawdę? Nie kłamiesz? Naprawdę nas nie opuścisz?

- Naprawdę - Doyle pocałował chłopięcy nos, mokry od łez.

- Nigdy?

- Nigdy. Mówiłem ci już... Jesteście tym, co mi pozostało. Właśnie straciłem wszystko inne.

Idąc do Courtney i przyciskając chłopca do piersi, Alex stwierdził, że jedną z tych utraconych rzeczy była zdolność do dziecięcego płaczu. I teraz, najbardziej ze wszystkiego, pragnął płakać.